

**Kurt Vonnegut**

# **Galapagos**

Przełożył Dariusz Józefowicz

*Pamięci Hillisa L. Howie'ego (1903-1982)*  
*przyrodnika amatora,*  
*dobrego człowieka, który latem 1938 roku*  
*zabrał z Indianapolis, stan Indiana,*  
*i powiódł na amerykański Dzik Zachód mnie,*  
*mojego najlepszego kumpla Bena Hitza*  
*i paru innych chłopaków.*  
*Pan Howie zapoznał nas z życiem prawdziwych Indian,*  
*kazał nam co noc sypiać pod gołym niebem*  
*i grzebać nasze własne łajno;*  
*nauczył nas jeździć konno,*  
*zdradził nam nazwy wielu roślin i zwierząt*  
*i opowiedział, czego potrzebują, by utrzymać się*  
*przy życiu*  
*i by móc się rozmnażać.*  
*Pewnej nocy pan Howie umyślnie wystraszył nas nieomal*  
*na śmierć*  
*zawodząc w pobliżu obozowiska jak żbik.*  
*Prawdziwy żbik krzyknął w odzewie.*

Mimo wszystko nadal wierzę, że w głębi serca ludzie są naprawdę dobrzy.  
Anna Frank (1929-1944)

Księga Pierwsza

**Było Tak**

## 1

Było tak:

Milion lat temu, w roku pańskim 1986, Guayaquil było głównym portem morskim Ekwadoru<sup>1</sup>, małego południowoamerykańskiego państewka z położoną wysoko w Andach stolicą o nazwie Quito. Guayaquil leżało dwa stopnie na południe od równika, urojonego poprzęgu planety, którego imieniem nazwano całe państwo]. Ponieważ miasto zbudowano w strefie bezwietrznej i na sprężystym bagnie, w którym mieszały się wody kilku spływających z gór rzek, panował tam wieczny, przesiąknięty wilgocią upał.

Port znajdował się w odległości paru kilometrów od otwartego morza. Masy roślinności często zarastały gęste jak zupa wody, pochłaniając pale i kotwiczne łańcuchy.

W owych dawnych czasach istoty ludzkie miały dużo większe mózgi niż dzisiaj, w związku z czym dawały się omamiać rozmaitym zagadkom. W 1986 roku jedną z takich zagadek było, w jaki sposób tak wiele stworzeń, niezdolnych do przepływania wielkich odległości, dostało się na wyspy Galapagos — archipelag wulkanicznych szczytów na zachód od Guayaquil, oddzielony od kontynentu tysiącem kilometrów bardzo głębokiej i bardzo zimnej wody z Antarktydy. Kiedy ludzkie istoty odkryły owe wyspy, okazało się, że posiadają one już swoich mieszkańców: gekony, iguany, szczury, jaszczurki, pająki, mrówki, żuki, pasikoniki, roztocze i kleszcze, nie wspominając o olbrzymich lądowych żółwiach.

Jak się tam dostały?

Wielu ludzi zdołało zaspokoić swoje wielkie mózgi taką oto odpowiedzią: Dostały się tam dzięki naturalnym tratwom.

Inni ludzie dowodzili, że podobne tratwy nasiąkłyby wodą i rozpadły się na butwiejące kawałki, zanim zdążyłyby oddalić się od brzegu na odległość wzroku, i że prąd pomiędzy wyspami a kontynentem zniósłby każdy równie prymitywny statek raczej na północ niż na zachód.

Ci sami ludzie zapewniali, iż wszystkie te na wskroś lądowe stworzenia

---

<sup>1</sup>Ecuador (hiszp.) — równik. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.)

przespacerowały się suchą stopą po jakimś naturalnym moście, ewentualnie przepłynęły krótkie odcinki pomiędzy czymś w rodzaju kamieni rzuconych w kałużę, a od tamtych czasów owa droga musiała skryć się pod falami. Ale naukowcy, posługujący się wielkimi mózgami i chytrymi instrumentami, zdołali już przed 1986 rokiem sporządzić mapy oceanicznego dna. Nie było tam nawet śladu, orzekli, po lądzie jakiegokolwiek rodzaju.

W owej epoce wielkich mózgow i fantastycznych pomysłów jeszcze inni ludzie utrzymywali, iż wyspy stanowiły w swoim czasie część kontynentu i zostały od niego oderwane przez jakąś potworną katastrofę.

Wszelako wyspy nie wyglądały tak, jakby zostały oderwane od czegośkolwiek. Najwyraźniej były to młode wulkany, uformowane dokładnie tam, gdzie się znajdowały. Wiele spośród nich było jeszcze na tyle młodych, iż w każdej chwili można się było spodziewać erupcji. Wówczas, w 1986 roku, wyspy nie były jeszcze na tyle obrośnięte rafą, by zyskać błękitne laguny i białe plaże, a więc rozkosze, które wiele ludzkich istot zwykło uważać za przedsmak idealnego raju.

Milion lat później wyspy dorobiły się białych plaż i błękitnych lagun. Lecz na początku tej historii wciąż jeszcze były szpetnymi garbami, bryłami, stożkami i wieżami kruchej i ściernistej lawy, której pęknięcia, dziury, zagłębienia i wklęsłości były przepełnione bynajmniej nie żywną glebą czy słodką wodą, lecz najbardziej suchym, mialkim wulkanicznym popiołem.

Inna teoria z owych czasów zakładała, że to Bóg Wszechmogący stworzył te wszystkie istoty w miejscu, w którym odkryli je badacze, w związku z czym nie wymagały one żadnego transportu.

Jeszcze inna teoria głosiła, iż spędzono je na brzeg dwójkami — w dół po trapie arki Noego.

O ile to naprawdę była arka Noego, co nie jest wykluczone — mogłem zatytułować swoją opowieść „Druga arka Noego”.

Milion lat temu nie był zagadką sposób, w jaki trzydziestopięcioletni, nie potrafiący pływać Amerykanin o nazwisku James Wait postanowił dostać się na Galapagos z kontynentu południowoamerykańskiego. Nie zamierzał on, rzecz jasna, przycupnąć na jakiejś naturalnej tratwie roślinnego pochodzenia i ruszyć w drogę, żywiąc nadzieję, iż wszystko pójdzie dobrze. W swoim hotelu w śródmieściu Guayaquil Wait wykupił po prostu bilet na dwutygodniowy rejs, będący zarazem dziewiczą podróżą nowego pasażerskiego statku o nazwie „Bahia de Darwin”, co w języku hiszpańskim oznacza: „Zatoka Darwina”. Ten pierwszy rejs na Galapagos, płynącego pod ekwadorską banderą statku, był w ciągu minionego roku, jak świat długi i szeroki, reklamowany i nagłaśniany jako „Przyrodnicza Wyprawa Stulecia”.

Wait podróżował samotnie. Był przedwcześnie wyłysiałym, pękatym okularnikiem o kiepskiej cerze przypominającej szarlotkę z taniego, samoobsługowego baru, w związku z czym mógł śmiało udawać pięćdziesięciolatka, kiedy widział w tym jakąś korzyść dla siebie. Pragnął uchodzić za płochliwego poczciwca.

Był właśnie jedynym klientem koktajlbaru znajdującego się w położonym przy szerokiej Calle Diez de Agosto hotelu „El Dorado”, w którym wynajmował pokój. A dwudziestoletni Jesús Ortiz, barman, potomek inkaskiej arystokracji, doznawał uczucia, że ten brązowawy, opuszczony mężczyzna, podający się za Kanadyjczyka, musiał zostać duchowo zmiądzony przez jakąś potworną niesprawiedliwość lub tragedię. Wait pragnął, by każdy postrzegał go w ten właśnie sposób.

Jesús Ortiz, który jest jednym z najsympatyczniejszych ludzi w mojej opowieści, odczuwał wobec samotnego turysty nie pogardę, lecz litość. Stwierdził ze smutkiem, na co Wait po cichu liczył, że ów turysta wydał właśnie w hotelowym butikum mnóstwo pieniędzy na słomkowy kapelusz, sznurkowe sandały, żółte szorty i błękitno-białopurpurową koszulkę. Wszystkie te rzeczy Wait miał właśnie na sobie. Ortiz pamiętał wrażenie niemałej godności, jakie wywarł ubrany w dyrektorski garnitur Wait, kiedy przybył z lotniska. Lecz teraz, wielkim nakładem środków, przeobraził się w kłowna, w karykaturę północnoamerykańskiego turysty bawiącego w tropikach.

Metka z ceną wciąż jeszcze dyndała przy skraju nowej koszulki Waita, więc Ortiz, bardzo uprzejmie i w dobrej angielszczyźnie, poinformował go o tym.

Och? — zdziwił się Wait. Wiedział doskonale o metce i pragnął, by pozostała na

swoim miejscu. Mimo to ciągnął szaradę z autoironicznym zażenowaniem i zdawało się, jakoby zamierzał pozbyć się metki. Ale zaraz potem, niby przygnieciony smutkiem, od którego usiłował uciec, sprawiał wrażenie, jakby już o niej zapomniał.

Wait był rybakiem, a metka z ceną była jego przynętą, sposobem na ośmielenie obcych ludzi, by zwrócili się do niego, mówiąc w ten czy inny sposób to, co powiedział Ortiz:

Proszę mi wybaczyć, señor, ale jeśli wolno zauważyć...

Wait zameldował się pod nazwiskiem Willard Flemining, które figurowało w jego fałszywym kanadyjskim paszporcie. Był doskonale prosperującym oszustem.

Ortizowi nie groziło z jego strony żadne niebezpieczeństwo, lecz starszej, samotnej i ubogo wyglądającej kobiecie — owszem. Jak dotąd, Wait poślubił siedemnaście takich pań, po czym znikał oczyściwszy wprzód ich szkatułki, konta i depozyty.

Był w swoim fachu na tyle zdolny, że stał się milionerem posiadającym w bankach całej Ameryki Północnej dobrze oprocentowane konta oszczędnościowe na hasło i nigdy nie został za nic aresztowany. O ile się orientował, nikt go nawet nie próbował ścigać. Jeżeli zaś chodzi o policję, rozumował, to był najwyżej jednym z siedemnastu niewiernych mężów, z których każdy nazywał się inaczej, a nie pojedynczym notorycznym przestępcą, którego prawdziwe nazwisko brzmiało James Wait.

Trudno dzisiaj uwierzyć, iż kiedykolwiek ludzie mogli być tak zdumiewająco obłudni — dopóki nie uświadomimy sobie, że niemal każda dorosła ludzka istota w owych czasach posiadała mózg ważący około trzech kilogramów! Ilość podłych projektów, jakie mogła wykoncypować i wcielić w życie tak przerośnięta maszyna do myślenia, była nieskończona.

Stawiam zatem pytanie, chociaż nie ma tu nikogo, kto mógłby na nie odpowiedzieć: Czy można wątpić, iż te trzykilogramowe mózgi były niegdyś fatalnym błędem w ewolucji rodzaju ludzkiego?

I druga kwestia: Co, poza naszym nadmiernie rozbudowanym systemem



nerwowym, było wówczas źródłem zła, które widzieliśmy i o którym słyszeliśmy po prostu wszędzie?

Moja odpowiedź: Nie było innego źródła. To była bardzo niewinna planeta, jeśli nie liczyć owych wielgachnych mózgów.

### 3

Pięciogwiazdkowy hotel „El Dorado” był nowiuteńkim budynkiem wzniesionym z nie zdobionych betonowych klocków. Proporcjami i wyglądem przypominał wysoką, szeroką i płytką przeszkloną biblioteczkę. Zachodnia ściana każdej sypialni była oszklona od podłogi do sufitu i dawała widok na nabrzeże i wielkie pogłębiarki, pracujące w delcie o trzy kilometry dalej.

W przeszłości na tym nabrzeżu kwitł handel i statki ze wszystkich zakątków planety dostarczały tu mięso, zboże, warzywa, owoce, pojazdy, odzież, maszyny, artykuły gospodarstwa domowego i tak dalej. W zamian wywożono ekwadorską kawę, kakao, cukier, ropę, złoto, dzieła indiańskiej sztuki i wyroby rzemiosła, w tym kapelusze „panama”, które zawsze pochodziły z Ekwadoru, a nie z Panamy.

Lecz teraz, gdy James Wait siedział w barze piastując rum z coca-colą, przy nabrzeżu stały jedynie dwa statki. Tak naprawdę Wait nie był pijakiem, ponieważ prowadząc awanturnicze życie nie mógł pozwolić sobie na to, by wskutek alkoholu doszło do zwarcia w delikatnych zwojach komputera mieszczącego się w jego czaszce. To pijaństwo było teatralnym rekwizytem, podobnie jak metka z ceną dyndająca przy groteskowej koszulce.

Wait nie był w stanie ocenić, czy poziom aktywności na nabrzeżu jest normalny, czy nie. Aż do przedwczoraj nie słyszał nawet o istnieniu takiego portu jak Guayaquil, a teraz, po raz pierwszy w życiu, znalazł się poniżej równika. W jego przekonaniu „El Dorado” niczym nie odróżniał się od innych, równie pozbawionych charakteru miejsc, w których ukrywał się w przeszłości — od hotelu w Moose Jaw, w prowincji Saskatchewan, od hotelu w San Ignacio w Meksyku, od hotelu w Watervliet w stanie Nowy Jork i wielu, wielu innych.

Wait odkrył Guayaquil na tablicy przylotów i odlotów Międzynarodowego Portu Lotniczego im. Kennedy'ego w Nowym Jorku. Właśnie spauperyzował był i opuścił

siedemnastą zonę — siedemdziesięcioletnią wdowę ze Skokie, na przedmieściach Chicago.

Ta kobieta była tak szkaradna i głupia, że prawdopodobnie nie powinna się była nigdy urodzić. Tymczasem Wait był drugim mężczyzną, który ją poślubił.

Wait nie zamierzał przeciągać pobytu w „El Dorado” zbyt długo, skoro u agenta turystycznego, którego biuro mieściło się w hotelowym westybulu, zakupił bilet na „Przyrodniczą Wyprawę Stulecia”. Było późne popołudnie, gorętsze niż zawiasy na klapach piekła. Na zewnątrz ani śladu wiatru, lecz Wait nie dbał o to, ponieważ był wewnątrz, ponieważ działała klimatyzacja i ponieważ, tak czy owak, wkrótce miał się stąd wynieść. Jego statek, „Bahia de Darwin”, miał wyruszyć zgodnie z planem już nazajutrz, w samo południe, w piątek 28 listopada 1986 roku — milion lat temu.

Zatoka, której imieniem ochrzczono środek lokomocji Waita, urozmaicała południową część Genovesy, wyspy archipelagu Galapagos. Wait nigdy nie słyszał o wyspach Galapagos. Spodziewał się czegoś w rodzaju Hawajów, na których spędzał kiedyś miodowy miesiąc, albo czegoś w rodzaju Guam, na której się swego czasu ukrywał — szerokich białych plaż, błękitnych lagun, kołyszących się palm i brązowoskórych tubylczych dziewcząt.

Agent biura podróży wręczył mu prospekt z opisem wycieczki, lecz Wait jeszcze doń nie zajrzał. Broszurka leżała przed nim na barze. Nie ukrywała ona bynajmniej, jak bardzo ponura jest większość wysp archipelagu i, w przeciwieństwie do hotelowego agenta, ostrzegała potencjalnych wycieczkowiczów, iż byłoby lepiej, gdyby odznaczyli się przyzwoitą kondycją fizyczną i byli zaopatrzeni w mocne, wysokie buty i niewyszukane stroje, jako że będą musieli często brodzić w morzu i pęłzać po skałach jak desant piechoty morskiej.

Zatoka Darwina została nazwana tak na cześć wielkiego angielskiego naukowca Karola Darwina, który zwiedzał Genovesę i jej sąsiadki przez pięć tygodni 1835 roku. Był wówczas zwyczajnym, dwudziestosześcioletnim młodzieńcem, a zatem miał o dziewięć lat mniej od Waita. Jako nie opłacany przyrodnik wyruszył na pokładzie okrętu Jej Królewskiej Mości „Beagle” na kartograficzną ekspedycję, która trwała pięć lat i z

którą opłynął całą kulę ziemską.

By sprawić frajdę miłośnikom natury, nie zaś poszukiwaczom przyjemności, zamieszczono w broszurce reklamowej opis typowej wyspy archipelagu, sporządzony przez samego Darwina, a zaczerpnięty z jego pierwszej książki pt. „Podróż na okręcie «Beagle»”:

„Na pierwszy rzut oka trudno wyobrazić sobie coś mniej zachęcającego. Popękane pole czarnej bazaltowej lawy, tworzące jak najbardziej poszarpane falistości i przecięte wielkimi szczelinami, pokrywają wszędzie zmarniałe, spalone przez słońce zarośla, zdradzające niewiele oznak życia. Powietrze wskutek suchej, spalonej i ogrzanej południowym słońcem powierzchni było parne i duszne jak w piecu; wydawało się nam nawet, że krzaki niemiłą woń wydzielają.”

„Cała powierzchnia — kontynuował Darwin — (...) była jakby sitem, przez które wydostawały się wyziewy podziemne; tu i ówdzie lava, gdy jeszcze była miękka, wzdęła się w postaci wielkich baniek; w innych miejscach sklepienia podobnie powstałych jaskiń zapadły się, pozostawiając okrągłe jamy o stromych ścianach.” W pamięci Darwina pojawiły się jak żywe „te części Staffordshire, w których najwięcej jest pieców hutniczych.”<sup>2</sup>

Nad barem, w obramowaniu z półek i butelek, wisiał portret Darwina — powiększona reprodukcja stalorytu, który przedstawiał go nie jako młodzieńca z okresu pobytu na wyspach, lecz jako dostojnego męża z bujną brodą przypominającą bożonarodzeniowy wieniec. Ten sam portret figurował na piersiach sprzedawanych w butiku bawełnianych koszulek i dwie takie koszulki nabył Wait. Tak właśnie wyglądał Darwin, kiedy przyjaciele i krewni przekonali go ostatecznie, by spisał spostrzeżenia, w jaki sposób wszelkie żywe organizmy, wliczając w to jego samego, jego przyjaciół i krewnych, a nawet królową, doszły do tej postaci, jaką prezentowały w dziewiętnastym wieku. Tak oto powstało najbardziej wpływowe dzieło naukowe w całej erze wielgachnych mózgów. Praca ta dokonała więcej dla ustatkowania zmiennych ludzkich poglądów na sukces czy porażkę niż jakakolwiek inna książka. Wyobraźcie to sobie! Tytuł tego dzieła streszczał zwięźle jego bezlitosną zawartość: „O powstawaniu

---

<sup>2</sup>Cytaty z Darwina w przekładzie prof. dra K. W. Szarskiego

gatunków drogą doboru naturalnego, czyli o utrzymaniu się doskonalszych ras w walce o byt".

Wait nigdy nie czytał tej książki, jak też i nazwisko Darwina nic mu nie mówiło, aczkolwiek od czasu do czasu udawał z powodzeniem wykształconego człowieka. Podczas „Przyrodniczej Wyprawy Stulecia” zamierzał podawać się za inżyniera-mechanika z Moose Jaw w Saskatchewan, którego żona zmarła niedawno na raka.

W rzeczywistości jego formalna edukacja zakończyła się na dwuletnim kursie mechaniki samochodowej, organizowanym przez technikum zawodowe w jego rodzinnym mieście Midland City w stanie Ohio. Wait przebywał wówczas w pięciu kolejnych zakładach opiekuńczych, głównie sierocińcach, jako że był owocem kazirodczego związku pomiędzy ojcem i córką, którzy po jego narodzinach opuścili miasto na zawsze.

Kiedy Wait dorósł na tyle, by czmychnąć samemu, wywędrował na wyspę Manhattan. Spotkał tam pewnego alfonsa, który obdarzył go przyjaźnią i pokazał mu, jak zostać dobrze prosperującą męską prostytutką, a więc zostawiać przy ubraniach metki z cenami, zaspokajać swoich kochanków, ilekroć to możliwe, i tak dalej. Wait był wówczas naprawdę przystojny.

Kiedy jego uroda zaczęła przemijać, zatrudnił się w szkole tańca jako instruktor. Był urodzonym tancerzem i jeszcze w Midland City zapewniano go, że jego rodzice równie świetnie tańczyli. Poczucie rytmu miał zapewne dziedziczne. To właśnie w okresie szkoły tańca Wait poznał, uwiódł i poślubił pierwszą ze swoich siedemnastu żon.

Przez całe dzieciństwo był boleśnie karcony przez opiekunów za wszystko i za nic. Według nich można się było spodziewać, wskutek wsobnego pochodzenia Waita, iż wyrośnie z niego moralne monstrum.

A teraz owo monstrum znajdowało się tutaj — w hotelu „El Dorado”, szczęśliwe, bogate i zdrowe, i aż rwało się do następnego testu na zręczność w walce o byt.

Nawiasem mówiąc, ja również, podobnie jak James Wait, byłem nastoletnim dezerterem.

#### 4

Karol Darwin — kulturalny, wymowny, bezosobowy i bezpłciowy oraz niewzruszenie pedantyczny w swych pismach Anglosas — stał się bohaterem rojnego, namiętnego i wielojęzycznego Guayaquil, ponieważ zainspirował turystyczny boom. Gdyby nie on, nie byłoby ani hotelu „El Dorado”, ani „Bahii de Darwin” i James Wait nie mógłby skorzystać z ich usług. Nie byłoby też butików, w których ubrał się tak komicznie.

Gdyby Karol Darwin nie uznał, iż wyspy Galapagos są tak cudownie pouczające, Guayaquil byłoby co najwyżej jeszcze jednym upalnym i plugawym portem, zaś archipelag nie przedstawiałby dla Ekwadoru większej wartości niż hałdy żużlu ze Staffordshire.

Darwin nie zmienił wysp, a jedynie ludzką opinię na ich temat. Oto dowód, jak wielką wagę przywiązywano niegdyś, w epoce wielgachnych mózgów, do zwyczajnych opinii.

W istocie obiegowe opinie wpływały na ludzkie działania niemal w takim stopniu, jak niezbite fakty, a podlegały tak nieoczekiwanym zmianom, jakim fakty nigdy nie mogłyby ulec. I tak wyspy Galapagos były w jednej chwili piekłem, a w następnej rajem; Juliusz Cezar był w danym momencie mężem stanu, a w następnym — rzeźnikiem; ekwadorskie banknoty można było wymienić dzisiaj na żywność, schronienie, ubranie, a jutro wymościć nimi dno klatki dla ptaków; stwórcą Wszechświata był raz Bóg Wszechmogący, a raz gigantyczna eksplozja, i tak dalej.

Dzięki zmniejszonym możliwościom mózgu ludzie dzisiaj nie są już odciążeni od zasadniczych problemów bytu przez gnomy jakichś tam opinii.

Biali ludzie odkryli wyspy Galapagos w 1535 roku, kiedy zepchnięty z kursu przez sztorm hiszpański okręt dotarł do archipelagu. Wyspy były bezludne i nie natrafiono na żadne ślady osadnictwa.

Załoga pechowego okrętu pragnęła jedynie dostarczyć do Peru biskupa Panamy, nie tracąc przy tym z oczu południowoamerykańskiego wybrzeża. I oto trafili na sztorm, który spychał ich na zachód, bez przerwy na zachód, gdzie wedle rozpowszechnionej

szeroko opinii nie było niczego oprócz morza i jeszcze raz morza.

A kiedy sztorm ucichł, Hiszpanie uświadomili sobie, iż przywieźli swojego biskupa w okolice żywcem wyjęte z koszmaru żeglarza, gdzie ląd, pozbawiony bezpiecznego kotwicowiska, cienia, słodkiej wody, kiści owoców i ludzkich istot jakiegokolwiek rasy, zakrawał na urągowisko. Na ich okręcie, unieruchomionym przez ciszę, brakowało żywności i wody. Ocean był gładki jak lustro. Marynarze przesiedli się zatem na barkas i opuścili wyspy, holując za sobą okręt i swego duchowego przywódcę.

Hiszpanii nie zależało na posiadaniu tych wysp, jak nie zależało jej na prawach do piekła. I jeszcze przez trzy pełne stulecia, choć już skorygowana ludzka opinia spowodowała naniesienie archipelagu na mapy, żaden inny naród nie pragnął wejść w jego posiadanie. Lecz raptem w 1832 roku jeden z najmniejszych i najbiedniejszych krajów, a mianowicie Ekwador, zażądał, by reszta świata przyjęła do wiadomości, iż odtąd wyspy Galapagos stanowią część jego terytorium.

Nikt nie oponował. W owych czasach uznano powyższe hulanie za nieszkodliwe i nawet zabawne, jak gdyby Ekwador w napadzie imperialnej demencji zaanektował wędrujący obłok asteroidów.

Ale zaledwie trzy lata później młody Karol Darwin zaczął przekonywać wszystkich, iż owe cudaczne na ogół rośliny i zwierzęta, które znalazły sposób na przetrwanie w warunkach archipelagu, nadają mu nadzwyczajną wartość, o ile tylko popatrzeć na nie tak, jak zrobił to on sam z naukowego punktu widzenia.

Jedno jedyne słowo adekwatnie opisuje sposób, w jaki Darwin zmienił bezwartościowe w bezcenne: czary.

Tak, a do czasu przybycia do Guayaquil Jamesa Waita przewinęło się tędy, w drodze na wyspy, tak wielu miłośników przyrody pragnących ujrzeć to samo, co oglądał Darwin, i odczuć to, co on odczuwał, że Guayaquil stało się portem macierzystym dla trzech statków wycieczkowych, z których najnowsza była „Bahia de Darwin”. Wzniesiono wiele nowoczesnych hoteli, z których najnowocześniejszy był „El Dorado”, a w górę i w dół Calle Diez de Agosto ciągnęły się szeregi butików, restauracji i sklepów z pamiątkami.

Niemniej było tak: Kiedy James Wait znalazł się w Guayaquil, ogólnoswiatowy

kryzys finansowy, nagła zmiana ludzkich opinii co do wartości pieniędzy, akcji, obligacji, hipotek i tym podobnych świstków papieru, zrujnowały przemysł turystyczny nie tylko w Ekwadorze, ale praktycznie wszędzie. I tak oto „El Dorado” był jedynym wciąż otwartym hotelem w mieście, a „Bahia de Darwin” jedynym statkiem gotowym do rejsu.

„El Dorado” funkcjonował wyłącznie jako punkt zborny dla posiadaczy biletów na „Przyrodniczą Wyprawę Stulecia”, ponieważ jego właścicielem była ta sama ekwadorska spółka, do której należała też „Bahia de Darwin”. Jednakże teraz, mniej niż dwadzieścia cztery godziny przed rozpoczęciem podróży, w hotelu liczącym dwieście łóżek znajdowało się raptem sześciu gości, wliczając w to Jamesa Waita. Pozostałą piątkę stanowili:

\* Zenji Hiroguchi, lat dwadzieścia dziewięć, japoński geniusz komputerowy;

Hisako Hiroguchi, jego dwudziestosześcioletnia żona, w zaawansowanej ciąży.  
Nauczycielka ikebany, japońskiej sztuki układania kwiatnych bukietów;

\* Andrew MacIntosh, lat pięćdziesiąt pięć, amerykański finansista amator przygód, z olbrzymim odziedziczonym majątkiem. Wdowiec;

Selena MacIntosh, lat osiemnaście, jego niewidoma od urodzenia córka;

i Mary Hepburn, lat pięćdziesiąt jeden, wdowa z Ilium w stanie Nowy Jork, której praktycznie nikt w hotelu nie widział bowiem od chwili, gdy samotnie przybyła poprzedniej nocy, nie opuszczała pokoju na czwartym piętrze, dokąd dostarczano jej wszystkie posiłki.

Ci dwaj z gwiazdkami przy nazwiskach zginą jeszcze zachodem słońca. Ten zwyczaj wyróżniania pewnych nazwisk gwiazdkami będzie, nawiasem mówiąc, kontynuowany aż do końca mojej opowieści po to, by uwrażliwić czytelników na fakt, iż niektóre z postaci wkrótce staną w obliczu ostatecznego darwinistycznego testu na spryt wytrzymałość.

Byłem tam również, lecz doskonale niewidzialny.

## 5

„Bahia de Darwin” również była skazana, lecz jeszcze za wcześnie na gwiazdkę

przed jej nazwą. Upłynie pięć dni, zanim jej silniki umilkną na zawsze, i dziesięć lat, zanim spocznie na dnie oceanu. Była nie tylko najnowszym, największym, najszybszym i najbardziej luksusowym statkiem, jaki kotwiczył w Guayaquil. Była jedynym statkiem przeznaczonym wyłącznie do obsługi rejsów turystycznych na Galapagos; statkiem, którego przeznaczeniem od chwili, w której położono jego stępkę, było wytrwale bełtać wodę na trasie do wysp i z powrotem, do wysp i z powrotem.

„Bahię de Darwin" zbudowano w Malmö, w Szwecji, gdzie osobiście przy niej pracowałem. W opinii szwedzko-ekwadorskiej załogi prowadzącej ją z Malmö do Guayaquil, sztorm na północnym Atlantyku miał być ostatnim w jej karierze kontaktem z burzliwym morzem i psią pogodą.

Była pływającą restauracją, salą wykładową, nocnym klubem i hotelem dla setki pensjonariuszy. Posiadała radar, sonar i elektroniczny system nawigacyjny, który nieustannie podawał jej pozycję na powierzchni globu z dokładnością do stu metrów. Była tak absolutnie zautomatyzowana, że jeden jedyny człowiek na mostku, bez pomocy kogokolwiek z maszynowni czy pokładu, mógł uruchomić silniki, podnieść kotwicę, puścić w ruch śruby i odpłynąć tak łatwo, jakby to był rodzinny samochód. Poza tym „Bahia de Darwin” miała osiemdziesiąt pięć ubikacji, dwanaście bidetów oraz telefony na mostku i w kabinach pierwszej klasy, przez które, dzięki satelicie można się było połączyć z całym światem.

Była też telewizja, aby ludzie nie stracili kontaktu z wydarzeniami dnia.

Dwaj starsi wiekiem bracia niemieckiego pochodzenia, mieszkający w Quito właściciele „Bahii de Darwin" chwalili się, że ich statek nawet na chwilę nie może stracić kontaktu z resztą świata. Cóż, mało wiedzieli.

„Bahia de Darwin” miała siedemdziesiąt metrów długości.

„Beagle”, na pokładzie którego płynął Karol Darwin, mierzył dwadzieścia osiem metrów.

Kiedy w Malmö wodowano „Bahię de Darwin”, tysiąc osiemset ton słonej wody musiało poszukać sobie jakiegoś innego miejsca. W tym czasie już nie żyłem.

Kiedy w Falmouth w Anglii wodowano „Beagle'a”, musiało udać się gdzie indziej zaledwie dwieście piętnaście ton słonej wody.



„Bahia de Darwin” była stalowym motorowcem.

„Beagle” był drewnianym żaglowcem, uzbrojonym w dziesięć dział na wypadek ataku piratów lub dzikusów.

Obydwa starsze statki wycieczkowe, z którymi „Bahia de Darwin” zamierzała konkurować, wypadły z interesu jeszcze przed rozpoczęciem rywalizacji. Co prawda wszystkie bilety na nie były zarezerwowane na parę miesięcy naprzód, lecz wkrótce, z powodu finansowego krachu, ich armatorzy zostali zasypani zwrotami zamówień. Obecnie statki tkwiły zakotwiczone na martwej wodzie żuław, niewidoczne z miasta i z dala od jakiegokolwiek drogi czy osiedla. W przewidywaniu długotrwałego okresu anarchii ich właściciele ogołocili je z aparatury elektronicznej i innych dóbr.

Podobnie jak wyspy Galapagos, Ekwador składał się głównie z lawy i popiołu, a zatem nie był w stanie wyżywić dziewięciu milionów obywateli. Był też bankrutem, a więc nie mógł dalej kupować żywności od krajów obfitujących w uprawne gleby, toteż port w Guayaquil pogrzyżł się w bezruchu, a ludzie zaczęli umierać z głodu.

Biznes to był biznes.

Sąsiadujące z Ekwadorem Peru i Kolumbia również zbankrutowały. Jedynym statkiem przy nabrzeżu Guayaquil, poza „Bahią de Darwin”, był pordzewiały kolumbijski frachtowiec „San Mateo”, który ugrzązł tu nie mając środków na zakup paliwa i żywności. „San Mateo” był zakotwiczony przy brzegu i musiał tkwić tam już dosyć długo. Jego łańcuch kotwiczny obrósł kolosalną ilością wodorostów — na tratwie takich rozmiarów młode słońtko mogłoby się dostać stąd na Galapagos.

Podobnymi bankrutami były również takie kraje, jak Meksyk, Chile, Brazylia, Argentyna, Indonezja, Filipiny, Pakistan, Indie, Tajlandia, Włochy, Irlandia, Belgia i Turcja. Całe państwa znalazły się nagle w identycznej sytuacji jak „San Mateo”, niezdolne do zakupu najbardziej podstawowych dóbr w zamian za swoje monety i banknoty czy też pisemne zobowiązania późniejszej płatności. Osoby posiadające na sprzedaż cokolwiek potrzebnego do życia odmawiały przyjmowania pieniędzy w zamian za swoje towary. Ni stąd, ni zowąd zaczęli mówić ludziom, którzy poza pieniędzmi nie posiadali innych odpowiedników bogactwa:

— Ocknijcie się, idioci! Skąd wam strzeliło do głowy, że papier może być tyle wart?

Wciąż jeszcze było dosyć paliwa, żywności i tym podobnych rzeczy dla wszystkich ludzkich istot na całej planecie, ile by ich było, lecz miliony zaczęły powoli umierać z głodu. Najsilniejsi osobnicy mogli przetrwać bez jedzenia zaledwie około czterdziestu dni, a potem następowała śmierć.

I ten głód był dokładnie takim samym owocem przerośniętych mózgów jak IX Symfonia Beethovena.

Wszystko to było w ludzkich głowach. Ludzie zmienili po prostu opinię na temat wartości papieru, co jednak dało takie same efekty, jak gdyby planeta została wykopsana z orbity przez meteoryt wielkości Luksemburga.

## 6

Ów kryzys finansowy, który obecnie nie mógłby się zdarzyć, był po prostu ostatnią z morderczych katastrof XX wieku, jaka wylęła się całkowicie w ludzkich mózgach. Przybysz z obcej planety, obserwując na przykład furję, z jaką ludzie odnosili się do siebie, do innych ludzi i w ogóle do wszelkich form życia, mógłby uznać, że całe środowisko musiało popaść w beznadziejny chaos, a ludzie dostali takiego świra dlatego, że Natura postanowiła ich wszystkich zgładzić.

Jednak milion lat temu planeta była równie wilgotna i żyzna jak dzisiaj — i pod tym względem stanowiła wyjątek w skali całej Mlecznej Drogi. Wszystko, co uległo zmianie, to ludzka opinia na jej temat.

Co do tak zwanej chluby ludzkości: Coraz więcej ludzi przyznawało, że ich mózgi są nieodpowiedzialne, niegodne zaufania, obrzydliwie niebezpieczne i całkowicie pozbawione poczucia rzeczywistości — krótko mówiąc, nie są żadnym cholernym dobrem.

I tak na przykład w mikrokosmosie hotelu „El Dorado” wdowa Mary Hepburn, która spożywała wszystkie posiłki w swoim pokoju, przeklinała sotto voce swój mózg, który doradzał jej popełnienie samobójstwa.

— Jesteś moim wrogiem — szeptała. — Dlaczego miałabym tolerować wewnątrz

mnie samej tak okrutnego wroga?

Mary Hepburn przez ćwierć wieku pracowała w obecnie rozwiązanej państwowej szkole średniej w Ilium, w stanie Nowy Jork. Uczyła tam biologii, w związku z czym była doskonale obeznana z bardzo osobliwą historią z dziedziny ewolucji, a dotyczącą wymarłego już stworzenia, które ludzkie istoty nazwały „irlandzkim łosiem”.

— Mając wybór pomiędzy mózgiem takim jak ty a rogami irlandzkiego łosia — zwróciła się Mary do swego centralnego układu nerwowego — wybrałabym rogi.

Rogi irlandzkiego łosia odznaczały się rozmiarami żyrandola z sali balowej. Stanowiły fascynujący przykład, na którym Mary pokazywała swoim uczniom, jak tolerancyjna potrafiła być natura wobec tak oczywistej i komicznej pomyłki w ewolucji. Irlandzkie łosie przetrwały dwa i pół miliona lat, pomimo że ich rogi były zbyt nieporęczne w ataku czy obronie i uniemożliwiały im zdobycie pożywienia w gęstym lesie i zaroślach.

Mary sądziła również, że ludzki mózg jest najwspanialszym, jak dotąd, produktem ewolucji służącym przetrwaniu. A teraz jej własny wielki mózg nakłaniał ją do tego, by opróżniwszy z czerwonej wieczorowej sukni polietylenowy worek, opakowała nim głowę, odcinając w ten sposób komórki od dopływu tlenu.

Jeszcze wcześniej, na lotnisku, jej wspaniały mózg powierzył złodziejowi walizkę, zawierającą wszystkie przybory toaletowe i ubrania, jakie wypada nosić w hotelu. Był to podręczny bagaż, z którym Mary miała lecieć z Quito do Guayaquil. Zachowała jednak przynajmniej kuferek, który wysłała tranzytem zamiast taszczyć ze sobą, a który zawierał między innymi rzeczami ową wieczorową suknię, przeznaczoną na przyjęcia mające odbywać się na „Bahii de Darwin”. Ponadto Mary nadal posiadała gumowy kombinezon, płetwy, maskę do nurkowania, dwa kostiumy kąpielowe, parę wytrzymałych butów turystycznych oraz, przewidziany na wędrowki po wyspach, zakupiony z demobilu kompletny mundur bojowy piechoty morskiej USA, który właśnie miała na sobie. Co do ubrania, w którym Mary przyleciała z Quito: Idąc za radą swojego wielkiego mózgu oddała je do hotelowej pralni, z której, zgodnie z zapewnieniami smutnookiego kierownika „El Dorado”, miały powrócić do niej rano, w porze śniadania.

Jednakże, ku wielkiemu zakłopotaniu owego zarządcy, ciuchy zniknęły.

Lecz najgorszą rzeczą, jaką zrobił Mary jej własny mózg, poza nakłanianiem do samobójstwa, było upieranie się przy wyjeździe do Guayaquil, pomimo wszystkich doniesień o planetarnym kryzysie finansowym i wbrew niemal stuprocentowej pewności, iż „Przyrodnicza Wyprawa Stulecia”, na którą jeszcze miesiąc wcześniej zabukowano wszystkie miejsca, mogła zostać odwołana z braku pasażerów.

Jej kolosalna maszyna do myślenia okazała się również małostkowa. Nie pozwalała jej zejść na dół w mundurze marines, albowiem ludzie, mimo iż w hotelu praktycznie nikogo nie było, rzekomo natrząsaliby się z niej, widząc ją w takim przyodziewku.

— Obsmiewaliby się z ciebie za plecami, sądziliby, że jesteś stuknięta i żalosna i że, jak by nie patrzeć, jesteś już na wykończeniu — argumentował jej wielki mózg. — Straciłaś męża, straciłaś pracę, nie posiadasz dzieci ani niczego innego, po co warto byłoby żyć, więc skorzystaj z worka i skróć swoje męki. Czy znasz łatwiejsze rozwiązanie? Mniej bolesne? Mające więcej sensu?

Oddając mózgowi Mary sprawiedliwość: To nie jego wyłącznie wina, że 1986 rok, jak dotąd, był tak zdecydowanie parszywy. Początek miał obiecujący, również dla Roya, męża Mary, który cieszył się idealnym na pozór zdrowiem z pewnością co do dalszych losów swojej kariery specjalisty od młynów w GEFFCo, największej firmie Ilium. Z kolei Mary otrzymała pamiątkową plakietkę z okazji dwudziestu pięciu lat nienagannej pracy, Kiwanisowie wydali na jej cześć bankiet, a uczniowie wybrali ją najpopularniejszą nauczycielką roku po raz dwunasty z rzędu. Na początku roku Mary powiedziała:

— Och, Roy — jest tyle rzeczy, za które możemy być wdzięczni: w porównaniu z większością ludzi jesteśmy tacy szczęśliwi. Mogłabym płakać z radości.

— Więc śmiało, płacz — odparł mąż biorąc ją w ramiona. Mary miała pięćdziesiąt jeden lat, Roy pięćdziesiąt cztery, i byli tak zapalonymi miłośnikami spacerów, pieszych rajdów, jazdy na nartach, wspinaczki, kajakarstwa, biegania, kolarstwa i pływania, że oboje zachowali szczupłe i młode sylwetki. Ponadto nie pili i nie palili, a ich menu składało się głównie ze świeżych owoców, warzyw i jakiejś rybki od

czasu do czasu.

Roy i Mary równie umiejętnie gospodarowali domowym budżetem, co dawało im oszczędności będące pieniężnym odpowiednikiem duchowej strawy i uczuć, jakimi się wzajemnie obdarzali.

Powiastrka o finansowej mądrości, jaką Mary mogła opowiedzieć o sobie i Royu, wywarłaby, rzecz jasna, piorunujące wrażenie na Jamesie.

Tak, a James Wait, specjalista od patroszenia wdów, siedział w barze hotelu „El Dorado” i spekulował na temat Mary Hepburn, chociaż jeszcze się z nią nie spotkał ani nie miał pewności, jak dobrze jest sytuowana. Zobaczył jej nazwisko w hotelowym rejestrze i wypytał o nią młodego kierownika.

Przypadły mu do gustu skąpe informacje, jakich był w stanie udzielić zarządca. Ta nieśmiała i samotna nauczycielka, choć młodsza od którejkolwiek ze zrujnowanych dotychczas przez niego żon, zdawała się oczywistym łupem. Wait postanowił dyskretnie usidlić ją podczas „Przyrodniczej Wyprawy Stulecia”.

Jeśli wolno mi wtrącić w tym miejscu osobistą uwagę: Kiedy jeszcze żyłem, często otrzymywałem od swego wielkiego mózgu porady, które w kategoriach mojego własnego przetrwania, czy też w ogóle przetrwania rodzaju ludzkiego, mogły być określone, delikatnie rzecz ujmując, jako kontrowersyjne. Na przykład: Rada, bym wstąpił do piechoty morskiej i wybrał się na wojnę do Wietnamu.

Piękne dzięki, mój wielki mózgu.

## 7

Rodzime waluty szóstki gości hotelu „El Dorado” — czworga Amerykanów, z których jeden podawał się za Kanadyjczyka, oraz dwojga Japończyków — wciąż jeszcze cieszyły się szacunkiem na całej planecie. I znowu: Wartość tych pieniędzy była urojona. Podobnie jak natura samego wszechświata, tak i powaby amerykańskich dolarów i jenów znajdowały się wyłącznie w ludzkich głowach.

I gdyby Wait, który nawet nie miał pojęcia o tym, że wzmaga się światowy kryzys finansowy, posunął się w swojej maskaradzie do tego stopnia, iż przywiózłby do

Ekwadoru kanadyjskie dolary, nie zostały tak dobrze przyjęte, jak zostały. Aczkolwiek Kanada nie była bankrutem, ludzka imaginacja w wielu, wielu miejscach, łącznie z Kanadą, unieszczęśliwiała ludzi samą myślą, iż mogliby wymienić cokolwiek naprawdę pożytecznego na kanadyjskie dolary.

Podobny uwiąd urojonej wartości dotknął brytyjskiego funta, francuskich i szwajcarskich franków oraz zachodnioniemieckiej marki. Tymczasem ekwadorski sucre, nazwany tak na cześć bohatera narodowego, Antonia Josego de Sucre (1795-1830), stał się mniej wart niż skórka od banana.

Tkwiącą w swoim pokoju na górze Mary Hepburn zaintrygowała myśl, czy przypadkiem jej mózgu nie zaatakował nowotwór. To wyjaśniałoby, dlaczego niezmiennie udzielał jej najgorszych porad, jakie tylko można sobie wyobrazić. Takie podejrzenie było w przypadku Mai rzeczą zupełnie naturalną, ponieważ przed trzema zaledwie miesiącami tumor mózgu zabił jej męża Roya, a jedna ofiara mogła go wszak nie zaspokoić. Na początku tumor zaćmił Royowi pamięć i zburzył jego rozsądek.

Mary zastanowiła się również, czy to nie tumor nakłonił Roya do zapisania ich na „Przyrodniczą Wyprawę Stulecia”, co się zdarzyło w obiecującym styczniu tego, ostatecznie potwornego, roku, wówczas kiedy z jej mężem zaczęły się dziać dziwne rzeczy.

A oto w jaki sposób Mary odkryła, że została zapisana na wycieczkę: Pewnego popołudnia wracała z pracy do domu, spodziewając się, że mąż jest jeszcze w GEFFCo. Roy kończył pracę godzinę później niż ona. Tymczasem zastała go w domu i okazało się, że wyszedł z firmy już w południe. A był to człowiek, który ubóstwiał swoją pracę i który w ciągu dwudziestu dziewięciu lat spędzonych w GEFFCo nie urwał się z roboty nawet na godzinę — ani z powodu choroby, gdyż nigdy nie chorował, ani z jakiegokolwiek innej przyczyny.

Mary spytała męża, czy nie jest chory, a on odparł, że nigdy w życiu nie czuł się tak świetnie. Jego samozadowolenie kojarzyło się Mary z zachowaniem młodzieńca, który w każdej sytuacji stara się zgrywać równiachę. A był to mężczyzna małomówny, zawsze starannie dobierał słowa i nigdy nie mówił głupio bądź niedojrzałe. A teraz

odezwał się do niej nieoczekiwanie i kretyńsko, jakby nie była jego żoną, tylko pełną dezaprobaty matką:

— Byłem na wagarach.

Obecnie Mary sądziła, że to musiał powiedzieć tumor, który nie mógłby wybrać gorszego dnia na beztrioskie wagarzy, jako że minionej nocy szalała śnieżna burza, a przez cały dzień zaciął, miotany wiatrem, deszcz ze śniegiem. Pomimo tego Roy szwendał się przez cały dzień po Clinton Street, głównej ulicy Ilium, i wstępował do wszystkich sklepów, by oznajmić ekspedientom, że jest na wagarach.

Więc Mary starała się być z tego powodu szczęśliwa, wmawiając sobie, iż Roy po prostu musiał się nieco rozerwać i złapać luz, aczkolwiek oboje mieli zawsze mnóstwo rozrywek w weekendy, w trakcie urlopów i w pracy. Lecz jakaś tajemnica okrywała tę niespodziewaną eskapady. Podczas ich wczesnej kolacji sam Roy zdawał się zakłopotany swoim zachowaniem w trakcie popołudnia, chociaż nie sądził, by chciał powtórzyć swój wyczyn. Oboje powinni puścić go w niepamięć lub co najwyżej pośmiać się z niego od czasu do czasu.

Lecz później, tuż przed zaśnięciem, kiedy wpatrywali się w rozżarzone węgle, migocące w kominku wzniesionym twardymi rękami Roya, Mary usłyszała: To nie wszystko. Co nie wszystko? — spytała.

— Myślę o dzisiejszym dniu — odparł Roy. — Jednym z miejsc, które odwiedziłem, było biuro podróży.

Była to jedyna tego rodzaju firma w Ilium i nie wiodło się jej najlepiej.

— I co z tego? — zapytała Mary.

— Zapisalem nas na coś — odrzekł. Mówił tak, jak gdyby przypominał sobie sen. — Wszystko opłaciłem. Wszystko jest załatwione. Kropka. W listopadzie polecimy do Ekwadoru i weźmiemy udział w „Przyrodniczej Wyprawie Stulecia”.

Roy i Mary Hepburnowie byli pierwszymi osobami, które zareagowały na prowadzoną w mediach kampanię reklamującą dziewiczą podróż „Bahii de Darwin”, która znajdowała się wówczas w Malmö w Szwecji i składała się wyłącznie ze stępki i sterty rysunków technicznych. Agent biura podróży z Ilium otrzymał dopiero co plakat reklamujący wycieczkę i właśnie przyklepał go do ściany skoczem, kiedy wszedł Roy

Hepburn.

Jeśli mogę wtrącić małą dygresję: Około roku pracowałem osobiście jako spawacz w Malmö, lecz „Bahia de Darwin” nie zmaterializowała się jeszcze na tyle, by moje usługi były jej potrzebne. Dopiero gdy nadeszła wiosna, dosłownie straciłem głowę z powodu tej stalowej dziewicy. Pytanie: A kto na wiosnę nie traci głowy?

Ale do rzeczy:

Plakat reklamowy z Ilium przedstawiał bardzo dziwnego ptaka, stojącego na brzegu wulkanicznej wyspy i wpatrującego się w przepływający obok biały, prześliczny motorowiec. Ptak był czarny i przypominał olbrzymią kaczkę, ale jego szyja miała długość i giętkość sporego węża. Wszelako najbardziej ekscentryczną jego cechą było złudzenie, iż nie posiada w ogóle skrzydeł. To była niemal prawda. Ptak ten należy do endemicznego dla wysp Galapagos gatunku, co oznacza, że nie występuje on nigdzie indziej na całej planecie. Ma mikroskopijne, płasko przylegające do ciała skrzydełka, dzięki czemu może nurkować i pływać tak głęboko i szybko jak ryba. Jest to o wiele lepszy sposób na zdobycie pożywienia niż ten, któremu hołduje większość rybożernych ptaków, zmuszonych do oczekiwania, aż ryba podpłynie blisko powierzchni wody, by wówczas runąć na nią w dół z rozwartym dziobem. Ludzkie istoty nazwały tego praktycznego ptaka z reklamy „kormoran bezlotny”. Potrafi on dopaść rybę gdziekolwiek. Nie musi na nią czekać i nie ryzykuje fatalnej pomyłki.

Gdzieś tam, w ciągu dziejów ewolucji, przodkowie tego ptaka musieli zacząć powątpiewać o wartości swoich skrzydeł dokładnie tak, jak w 1986 roku ludzkie istoty zaczęły poważnie kwestionować zalety wielkich mózgów. Jeżeli Darwin nie mylił się co do zasady doboru naturalnego, to obdarzone małymi skrzydełkami kormorany, odbijające po prostu od brzegu jak łodzie rybackie, musiały łapać więcej ryb niż ich latający bracia, nawet ci najsprytniejsi. A więc parzyły się we własnym kółku, a te spośród ich dzieci, które miały mniejsze skrzydełka, stawały się coraz lepszymi rybakami, i tak dalej.

Podobny obrót przybrały dziś sprawy u ludzi, chociaż nie chodzi tu, rzecz jasna, o skrzydła, gdyż ludzkie istoty nigdy nie miały skrzydeł, a o ręce i mózgi. Dzisiaj ludzie nie muszą już czekać, aż ryba połasi się na wbitą na haczyk przynętę, zabłąka się w sieci



czy coś w tym rodzaju. Osoba, która ma obecnie ochotę na rybę, po prostu rzuca się za nią w głąb błękitnego morza jak rekin.

Teraz to takie łatwe.

## 8

Jeszcze na początku roku nie istniały żadne powody dla których Roy nie powinien był wykupywać biletów na wycieczkę. Nie było oczywiste, że nadciąga światowy kryzys ekonomiczny i że w czasie, kiedy przypuszczalnie ich okręt miał wyruszyć w rejs, ludzie w Ekwadorze zaczną przymierać głodem. Był jednak pewien kłopot z pracą Mary. Nie wiedziała jeszcze, że zostanie zwolniona, zmuszona do przejścia na wcześniejszą emeryturę, więc nie mogła uzmysłwić sobie, w jaki sposób, na zdrowy rozum, mogłaby opuścić trzy tygodnie na przełomie listopada i grudnia, czyli w samym środku semestru.

Poza tym, chociaż nigdy tam nie była, wyspy Galapagos nudziły ją coraz bardziej. Podczas lekcji Mary posługiwała się filmami, slajdami, książkami i artykułami, które zawierały tak dokładną wiedzę na temat archipelagu, iż nie była w stanie wyobrazić sobie żadnej niespodzianki, jaka mogłaby ją tam spotkać. Cóż, mało wiedziała.

W ciągu całego ich małżeństwa Roy i Mary nigdy nie wyjeżdżali ze Stanów. Skoro już mieli szarpnąć się i zafundować sobie naprawdę fascynującą wycieczkę, to powinni, zdaniem Mary, wypuścić się raczej do Afryki, gdzie przyroda jest dużo bardziej porywająca, a walka o byt niebezpieczniejsza. Co tu dużo mówić, w porównaniu z nosorożcami, hipopotamami, lwami, słoniami, żyrafami i tak dalej, zwierzęta z Galapagos były dość apatyczną gromadką.

Perspektywa wyprawy spowodowała w istocie, że Mary zwierzyła się bliskiej przyjaciółce:

Nagle doznałam uczucia, że ostatnią rzeczą, jaką chciałabym w życiu oglądać, jest jeszcze jeden głupek błękitnonogi!

Cóż, mało wiedziała.

W rozmowach z Royem Mary tłumiała jednak swoje obawy co do wycieczki, nie chcąc, by mąż uświadomił sobie, że cierpi na lekkie zaburzenia pracy mózgu. Ale w marcu Roy stracił pracę, a Mary wiedziała już, że jej kontrakt wygasa definitywnie w

czerwcu. Tak czy owak, termin nie był już przeszkodą, zaś sama wycieczka urastała w coraz bardziej pokręconej wyobraźni Roya do rangi jedynej dobrej rzeczy, jaka mogła wydarzyć się w ich przyszłości.

A oto, co stało się z ich pracą: Niemal cała załoga GEFFCo, zarówno fizyczni, jak umysłowi, została wysłana na urlop ze względu na modernizację zakładu w Ilium. Zajęła się tym japońska firma Matsumoto, która wyposażyła w elektronikę również „Bahię de Darwin”. Zatrudniała też \* Zenjiego Hiroguchi, młodego geniusza komputerowego, który miał w przyszłości zamieszkać wraz z żoną w „El Dorado”, w tym samym czasie co Mary. Kiedy Matsumoto Corporation zakończyła instalowanie komputerów i robotów, potrzeba było tylko dwunastu ludzi, aby puścić to wszystko w ruch. W związku z tym gromadnie opuścili miasto ci, którzy byli na tyle młodzi, aby mieć dzieci lub choćby ambitne plany na przyszłość, W dniu swoich osiemdziesiątych pierwszych urodzin, na dwa tygodnie przedtem, nim pożarł ją wielki biały rekin, Mary opowiadała, iż miasto wyglądało tak, jakby przeszła przez nie trąba powietrzna. Raptem niemal wyludniły się szkoły, a miasto zbankrutowało z braku podatników. Gimnazjum w Ilium miało wypuścić w czerwcu ostatnich absolwentów w swojej karierze.

W kwietniu rozpoznano u Roya nieuleczalnego guza mózgu. W związku z tym „Przyrodnicza Wyprawa Stulecia” stała się dla niego życiowym celem.

— Ostatecznie mogę tyle wytrzymać, Mary — mówił.

— Listopad to już wkrótce, nie?

— Tak — odparła.

— Mogę tyle wytrzymać.

— Przed tobą całe lata, Roy — zapewniała Mary.

— Aby tylko dotrzeć do wycieczki — powiedział Roy.

— Zobaczyc pingwiny na równiku. — I dodał: — Więcej mi nie trzeba.

O ile Roy mylił się co do większości spraw, o tyle miał rację, jeśli chodzi o pingwiny, które naprawdę żyły na Galapagos. Były to chudziutkie istotki w kelnerskich uniformach. Musiały być takie. Gdyby obrosły tłuszczem tak, jak ich krewniacy z

lodowych pól bieguna południowego, o pół świata stąd, upiekłyby się na amen wysiadując na lawie jaja i wychowując młode.

Podobnie jak w przypadku bezlotnych kormoranów, ich przodkowie zrezygnowali ze splendoru awiacji na rzecz skuteczniejszego łapania ryb.

A co do panującego przed milionem lat zakłamanego entuzjazmu dla odstępowania maszynom tylu ludzkich funkcji, ile się tylko da: Czyż ludzie nie udowadniali przez to raz jeszcze, że ich mózgi wcale nie są tak cholernie dobre?

## 9

Kiedy dogorywał Roy Hepburn i kiedy w ogóle dogorywało całe Ilium, a więc wówczas, gdy zarówno człowiek, jak i miasto zabijani byli przez złośliwe nowotwory niszczące zdrowie i szczęście ludzkości, wielki mózg Roya przekonał go, iż na pewno służył w marynarce na atolu Bikini w czasie amerykańskich prób z bombą atomową w 1946 roku. Atol Bikini, podobnie jak Guayaquil, leżał w strefie równikowej. Roy postanowił więc dochodzić milionowego odszkodowania od rządu, gdyż, jak twierdził, promieniowanie, które wchłonął, musiało spowodować najpierw bezpłodność, a obecnie raka mózgu.

Roy służył, co prawda, w marynarce, ale poza tym jego proces przeciwko Stanom Zjednoczonym był bez sensu, jako że urodził się w 1932 roku i adwokaci rządu nie mieliby żadnych problemów, by to udowodnić. Znaczyłoby to, ni mniej, ni więcej, że w czasie swego rzekomego napromieniowania miał czternaście lat.

Ów anachronizm nie przeszkadzał Royowi w snuciu plastycznych wspomnień o popełnionych na tak zwanych „niższych organizmach” okrucieństwach, do jakich zmuszał go własny rząd. Opowiadał, jak to, pracując bez niczyjej pomocy, wbijał najpierw na całym atolu słupki, a potem przywiązywał do nich rozmaite gatunki zwierząt.

— Sądzę, że wybrano mnie do tej roboty — mówił — ponieważ zwierzęta zawsze mi ufały.

To było akurat prawdą: zwierzęta zawsze ufały Royowi.

Chociaż po ukończeniu gimnazjum nie zdobył żadnego formalnego wykształcenia, jeśli nie liczyć kursu zawodowego w GEFFCo, i chociaż Mary ukończyła

Uniwersytet Stanu Indiana ze stopniem magistra zoologii, to jednak Roy był o wiele lepszy w rzeczywistym kontakcie ze zwierzętami niż jego żona. Potrafił przemawiać do ptaków w ich własnych językach, czego Mary nigdy nie była w stanie dokonać, jako że jej przodkowie z obu stron byli notorycznie nieczuli na świat dźwięków. Dla Roya nie było zaś tak niebezpiecznego psa lub innego bydłęcia, wliczając w to nawet wartowniczego psa z GEFFCo czy lochę z warchlakami, by nie potrafił w pięć minut zmienić ich w swoich przyjaciół.

Jego lzy były więc zrozumiałe, kiedy wspominał zwierzęta poprzywiązywane do tych palików. Taki okrutny eksperyment istotnie przeprowadzono, ale na owcach, świniach, na bydle, na koniach, małpach, kaczkach, kurach i gęsiach, lecz nie na takim zoo, jakie opisywał Roy. Wedle jego słów, przywiązywał do słupków pawie, ibisy, goryle, krokodyle i albatrosy. W jego wielkim mózgu atol Bikini stał się dokładnym przeciwieństwem arki Noego. Po parce zwierząt z każdego gatunku zgromadzono tam po to, by zbombardować je atomem.

Najbardziej zwariowanym detalem w opowieści Roya, któremu nie wydawał się on wcale obłąkany, było następujące wyznanie: „Donald też tam był”. Donald, zaledwie czteroletni pies myśliwski o złocistej sierści, w trakcie opowiadania Roya wałęsał się w sąsiedztwie, może nawet po trawniku Hepburnów.

— To wszystko było okropne — mówił Roy — ale najgorsze nastąpiło, kiedy do jednego ze słupków przywiązywałem Donalda. Odwlekałem ten moment do samego końca. Przywiązanie Donalda było ostatnią rzeczą, jaką zrobiłem. Pozwolił mi na wszystko, a potem lizał mi dłoń i merdał ogonem. Powiedziałem wtedy do niego, i nie wstydę się przyznać, że płakałem: „Żegnaj, stary druhu. Udajesz się teraz do innego świata. To pewne, że do lepszego, ponieważ nie może istnieć inny świat tak zły, jak ten tutaj”.

Chociaż Roy zaczął już odstawiać tego typu spektakle, Mary, która ciągle jeszcze pracowała w szkole, nie przestawała zapewniać coraz mniej licznych uczniów, iż powinni dziękować Bogu za swoje wielgachne mózgi.

— A może wolelibyście raczej mieć takie szyje jak żyrafy, kamuflaż w stylu kameleona, skórę nosorożca czy też rogi irlandzkiego łosia? — pytała ich, i tak dalej.

Ciągle wciskała ten sam kit.

Tak, a potem wracała do domu, do Roya, który udowadniał, jak bardzo bałamutny może być ludzki mózg. Nie był hospitalizowany, z wyjątkiem krótkich okresów na przeprowadzenie badań. Był spokojny i posłuszny. Nie mógł już prowadzić samochodu, ale rozumiał to i nie wydawał się dotknięty, kiedy Mary schowała kluczyki. Doradzał nawet sprzedaż wozu, gdyż nie zanosilo się na to, by kiedykolwiek jeszcze mieli wybrać się na kemping. Poza tym Mary nie musiała wynajmować pielęgniarki do opieki nad mężem na czas swojej nieobecności w domu. Emerycy /. sąsiedztwa nie mieli nic przeciwko paru dolarom w zamian za dotrzymanie Royowi towarzystwa i pilnowanie, by w żaden sposób nie zrobił sobie krzywdy.

Roy, rzecz jasna, nie sprawiał im kłopotów. Oglądał mnóstwo programów telewizyjnych i godzinami bawił się na podwórku z Donaldem, złocistym psem, który rzekomo /.ginął był na atolu Bikini.

Kiedy Mary wygłaszała coś, co było jej ostatnim wykładem na temat wysp Galapagos, urwała nagle w pół zdania, bo ogarnęły ją wątpliwości, które wyrażone słowami brzmiałyby mniej więcej tak: „Być może jestem jedynie zwariowaną kobietą, która szwenda się po ulicach i w klasie i usiłuje wyjaśnić tym młodym ludziom tajemnice życia. A oni jej wierzą, chociaż myli się absolutnie co do wszystkiego”.

Mary zastanowiła się również nad wszystkimi, rzekomo wielkimi nauczycielami przeszłości, którzy pomimo zdrowych mózgów mieli, tak samo jak Roy, opaczne poglądy na to, co tak naprawdę jest grane.

## 10

Ile wysp liczył archipelag Galapagos milion lat temu? Trzyście dużych, siedemnaście małych i trzysta osiemnaście mikroskopijnych, wśród których wiele było po prostu skałami, wystającymi o metr lub dwa nad powierzchnię oceanu.

Obecnie jest czternaście dużych wysp, siedem małych i trzysta dwadzieścia sześć małych. Nadal utrzymuje się dość wysoka aktywność wulkaniczna. Mówiąc żartem: bogowie wciąż się gniewają.

A Santa Rosalia jest ciągle całkiem samotną, oddaloną od innych, najbardziej na północ wysuniętą wyspą.

Tak, a milion lat temu, 3 sierpnia 1986 roku, człowiek o nazwisku \* Roy Hepburn spoczywał na łożu śmierci w swoim małym, ciasnym domku w Ilium, stan Nowy Jork. W obliczu definitywnego końca ubolewał przede wszystkim, że nie ma własnych dzieci. Nie mógł też nakłaniać żony, by po jego śmierci spróbowała dorobić się z kimś potomstwa, jako że Mary nie przechodziła już owulacji.

— My, Hepburnowie, jesteśmy skazani na wymarcie jak ptaki dodo — powiedział \* Roy i zaczął beładnie wymieniać nazwy wielu innych stworzeń, które stały się nieplodnymi, uschniętymi gałązkami drzewa ewolucji, jak irlandzki łoś, pewien gatunek dzięcioła, *Tyrannosaurus Rex* i tak dalej i dalej, aż do samego końca, aczkolwiek niespodziewanie odezwało się jego kostyczne poczucie humoru. Dorzucił bowiem do tej ponurej listy dwa figlarne uzupełnienia, faktycznie pozbawione progenitury.

— Ospa — powiedział. I dodał — George Washington.

Aż do samego końca \* Roy był święcie przekonany, uległ napromieniowaniu z winy własnego rządu.

— Żeby to tylko Bóg Wszechmogący wziął się na mnie — powiedział do Mary, doktora i pielęgniarki, która czuwała przy jego łóżku, jako że koniec mógł nastąpić w każdej chwili.

Mary uznała to za ostatnie słowa męża. Wyglądał na bezsprzecznie martwego.

Jednak po dziesięciu sekundach sine wargi \* Roya poruszyły się znowu. Mary pochyliła się, by lepiej go słyszeć. Do końca życia miała być rada, że nie uroniła ani słowa.

— Powiem ci, Mary, czym jest ludzka dusza — wyszeptał \* Roy z zamkniętymi oczyma. — Zwierzęta jej nie mają. Jest to ta część ciebie, dzięki której wiesz, że twój mózg źle działa. Ja cały czas wiedziałem, Mary. Nic nie mogłem na to poradzić, ale cały czas wiedziałem.

A potem \* Roy przestraszył wszystkich siadając nagle na łóżku. Jego płonące oczy były szeroko rozwarte.

— Dajcie Biblię! — zażądał tak donośnie, że było go słychać w całym domu.

Był to jeden jedyny religijny akcent w ciągu całej choroby \* Roya. Ani on, ani

Mary nie byli praktykujący i nie uciekali się do modlitwy nawet w skrajnych okolicznościach. Niemniej mieli gdzieś w domu Biblię, choć Mary nie bardzo wiedziała gdzie.

— Daj mi Biblię! — powtórzył \* Roy. — Kobieto, podaj mi Biblię! — Nigdy wcześniej nie mówił do niej: „kobieto”.

Mary rzuciła się więc na poszukiwania. Znalazła ją w gościnnej sypialni, pomiędzy „Podróżą na okręcie «Beagle»», Darwina a „Opowieścią o dwóch miastach” Dickensa.

\* Roy usiadł i jeszcze raz nazwał Mary „kobietą”.

— Kobieto — rozkazał — połóż dłoń na Biblii i powtarzaj za mną: „Ja, Mary Hepburn, niniejszym ślubuję uroczyście mojemu ukochanemu mężowi, znajdującemu się na łożu śmierci, iż wypełnię dwie jego ostatnie prośby”.

Mary powtórzyła. Spodziewała się, a prawdę mówiąc żywiła nadzieję, iż owe prośby okażą się na tyle dziwaczne, związane na przykład z oskarżeniami wobec rządu, że żadną miarą nie da się spełnić ani jednej z nich. Ale nie miało być tak dobrze.

Zgodnie z pierwszą prośbą Mary miała, nie tracąc czasu na żalobę czy poczucie winy, dołożyć wszelkich starań i powtórnie wydać się za mąż tak szybko, jak tylko się da.

Spełnienie drugiej prośby wiązało się z „Przyrodniczą Wyprawą Stulecia” i nakładało na Mary obowiązek, by miała się do Guayaquil i wzięła udział w wycieczce, w imieniu ich obojga.

— Mój duch będzie ci towarzyszył na każdym calu podróży — powiedział \* Roy. I umarł.

Tak oto Mary znalazła się w Guayaquil, podejrzewając u siebie samej raka mózgu, który właśnie kazał jej pójść do łazienki i ściągnąć plastikowy worek z czerwonej wieczorowej sukni, którą Mary nazywała „ciuchem Jackie”. Ten przydomek wziął się stąd, iż jedną z uczestniczek wycieczki miała być podobno Jacqueline Kennedy Onassis, a Mary chciała ładnie wyglądać w jej oczach.

Lecz teraz, w łazience, Mary zdawała sobie sprawę, że wdowa Onassis z pewnością nie będzie na tyle szalona, by przybyć do Guayaquil pełnego wojskowych

patroli na ulicach, żołnierzy na dachach domów i w parkach, gdzie kopano rowy i dołki na stanowiska karabinów maszynowych.

Kiedy Mary ściągała worek, suknia zsunęła się z wieszaka i upadła na podłogę. Wyglądała jak czerwona kałuża.

Mary nie podniosła jej, ponieważ wierzyła, że żadne doczesne rzeczy nie będą jej już potrzebne. Jednakże za wcześnie na gwiazdkę przed jej nazwiskiem. W rzeczy samej Mary przeżyje jeszcze trzydzieści lat. Co więcej, sposób, w jaki wykorzysta jeden z podstawowych surowców planety, uczyni ją najważniejszym eksperymentatorem w dziejach rodzaju ludzkiego.

## 11

Gdyby Mary nie była w nastroju do samobójstwa, lecz na przykład do szpiegowania, mogłaby przyłożyć ucho do ściany i podsłuchać szmery dobiegające z sąsiedztwa. Nie miała pojęcia, kto mieszka obok, ponieważ przybyła do hotelu jako pierwsza i od ubiegłego wieczoru nie opuszczała swego pokoju.

Źródłem szmerów dobywających się zza ściany łazienki byli państwo Hiroguchi — japoński geniusz komputerowy i jego ciężarna żona Hisako, nauczycielka ikebany, japońskiej sztuki układania kwiatów.

Z drugiej strony Mary sąsiadowała z Seleną MacIntosh, niewidomą nastoletnią córką \* Andrew MacIntosha, i z jej psem-przewodnikiem wabiącym się Kazak. Kazak była suką. Mary nie usłyszałyby szczekania, ponieważ Kazak nigdy nie szczekała.

Poza tym Kazak nigdy nie bawiła się z innymi psami, nie badała intrygujących zapachów i dźwięków i nie polowała na zwierzęta, będące tradycyjną ofiarą jej przodków, albowiem już od szczeniństwa wielkomózgie istoty ludzkie okazywały jej nienawiść i odmawiały pożywienia, ilekroć dopuściła się którejś z tych rzeczy. Już od początku wpojono jej następującą wiedzę na temat planety, na której się znalazła, a mianowicie: wszystkie przyrodzone psie czynności są przeciwne prawu — wszystkie, bez wyjątku.

Ponieważ usunięto jej organy płciowe, Kazak nigdy nie miała zaznać ogłupiającej potrzeby seksualnej. Miałem właśnie powiedzieć, iż wkrótce obsada mojej historii zredukuje się do zaledwie jednego przedstawiciela płci męskiej i wielu osobników



rodzaju żeńskiego, łącznie z suczką, lecz wskutek operacji Kazak nie należała tak naprawdę do płci żeńskiej. Podobnie jak Mary Hepburn, Kazak została wyłączona z ewolucyjnych rozgrywek. Nie była w stanie przekazać swoich genów nikomu.

W następnym apartamencie, połączonym z pokojem Seleny otwartymi drzwiami łącznikowymi, mieściła się kwatera jej krzepkiego ojca — finansisty i awanturnika \*Andrew MacIntosha. \*Andrew był wdowcem. Mógłby się świetnie porozumieć z Mary Hepburn, jako że oboje równie żarliwie uwielbiali ruch na świeżym powietrzu. Niestety, nie było im dane spotkać się ze sobą. Jak już wspominałem, \*Andrew MacIntosh i \*Zenji Hiroguchi zginą przed zachodem słońca.

James Wait, nawiasem mówiąc, otrzymał całkowicie odosobniony pokój na pierwszym piętrze, tak daleko od innych gości, jak tylko to było możliwe. Jego wielki mózg złożył mu gratulacje z okazji tak rzucającej się w oczy skromności i niewinności, ale akurat w tym miejscu się pomylił. Po prostu kierownik hotelu zakwalifikował Waita jako bliżej nie określonej kategorii hochsztaplera.

Ów kierownik hotelu nazywał się \* Siegfried von Kleist i był ponurym mężczyzną w średnim wieku. Należał do starej i na ogół zamożnej społeczności niemieckiej w Ekwadorze. Jego dwaj wujowie ze strony ojca, mieszkający w Quito właściciele „El Dorado” i „Bahii de Darwin”, zatrudnili go w hotelu jedynie na dwa, dobiegające właśnie końca tygodnie. Zajęcie polegało na opiece nad uczestnikami „Przyrodniczej Wyprawy Stulecia”. Ogólnie rzecz biorąc, \* Siegfried von Kleist był wałkoniem posiadającym sporo odziedziczonych pieniędzy, lecz wujowie zawstydzili go do tego stopnia, iż poczuł, że powinien, powiedzmy: „przyłożyć się do wiosel” w tym szczególnym, rodzinnym przedsięwzięciu.

Był kawalerem i miał umrzeć bezpotomnie, a zatem, z punktu widzenia ewolucji, nic nie znaczył. Mógł być, co prawda, matrymonialną szansą dla Mary Hepburn, gdyby nie to, że jego los był przesądzony. \* Siegfried von Kleist przeżyje wprawdzie zachód słońca, lecz w trzy godziny później utonie w fali pływowej.

Była właśnie czwarta po południu. \* Siegfried von Kleist, rodowity ekwadorski Hun z obwisłym wąsem i wodnistymi, niebieskimi oczyma wyglądał właśnie tak, jak

gdyby spodziewał się umrzeć tego wieczoru, chociaż nie był w stanie przewidzieć przyszłości w większym stopniu niż ja. Owego popołudnia obydwaj doznawaliśmy uczucia, że planeta chwieje się wzdłuż swojej osi i że wszystko może się wydarzyć.

\* Zenji Hiroguchi i \* Andrew MacIntosh zginęli, nawiasem mówiąc, od ran postrzałowych.

\* Siegfried von Kleist jest w mojej opowieści postacią nieistotną, natomiast nadzwyczaj ważny jest, starszy od niego o trzy lata, jego brat Adolf, również kawaler. Adolf von Kleist, kapitan „Bahii de Darwin”, będzie faktycznie przodkiem każdej istoty ludzkiej, jaka zamieszkuje dzisiaj na ziemi.

Z pomocą Mary Hepburn, Adolf von Kleist zostanie, że tak powiem, Adamem ery nowożytnej. Ponieważ nauczycielka biologii z Ilium już nie jajczkowała, nie mogła zostać jego Ewą. Musiała za to stać się kimś na podobieństwo Boga.

Na razie jednak ów nadzwyczaj istotny brat bezwartościowego zarządcy hotelu lądował na Międzynarodowym Lotnisku w Guayaquil, powracając na pokładzie pustego niemal transportowca z Nowego Jorku, gdzie organizował reklamę dla „Przyrodniczej Wyprawy Stulecia”.

Gdyby nawet Mary uważnie wsłuchiwała się w szmery dobiegające zza ściany łazienki, i tak nie zrozumiałaby, co zaprzęta Hiroguchich, jako że posługiwali się oni japońskim, jedynym językiem, w jakim oboje byli biegli. \* Zenji znał trochę angielski i rosyjski, zaś Hisako mówiła nieco po chińsku. Żadne z nich nie znało hiszpańskiego, kiczua, niemieckiego ani portugalskiego, a więc powszechnie używanych w Ekwadorze języków.

Okazało się, iż oboje byli na dodatek przygnębieni z powodu tego, co uczyniły im ich rzekomo wspaniałe mózgi. Znaleźli się w koszmarnej sytuacji niejako na własne życzenie i czuli się szczególnie głupio, ponieważ \* Zenji był ogólnie znany jako jeden z najinteligentniejszych ludzi na świecie. I to wskutek jego głupoty, nie jej, stali się więźniami przebojowego \* Andrew MacIntosha.

Oto, jak do tego doszło: \* MacIntosh, który wraz ze swą niewidomą córką i jej psem odwiedził Japonię mniej więcej przed rokiem, zetknął się z \* Zenjim i zapoznał ze

wspaniałą robotą, jaką ten wykonał dla firmy Matsumoto. W dziedzinie technologii \* Zenji był już dziadkiem, chociaż miał dopiero dwadzieścia dziewięć lat. Najpierw spłodził kieszonkowy komputer, zdolny do natychmiastowego tłumaczenia wielu mówionych języków, i ochrzcił go imieniem Gokubi. A potem, w czasie wizyty \* MacIntosha w Japonii, wystąpił z testowym modelem należącego do nowej generacji symultanicznego tłumacza mowy, którego nazwał Mandarax.

Zatem \* Andrew MacIntosh, którego firma inwestycyjna zarabiała pieniądze na sobie i na różne inicjatywy sprzedażą kontraktów i akcji, wziął na stronę młodego \* Zenjiego, który dowiedział się w chwilę potem, iż jest idiotą, skoro pracuje na etacie, i że \* MacIntosh mógłby pomóc mu w założeniu własnego przedsiębiorstwa. Ów biznes niemal natychmiast uczyniłby \* Zenjiego miliarderem w dolarach, zaś w jenach — trylionerem.

Zenji powiedział na to, że chciałby mieć trochę czasu do namysłu.

Ta wstępna rozmowa toczyła się w tokijskiej restauracji sushi. Sushi, surowa ryba obłożona wokół zimnym ryżem, była przed milionem lat popularnym daniem. Mało komu śniło się wówczas, iż kiedyś, w słodkiej przyszłości, ludzie będą wcinąć praktycznie tylko surowe ryby.

Zażywny, hałaśliwy amerykański przedsiębiorca i powściągliwy, filigranowy japoński wynalazca porozumiewali się przy pomocy Gokubiego, jako że żaden nie władał należycie językiem rozmówcy. W owych czasach używano na świecie wielu tysięcy tych komputerków. \* MacIntosh i \* Zenji nie posłużyli się Mandaraxem, ponieważ jedyny działający egzemplarz znajdował się pod silną strażą w pracowni \* Zenjiego w Matsumoto. Jednak wielki mózg \* Zenjiego zaczął już bawić się myśli o bogactwie równie wielkim, jakim szczycił się najbardziej zamożny człowiek w Japonii, a mianowicie jej cesarz.

Kilka miesięcy później, w tym samym styczniu, kiedy Mary i Roy Hepburnowie sądzili, iż mają za co być wdzięczni, \* Zenji otrzymał od \* MacIntosh list. Amerykanin zapraszał go, z dziesięciomiesięcznym wyprzedzeniem, w gościnę do swego meksykańskiego majątku na Jukatanie, niedaleko Meridy. W programie pobytu przewidziany był również udział w dziewiczym rejsie luksusowego ekwadorskiego statku o nazwie „Bahia de Darwin”, w którego sfinansowaniu \* MacIntosh miał swój udział.

W liście, pisanym po angielsku, \* MacIntosh zwracał się do \* Zenjiego w ten sposób: „Skorzystajmy z okazji, by naprawdę dobrze nawzajem się poznać”.

To, co \* MacIntosh zamierzał wydobyć z \* Zenjiego, jeśli nie na Jukatanie, to w trakcie „Przyrodniczej Wyprawy Stulecia”, było podpisem japońskiego geniusza komputerowego na kontrakcie czyniącym go szefem nowej korporacji, której akcjami zamierzał handlować Amerykanin.

Podobnie jak James Wait, \* MacIntosh był swego rodzaju rybakiem. Spodziewał się złowić inwestorów, używając jako przynęty nie metki z ceną przy koszulce, lecz japońskiego geniusza komputerowego.

Uświadomiłem sobie w tej chwili, iż w historii, którą tu opowiadam, a która obejmuje okres miliona lat, nic tak naprawdę się nie zmienia, od początku do końca. Ciągle łapię się na tym, że, bez względu na rozmiary ich mózgów, mówię o ludziach jako o rybakach.

I tak nastał listopad, a państwo Hiroguchi znaleźli się w Guayaquil. Idąc za radą \* MacIntosh, \* Zenji okłamał swych pracodawców co do miejsca pobytu. Wmówił im, że praca nad Mandaraxem wyczerpała go do tego stopnia, iż najbliższe dwa miesiące pragnie spędzić z żoną tylko we dwoje, w izolacji od świata i z dala od wszystkiego, co mogłoby kojarzyć mu się z pracą. W wielkie mózgi swoich szefów \* Zenji wprowadził następujący program dezinformacyjny: wynajął szkuner z załogą, lecz nie chciał ujawnić jego nazwy; szkuner miał wyruszyć na Wyspy Karaibskie z pewnego meksykańskiego portu, lecz nazwa portu również była tajemnicą.

I chociaż lista pasażerów „Przyrodniczej Wyprawy Stulecia” została szeroko opublikowana, pracodawcy \* Zenjiego nie dowiedzieli się nigdy, że ich najbardziej wydajny pracownik, wraz z żoną, miał wziąć w niej udział. Podobnie jak James Wait, państwo Hiroguchi podróżowali pod fałszywymi personaliami.

I tak jak James Wait zatarli za sobą wszystkie ślady!

Nikt nie byłby w stanie ich odnaleźć. Jakikolwiek poszukiwania, zaplanowane przez wielkie mózgi, nie rozpoczęłyby się nawet od właściwego kontynentu.

W swoim pokoju, sąsiadującym z pokojem Mary Hepburn, oboje Hiroguchi szemrali dalej na temat \* Andrew MacIntosha, będącego, ich zdaniem, niewątpliwym szaleńcem. To była lekka przesada. \* MacIntosh z pewnością był gwałtowny, zachłanny i prostacki, lecz nie chory. Większość z tego, w co wierzył jego wielki mózg, rzeczywiście istniała. Kiedy \* Andrew MacIntosh wraz z Seleną, Kazakiem i Hiroguchimi leciał z Meridy do Guayaquil, pilotując zresztą swój własny odrzutowiec, zdawał sobie doskonale sprawę z tego, iż w mieście może zostać wprowadzony stan wojenny lub coś w tym stylu, że sklepy mogą być zamknięte, że może pojawić się stale rosnąca liczba głodujących, że „Bahia de Darwin” być może nie wypłynie zgodnie z planem i tak dalej.

Dzięki środkom łączności, jakie posiadał w swojej jukatańskiej rezydencji, \* Andrew MacIntosh orientował się na bieżąco we wszystkim, co jest grane w Ekwadorze czy jakimkolwiek innym miejscu, którym z jakichś powodów się interesował. Zarazem musiał utrzymywać Hiroguchich, ale nie swoją niewidomą córkę, że tak powiem — w ciemnościach, jeśli chodzi o to, co przypuszczalnie ich oczekiwało.

Prawdziwym powodem jego wyjazdu do Guayaquil, czego nie ukrywał przed córką, tylko przed Hiroguchimi, był zakup możliwie wielkiego ekwadorskiego majątku po możliwie najniższej cenie, dołączając do tego, być może, nawet „El Dorado” i „Banię de Darwin”, a także kopalnie złota, pola naftowe, i tak dalej i dalej. Co więcej, zamierzał na zawsze związać ze sobą Hiroguchiego jako współnika w interesach, pożyczając mu pieniądze i czyniąc z niego największego właściciela w Ekwadorze.

\* MacIntosh nalegał, by Hiroguchi nie opuszczali swojego pokoju w „El Dorado”, ponieważ łąda chwila mogą otrzymać rewelacyjne wieści. Sam przez całe popołudnie wisił na telefonie, wydzwanając do ekwadorskich finansistów i banków, a wieści, których się spodziewał, dotyczyły wszystkich tych dóbr, jakie on i \* Hiroguchi mieli, za dzień lub dwa, nazwać swoimi. Po każdym telefonie \* Andrew MacIntosh mówił: — A „Przyrodniczą Wyprawę Stulecia” niech trafi szlag!

Oboje Hiroguchi nie byli już w stanie wyobrazić sobie żadnej dobrej informacji, jakiej mógłby dostarczyć im \* Andrew MacIntosh. Szczerze wierzyli, iż mają do

czynienia z pomyłką, a źródłem tego nieporozumienia był, jak na ironię, Mandarax — osobiste dzieło \* Zenjiego. Obecnie istniało już dziesięć tego typu komputerków, z których jeden miał przy sobie \* Zenji, a dziewięć pozostałych znajdowało się w Tokio. Mandarax, w odróżnieniu od Gokubiego, był nie tylko tłumaczem, ale potrafił również, z budzącą szacunek trafnością, postawić diagnozę w przypadku tysiąca chorób, na jakie najczęściej zapadał homo sapiens. Wśród tych chorób znajdowało się dwanaście odmian załamania nerwowego.

Wyczyny Mandaraxa na polu medycyny były w istocie dość naiwne. Został on tak zaprogramowany, by postępować jak prawdziwy lekarz, to jest zadawać serię pytań, z których każde implikowało następne. Na przykład: „Jaki macie apetyt?”, a potem: „Czy wypróżniacie się regularnie?” i, być może: „Jak wygląda wasz stolec?”. I tak dalej.

Hiroguchi upletli na Jukatanie podobny wianuszek pytań i odpowiedzi, opisując Mandaraxowi zachowanie \* Andrew MacIntosh. W końcu, na ekranie wielkości karty do gry, Mandarax wyświetlił diagnozę: „Osobowość patologiczna”.

Na nieszczęście dla Hiroguchich, lecz nie dla Mandaraxa, który niczego nie czuł i o nic nie dbał, komputer nie był tak zaprogramowany, by wyjaśnić, iż jest to raczej lekkie schorzenie, z powodu którego ludzie rzadko bywają hospitalizowani. Co więcej, należą do najszczęśliwszych na świecie, gdyż ich zachowanie dokucza po prostu wszystkim dookoła, zaś prawie nigdy im samym. Prawdziwy lekarz mógłby dodać, że miliony ludzi chodzą codziennie po ulicach deptając innych po nogach i że nie sposób stwierdzić, czy ich osobowości są czy nie są patologiczne.

Oboje Hiroguchi byli jednak w sprawach medycznych takimi ignorantami, że zareagowali na diagnozę tak, jakby dotyczyła nie wiadomo jakiej straszliwej choroby. Tak czy owak, pragnęli za wszelką cenę urwać się \* MacIntoshowi i powrócić do Tokio. Tymczasem jednak pozostawali od niego zależni tak bardzo, jak bardzo pragnęli nie mieć z nim do czynienia. Dzięki Mandaraxowi dowiedzieli się od ponuro wyglądającego zarządcy hotelu, że wszystkie liniowe loty z Guayaquil zostały odwołane, zaś ani jedno z towarzystw czarterujących samoloty nie kwapiło się z odzewem na ich telefony.

Tak więc osłupiałym Hiroguchim pozostały dwa możliwe sposoby na opuszczenie Guayaquil — albo na pokładzie odrzutowca \* MacIntosha, albo na

pokładzie „Bahii de Darwin”, o ile, w co było coraz trudniej uwierzyć, wypłynie ona nazajutrz w rejs.

### 13

\* Zenji Hiroguchi spłodził Gokubiego milion pięć lat temu, zaś przed milionem lat młody geniusz spłodził Mandaraxa. Tak, a w okresie majstrowania Mandaraxa żona \*Hiroguchiego miała obdarzyć męża pierwszym ludzkim potomstwem.

Hisako żywiła pewne obawy co do swoich genów, ponieważ jej matka uległa napromieniowaniu, kiedy Stany Zjednoczone spuściły bombę atomową na Hiroshimę w Japonii. A zatem jeszcze w Tokio pobrano od Hisako próbkę płynu owodniowego, by stwierdzić, czy może urodzić normalne dziecko. Ów płyn, nawiasem mówiąc, był dokładnie tak samo słony jak woda oceanu, w którym miała pogrążyć się „Bahia de Darwin”.

Testy wykazały normalność płodu.

Zdradziły również jego płeć. Dziecko miało przyjść na świat jako mała dziewczynka, jeszcze jedna osoba płci żeńskiej w tej opowieści.

Testy nie były w stanie wykrywać drobniejszych uszkodzeń płodu, takich na przykład, jak drewniane ucho Mary Hepburn, co zresztą nie spotkało dziecka Hisako — nie były też w stanie przewidzieć, że dziecko może być pokryte delikatnym, jedwabistym futerkiem, podobnie jak foka, co właśnie przytrafiło się córeczce Hiroguchich.

Jedyną ludzką istotą, jaką kiedykolwiek spłodził \* Zenji Hiroguchi i której nie dane mu było ujrzeć, miała być milusia, futerkowa dziewczynka.

Miała urodzić się na Santa Rosalii, najdalej na północ położonej wyspie archipelagu Galapagos. Miała otrzymać imię Akiko.

Kiedy Akiko osiągnęła dojrzałość, okazało się, że wewnętrznie była bardzo podobna do swojej matki, od której różniła się tylko innym rodzajem skóry. Odwrotnie było w przypadku Gokubiego i Mandaraxa, gdzie ewolucji polegała na gruntownym wzbogaceniu zawartości opakowania przy mało widocznych zmianach w wyglądzie. Akiko była zabezpieczona przed palącym słońcem i lodowatą wodą i nie przejmowała się

szorstkością lawy, jeżeli miała akurat ochotę położyć się lub usiąść, podczas gdy skóra jej matki była bezbronna wobec tych wszystkich utrudnień, tak pospolitych w wyspiarskim życiu. Tymczasem Gokubi i Mandarax, mimo wewnętrznych różnic, mieściły się w niemal identycznych pudełkach z czarnego, odpornego na uderzenia plastiku, o wymiarach dwanaście na osiem i na dwa centymetry.

Każdy dureń mógł odróżnić Akiko od Hisako, ale tylko fachowiec był w stanie odróżnić Gokubiego od Mandaraxa.

I Gokubi, i Mandarax posiadały na obudowie sensoryczne przyciski, dzięki którym można było uzyskiwać potrzebne dane. Na panelu każdego z nich znajdował się identyczny ekran, wyświetlający oczekiwane informacje i spełniający zarazem rolę fotokomórki, zasilającej w energię mikroskopijne akumulatorki, dokładnie takie same w Gokubim i w Mandaraksie.

W prawym górnym rogu ekranu wbudowany był mikrofon o rozmiarach łebka od szpilki. To dzięki niemu Gokubi i Mandarax odbierały mówiony język, który potem, zgodnie z instrukcjami otrzymanymi za pośrednictwem przycisków, tłumaczyły na słowa pojawiające się na ekranie.

Osoba posługująca się tym instrumentem musiała mieć ręce szybkie i sprytne jak magik, o ile tok dwujęzycznej konwersacji miał być naturalny. Załóżmy, że chciałbym pogadać z Portugalczykiem, sam będąc osobą anglojęzyczną. Musiałbym więc trzymać aparacik w okolicy ust mówiącego Portugalczyka, jednocześnie nie spuszczać oczu z ekranu, by móc przeczytać angielski przekład jego wypowiedzi. Następnie powinienem błyskawicznie obrócić aparacik tak, by mógł odbierać moje słowa, a Portugalczyk mógł przeczytać je na ekranie w swoim własnym języku.

Nikt z żyjących dziś ludzi nie ma na tyle sprytnych rąk ani dostatecznie wielkiego mózgu, by posługiwać się Gokubim lub Mandaraxem. Nikt nie potrafi nawlekać igły, grać na fortepianie czy też, zależnie od okoliczności — dłużyć w nosie.

Gokubi potrafił tłumaczyć zaledwie z dziesięciu języków, Mandarax zaś mógł tłumaczyć z tysiąca. W Gokubiego trzeba było wprowadzać nazwę języka, który miał być tłumaczony. Mandarax potrafił zidentyfikować każdy z tysiąca języków na podstawie



kilku wypowiedzianych słów i przystępował do pracy od razu, bez żadnych dodatkowych informacji.

Gokubi i Mandarax były też wyjątkowo precyzyjnymi zegarkami i wiecznymi kalendarzami. Zegar w Mandaraksie — w przeciągu trzydziestu jeden lat, licząc od momentu, gdy \* Zenji skontrolował go w „El Dorado”, do chwili, gdy wraz z Mary Hepburn komputerki zostały pożarte przez wielkiego białego rekina — spóźnił się jedynie o osiemdziesiąt dwie sekundy.

Gokubi potrafił odmierzać czas równie precyzyjnie, lecz pod każdym innym względem Mandarax bił swego ojca na głowę. Nie tylko operował sto razy większą liczbą języków niż jego przodek i nie tylko potrafił prawidłowo diagnozować więcej chorób niż większość lekarzy w owych czasach. Mógł również, na żądanie, wymienić znaczące wydarzenia, jakie miały miejsce w danym roku. Gdybyście wystukali na przykład „1809”, rok narodzin Karola Darwina — Mandarax powiedziałby wam, że w tym roku urodzili się również Aleksander Dumas i Wiktor Hugo, że Beethoven ukończył II Symfonię; że Francja stłumiła rebelię na Santo Domingo; że w Wielkiej Brytanii weszła w życie Ustawa o Zdrowiu i Obyczajności Uczniów Oddawanych do Terminu, i tak dalej i dalej. W tym samym roku Napoleon został prezydentem Republiki Włoskiej.

Ponadto Mandarax znał reguły dwustu gier i potrafił wyliczyć podstawowe zasady ustanowione przez mistrzów w pięćdziesięciu rodzajach sztuki i rzemiosła. To nie koniec. Mandarax mógł też przywołać na życzenie dowolny z dwudziestu tysięcy popularnych cytatów z literatury. I tak, gdybyście wystukali na przykład słowo „zorce”, na ekranie pojawiłyby się takie oto harde zdania:

*Wieczorna gwiazda i zorze,  
I głos, którego nie zgłuszę!  
I niepotrzebny jęk przy zaporze,  
Gdy na ocean ruszę.<sup>3</sup>*

Alfred lord Tennyson (1809-1892)

Mandarax \* Zenjiego Hiroguchi miał spędzić trzydzieści jeden lat jako rozbitek na Santa Rosalii, gdzie znalazł się razem z ciężarną żoną \* Zenjiego, z Mary Hepburn, Seleną MacIntosh, kapitanem Adolfem von Kleistem i sześcioma innymi osobami płci

---

<sup>3</sup> Przekład J. Żuławskiego

żeńskiej. W tych szczególnych okolicznościach nie mógł się na wiele przydać.

Bezużyteczność całej jego wiedzy doprowadzała Kapitana do takiej wściekłości, iż odgrażał się, że wrzuci go do morza. W ostatnim dniu życia osiemdziesięciosześcioletni Kapitan postanowił spełnić swoją groźbę. Mary miała wówczas osiemdziesiąt jeden lat. Można by rzec, że ostatnim czynem Adolfa von Kleista — tego nowego Adama — było ciśnięcie Owocu Poznania w głąb błękitnego oceanu.

W osobliwych warunkach Santa Rosalii medyczne porady Mandaraxa zakrawały na kpiny. Kiedy Hisako Hiroguchi popadła w głęboką depresję, mającą trwać przez blisko dwadzieścia lat aż do jej śmierci, Mandarax zalecał jej nowe hobby, nowych przyjaciół, zmianę otoczenia i, być może — pracy, oraz kurację litową. Kiedy Selenie MacIntosh, w wieku zaledwie trzydziestu ośmiu lat, zaczęły wysiadać nerki, Mandarax zasugerował, iż należy jak najszybciej znaleźć właściwego dawcę i dokonać transplantacji. Gdy sześciolatnia Akiko, futrzasta córka Hisako, złapała zapalenie płuc — najwyraźniej od pewnej foki, która była jej najlepszą przyjaciółką — Mandarax zalecił antybiotyki. Hisako i niewidoma Selena mieszkały wtedy razem i wspólnie wychowywały Akiko, niemal jak mąż i żona.

A kiedy proszono Mandaraxa o jakieś cytaty z literatury, którymi można by uczcić różne uroczystości odbywane na hałdzie żużlu, jaką była Santa Rosalia — zawsze niemal wyskakiwał jak Filip z konopi. Kiedy Akiko, będąca wówczas dwudziestoczteroletnią dziewczyną, urodziła swoją własną futerkową córeczkę, a zarazem pierwszego członka drugiej generacji istot ludzkich spłodzonych na wyspie, Mandarax uczcił ją następującymi myślami:

*Gdybym zawisnął na wzgórza stoku,*

*O matko moja, o matko ma!*

*Wiem, czyja miłość dotrzyma mi kroku,*

*O matko moja, o matko ma!*

Rudyard Kipling (1865-1936)

oraz:

*Tam, gdzie się poczęł, w tym łonie ciemnym,*

*Życie mej matki wsączało się we mnie.*

*Tam ja, ludzki owoc, przez długie miesiące*

*Czerpalem soki z urody kwitnącej.  
Choć ślepe, bezwolne i słabe dziecię,  
Cząstkę swej matki zabiłem przecie.*

John Masefield (1878-1967)

a także:

*Panie, coś zrządził, by ludzka rasa  
Czule zgryzoty i trudy znosiła!  
Dzięki za więzy, który miś złączył  
Dziecko i matkę, co je zrodziła.*

William Cullen Bryant (1794-1878)

i wreszcie:

Czczij ojca swego i matkę swoją, aby długo trwały twoje dni na ziemi, którą Pan,  
Bóg twój, da tobie.<sup>4</sup>

Biblia

Ojcem córeczki Akiko był pierworodny Kapitana, zaledwie trzynastoletni Kamikaze.

## 14

Przez pierwsze czterdzieści jeden lat istnienia kolonii, od której pochodzi cała dzisiejsza ludzkość, było wiele okazji do świętowania narodzin, chociaż bez formalnych małżeństw. Rzecz jasna, od samego początku istniały różne pary. Kapitan i Mary Hepburn żyli razem przez pierwsze dziesięć lat, dopóki Mary nie popełniła czegoś, zdaniem Kapitana absolutnie niewybaczalnego, a mianowicie dopóki nie wykorzystwała jego spermy bez upoważnienia. Owe sześć innych kobiet, żyjących razem jak w rodzinie, również utworzyło pary w obrębie istniejącego już wcześniej bardzo intymnego, siostrzanego związku.

Kiedy na Santa Rosalii celebrowano pierwsze małżeństwo, zawarte pomiędzy Kamikaze i Akiko, był już rok 2027 i wszyscy pierwotni koloniści dawno zniknęli w krętym, błękitnym tunelu wiodącym w Zaświaty, zaś Mandarax spoczywał wśród skorupiaków na dnie południowego Pacyfiku. Gdyby Mandarax wciąż znajdował się pod

---

<sup>4</sup> Przekład wg wyd.: Brytyjskie i Zagraniczne Tow. Biblijne

ręką, na pewno miałby do powiedzenia na temat małżeństwa głównie niemiłe rzeczy, takie jak to:

*Małżeństwo: wspólnota składająca się z pana, pani oraz dwojga niewolników, co w sumie daje dwie osoby.*

Ambrose Bierce (1842 - c. 1914)

lub to:

*Miłość w małżeństwo, jak wino przechodzi  
W ocet; przelewka cierpka, kwaśna, mętna,  
Napój zmieniony z ambrozji różowej  
Na specjał godny apteczki domowej.<sup>5</sup>*

George lord Byron (1788-1824)

i tak dalej.

Ostatni związek małżeński na archipelagu Galapagos, a zarazem ostatni na Ziemi, został zawarty na wyspie Fernandinie w roku 23 011. Dzisiaj nikt już niema pojęcia, czym jest małżeństwo. Muszę przyznać, iż cynizm Mandaraxa wobec tej instytucji w okresie jej szczytowego ' rozwoju był w wielkiej mierze uzasadniony. Moi rodzice unieszczęśliwili się nawzajem, a Mary Hepburn, już jako stara kobieta na Santa Rosalii, powiedziała kiedyś futrzastej Akiko, iż ona i Roy stanowili prawdopodobnie jedyne szczęśliwe małżeństwo w całym Ilium.

Powód, dla którego małżeństwo było niegdyś tak skomplikowanym problemem, nie różnił się wcale od powodu wielu innych nieszczęść: był nim po prostu przerośnięty mózg. Ten nieporęczny komputer potrafił zmieścić w sobie jednocześnie tyle sprzecznych opinii dotyczących tak wielu rozmaitych rzeczy i przeskakiwać z tematu na temat od opinii do opinii tak szybko, że dyskusja pomiędzy zestresowanymi małżonkami mogła skończyć się tak, jak wymiana ciosów pomiędzy ślepymi na wrotkach.

Na przykład oboje Hiroguchi, których głosy musiała słyszeć przez ścianę Mary, zmieniali właśnie z szybkością błyskawicy opinie o sobie nawzajem, o miłości, seksie, pracy, świecie i tak dalej.

W jednej sekundzie Hisako myślała, że jej mąż jest głupi jak but i że powinna

---

<sup>5</sup>Przekład E. Porebowicza

ratować siebie i dziecko. W następnej sekundzie oceniała go tak jak inni i uważała, że jest genialny, więc nie ma powodu do zmartwień, gdyż szybko i łatwo uwolni ich od kłopotów.

W jednej sekundzie \* Zenji przeklinał w duchu żonę za jej bezradność, za to, że była dla niego śmiertelnym ciężarem, a w następnej sekundzie ślubował sobie oddać życie za tę boginię i jej nie narodzoną córkę, o ile to będzie konieczne.

Jaki mógł być pożytek z takiej emocjonalnej chwiejności, by nie rzecz — szaleństwa, dla zwierząt, których zadaniem było trzymać się razem co najmniej tak długo, by odchowić ludzką istotę, co zajmowało około czternastu lat?

\* Zenji złapał się na tym, że przerwał ciszę słowami:

— Jest jeszcze coś, czym się gryziesz.

Miał na myśli coś bardziej osobistego niż ogólny bałagan, w którym tkwili i który denerwował ją od pewnego czasu, doprowadzając w końcu do wybuchu.

— Nie — odparła.

Jej odpowiedź ujawniała jeszcze jedną cechę wielkich mózgów: Potrafiły z łatwością robić coś, do czego nie był zdolny Mandarax, a mianowicie kłamać, kłamać i jeszcze raz kłamać.

— Coś dręczy cię już od tygodnia — powtórzył \* Zenji. — Dlaczego nie chcesz wyrzucić tego z siebie? Powiedz, o co chodzi.

— O nic — powiedziała Hisako.

Któż chciałby spędzić czternaście lat z komputerem, o którym nigdy nie wiadomo, czy mówi prawdę, czy nie?

Hiroguchi rozmawiali w języku japońskim, nie w idiomatycznej amerykańskiej angielszczyźnie, którą posługuję się w całej tej opowieści. \* Zenji, nawiasem mówiąc, bawiąc się nerwowo Mandaraxem i przekładając go z ręki do ręki, musiał tak go niechętny nastawić, że wszystko, co którekolwiek z nich powiedziało, aparacik tłumaczył natychmiast na język Indian z plemienia Navaho.

— W porządku, skoro musisz wiedzieć... — powiedziała w końcu Hisako. — Kiedy byliśmy na Jukatanie i ty nurkowałeś w poszukiwaniu zatopionych skarbów, ja

bawiłam się na „Omoo” Mandaraxem.

„Omoo” był stumetrowym jachtem \* MacIntosh. Amerykanin istotnie zmusił \* Zenjiego, choć ten ledwo pływał, do czterdziestometrowych zejść pod wodę do wraka hiszpańskiego galeonu, z którego wydobywali armatnie kule i potłuczone naczynia. \* MacIntosh zmusił również do nurkowania swoją niewidomą córkę, łącząc trzymetrową nylonową linką jej prawy nadgarstek z kostką swojej prawej nogi.

— Przypadkiem odkryłam w Mandaraksie pewną funkcję, o której zapomniałeś mi powiedzieć — ciągnęła Hisako. — Chcesz zgadnąć, o czym mówię?

— Nie, nie chcę — odparł \* Zenji. Teraz on kłaniał.

— Mandarax — powiedziała Hisako — okazał się doskonałym nauczycielem ikebany.

Wiedza na temat ikebany była dla Hisako, rzecz jasna, racją jej istnienia i stanowiła powód do dumy. Tymczasem odkrycie, że małe czarne pudełko potrafi nie tylko nauczyć tego, co ona, ale na dodatek może to robić w tysiącu języków, musiało nieco nadwzględnić jej poczucie godności.

— Zamierzałem ci o tym powiedzieć. Naprawdę chciałem — powiedział \* Zenji. Było to jeszcze jedno kłamstwo. Szansa, że Hisako sama odkryje możliwości Mandaraxa w dziedzinie ikebany, była równie mała jak to, że odgadnie ona szyfr do bankowego sejfu. Hisako w ogóle nie interesowała się działaniem Mandaraxa i aż do śmierci mogła na to nie wpaść.

I gdyby wtedy, na pokładzie „Omoo”, nie manipulowała przyciskami komputerka, Mandarax nie powiedziałby jej nieoczekiwanie, trach-ciach, że najpiękniejsze kwietne kompozycje muszą składać się z jednego, dwóch, góra — trzech elementów. W układzie złożonym z trzech elementów, pouczał Mandarax, wszystkie trzy albo co najmniej dwa muszą być jednakowe. Układ z trzech różnych elementów jest wykluczony. Poza tym poinformował ją o idealnych stosunkach wysokości poszczególnych części układu wieloelementowego oraz o proporcjach pomiędzy elementami a wysokością i średnicą wazonów, pucharów lub czasem — koszyków.

Ikebana okazała się równie łatwa do skodyfikowania jak współczesna praktyka lekarska.

\* Zenji Hiroguchi osobiście nie nauczył Mandaraxa ani ikebany, ani żadnej innej umiejętności. Zostawił to swoim podwładnym. Fagas, który nauczył Mandaraxa sztuki układania kwiatów, poszedł po prostu z magnetofonem do słynnej szkoły Hisako, a potem sporządził z taśm odpowiedni wyciąg.

\* Zenji powiedział żonie, iż musiał nauczyć Mandaraxa ikebany po to, by sprawić miłą niespodziankę pani Onassis, której zamierzał ofiarować swoje dzieło podczas ostatniego wieczoru „Przyrodniczej Wyprawy Stulecia”.

— Zrobiłem to dla niej — powiedział — ponieważ jest ona znana jako miłośniczka piękna.

To akurat było prawdą, lecz Hisako i tak mu nie uwierzyła. Tak w 1986 roku dochodziło do fatalnych sytuacji. Nikt nikomu już nie wierzył, ponieważ łgarstwo było coraz bardziej na porządku dziennym.

— Och, tak — prychnęła Hisako. — Jestem pewna, że zrobiłeś to dla pani Onassis, jak również i po to, aby uczyć swoją żonę. Postanowiłeś umieścić mnie w gronie nieśmiertelnych.

Hisako mówiła o wszystkich tych tęgich mózgowcach, których mógł cytować Mandarax.

Czuła się w tym momencie naprawdę nędznie i pragnęła umniejszyć zasługi męża w tym samym stopniu, w jakim on, wedle jej mniemania, pomniejszył jej własne.

— Muszę być okropnie głupia — stwierdziła Hisako, a Mandarax wiernie przełożył to wyznanie na pisany język plemienia Navaho: „To zabierać mi niewybaczalnie długi czas, zanim ja zrozumieć, jak wielka złośliwość to być, jak duża obraza dla innych być w tym, co ty robisz.”

— Pan, doktorze \* Hiroguchi — kontynuowała Hisako — myśli zapewne, że każdy człowiek, z wyjątkiem pana, zagraca po prostu przestrzeń na tej planecie; że robimy zbyt wiele hałasu, dewastujemy cenne bogactwa naturalne, płodzimy za dużo dzieci i wszędzie tworzymy śmietniki. A przecież byłoby to znacznie sympatyczniejsze miejsce, gdyby tych parę głupich sztuczek, do jakich jesteśmy zdolni i do których masz słabość, przejęły maszyny. Taki cudowny Mandarax, którym się właśnie skrobiesz w ucho — czymże jest, jeśli nie pretekstem dla małodusznego egoisty, by nie płacić czy choćby dziękować komukolwiek za wiedzę z matematyki, historii, medycyny, za

znajomość języków obcych, literatury, ikebany i tym podobnych?

Wcześniej już wyraziłem moją opinię na temat niegdysiejszego bzika na punkcie maszyn zastępujących ludzi we wszystkim; mówię poważnie — we wszystkim. Chciałbym dodać jedynie, że mój ojciec, który był pisarzem fantastyczno-naukowym, napisał swego czasu nowelkę o facecie, z którego wszyscy się nabijali, ponieważ konstruował sportowe roboty. Zbudował robota golfowego, który za każdym razem trafiał do dołka; robota koszykarskiego, który nigdy nie pudłował; robota tenisowego, który za każdym serwisem zdobywał asa, i tak dalej.

Z początku ludzie nie potrafili uświadomić sobie zastosowania podobnych robotów do czegokolwiek. Od wynalazcy odeszła żona — nawiasem mówiąc, to samo przytrafiło się mojemu ojcu — a jego dzieci usiłowały wsadzić go do czubków. Ale potem konstruktor przekonał speców od reklamy, że jego roboty mogłyby również zachwalać samochody, piwo, żyletki, zegarki, perfumy czy cokolwiek innego. Tym sposobem dorobił się wielkiej fortuny, ponieważ, według mego ojca, wielu entuzjastów sportu pragnęło być dokładnie takimi, jak owe roboty. I nie pytajcie, dlaczego.

## 15

Tymczasem w pokoju niewidomej córki \* Andrew MacIntosh oczekiwał na telefon, po którym spodziewał się dobrych wieści, tych właśnie, którymi zamierzał następnie podzielić się z Hiroguchimi. \* MacIntosh biegle władał hiszpańskim i spędził całe popołudnie wisząc na telefonie i łącząc się ze swoimi biurami na Manhattanie oraz z wystraszonymi ekwadorskimi finansistami i oficjelami. Prowadził interesy z pokoju córki, ponieważ pragnął, by wiedziała, co robi. Ci dwoje byli bardzo do siebie przywiązani. Selena nie знаła swojej matki, która zmarła podczas porodu.

Myślę teraz o Selenie, o jej pozbawionych wyrazu zielonych oczach jako o eksperymencie Natury, ponieważ jej ślepotą była wrodzona i mogła być dziedziczna. W czasie pobytu w Guayaquil Selena miała osiemnaście lat i najlepsze do reprodukcji lata przed sobą. Kiedy później, na Santa Rosalii, Mary zaproponowała jej udział w swoich nielegalnych eksperymentach ze sperma Kapitana, Selena miała już dwadzieścia osiem lat. Nie skorzystała z oferty Mary, lecz gdyby znalazła w ślepotcie jakieś dobre strony,



mogłaby przekazać ją potomstwu.

Cóż, mało wiedziała o swoim przeznaczeniu młoda Selena, gdy w Guayaquil przysłuchiwała się, jak jej socjopatyczny papa kręcił tarczą telefonu i załatwiał interesy.

Nie miała pojęcia, że jej przeznaczeniem było stanowić parę z Hisako Hiroguchi, mieszkającą o dwa pokoje dalej, i wspólnie wychowywać futerkowe dziecko.

W Guayaquil Selena tworzyła parę z ojcem, do którego należała najwidoczniej cała planeta i który był w stanie osiągnąć, cokolwiek chciał, kiedykolwiek chciał i gdziekolwiek chciał. Wielki mózg Seleny podpowiadał jej, że spędzi całe życie bezpiecznie i przyjemnie, w czymś na kształt elektromagnetycznej bańki, utworzonej przez nieposkromioną osobowość jej ojca; bańki, która będzie chroniła ją nawet po jego śmierci — nawet gdy przyjdzie na niego kolej, by zagłębić się w błękitny tunel wiodący w Zaświaty.

Byłbym zapomniał: Ślepotą Seleny dała jej na Santa Rosalii pewną przewagę nad resztą kolonistów i dostarczyła jej niebywałej frajdy, choć z tego tylko powodu nie warto było przekazywać jej następnemu pokoleniu.

Bardziej niż ktokolwiek inny Selena cieszyła się dotykając futerka małej Akiko.

\* Andrew MacIntosh poinformował ekwadorską elitę finansową, iż jest gotowy do natychmiastowego przekazania na ręce jakiegokolwiek wyznaczonego powiernika kwoty pięćdziesięciu milionów amerykańskich dolarów, wciąż jeszcze tak cennych jak złoto. Większość tego rzekomego bogactwa, spoczywająca w amerykańskich bankach, musiała stać się tak absolutnie abstrakcyjna, tak nieważka i niewyczuwalna, by mogła być przelana do Ekwadoru czy gdziekolwiek indziej natychmiast po telegraficznym poleceniu.

\* MacIntosh oczekiwał na wieści z Quito, z których miał dowiedzieć się, jakie to dobra Ekwadorczycy byliby skłonni, równie natychmiastowo, przepisać na rzecz jego, Seleny i Hiroguchich, w zamian za powyższą sumę.

To nawet nie miały być jego własne pieniądze. \* MacIntosh tak wszystko urządził, iż całą sumę, bez względu na jej wielkość, miał mu pożyczyć Chase Manhattan

Bank, który powinien wytrzasnąć ją dla niego, bez względu na to skąd.

Tak, a po ubiciu interesu Ekwador mógłby przesłać telegraficznie kawałki tej fatamorgany do urodzajnych krajów i otrzymać w zamian prawdziwe jedzenie.

I ludzie mogliby wsunąć całe to jedzenie, mniem, mniem, mlask, mlask, aż nie zostałyby z niego nic poza gównem i wspomnieniami. I co potem, mały Ekwadorze?

\* MacIntosh spodziewał się telefonu punktualnie o pół do szóstej. Brakowało jeszcze pół godziny, więc zamówił dwa półkrwiste filety mignon z przybraniem. W „El Dorado” wciąż jeszcze było mnóstwo dobrych rzeczy do jedzenia, zgromadzonych z myślą o uczestnikach „Przyrodniczej Wyprawy Stulecia”, a zwłaszcza o pani Onassis. Jednocześnie żołnierze ustawili, w promieniu jednego bloku wokół hotelu, zasieki z drutu kolczastego, by lepiej bronić żywności.

To samo działo się przy nabrzeżu. Drut kolczasty bronił dostępu do „Bahii de Darwin”, która — o czym w Guayaquil wiedzieli wszyscy — była przygotowana, do serwowania trzech wykwintnych posiłków, z których żaden się nie powtarzał, codziennie przez czterdzieści dni — dla stu pasażerów. Ktoś, kto patrzył na ten piękny statek i był w stanie dokonać prostych obliczeń, mógł sobie pomyśleć:

— Jestem przecież taki głodny, i moja żona, dzieci, ojciec, matka są również głodni — a tu znajduje się cztery tysiące dwieście smakowitych obiadów.

Człowiek, który dostarczył do pokoju Seleny dwa filety mignon, dokonał właśnie takich obliczeń, a poza tym jego wielki mózg zawierał dokładny spis zapasów hotelowej spiżarni. On sam jeszcze nie głodował, gdyż personel hotelu nadal otrzymywał posiłki. Jego rodzina, niewielka jak na miejscowe standardy, składająca się z ciężarnej żony, jej matki, jego ojca i osieroczonego siostrzeńca, jak dotąd również nie cierpiała głodu. Podobnie jak inni pracownicy, on także podkrażał z hotelu żywność dla rodziny.

Człowiekiem tym był Jesús Ortiz, młody inkaski barman, który ostatnio obsługiwał na dole Jamesa Waita. Do obsługi pokoiów zmusił Ortiza zarządca, \* Siegfried von Kleist, który osobiście stanął za barem. Ni stąd, ni zowąd, hotel zaczął odczuwać braki personelu. Obydwaj stali pokojowcy gdzieś się zawieruszyli. Nie było w tym nic specjalnie złego, jako że nie spodziewano się większej liczby gości. Obydwaj

kelnerzy przypuszczalnie gdzieś spali.

Przez całą drogę, od kuchni, poprzez windę i korytarz na piętrze MacIntoshów, myśli Ortiza obracały się wokół niesionych płatów mięsa. Pracownicy hotelu nie jedli i nie kradli podobnych frykasów — i z tego powodu, ogólnie rzecz biorąc, rozpieła ich duma. Wciąż jeszcze oszczędzali najlepsze kaski dla, jak mówili, „senory Kennedy”, obecnie Onassis. Była to ich zbiorowa nazwa dla wszystkich sławnych, bogatych i potężnych ludzi, których w hotelu wciąż się spodziewano.

Mózg Ortiza był na tyle duży, iż mógł wyświetlać mu w głowie filmy z życia milionerów, w których główną rolę grał on sam i jego rodzina. Ten mężczyzna, niewiele starszy od chłopca, był tak niewinny, iż wierzył, że jego marzenia mogą się spełnić, ponieważ posiada niespożytą chęć do pracy i brak jakichkolwiek szkodliwych nałogów. Wierzył, że potrzeba mu jedynie jakiejś recepty na sukces — od kogoś, kto już został milionerem.

Bez większego powodzenia Ortiz spróbował zasięgnąć rady u Jamesa Waita, u którego zauważył z respektem portfel nabity dwudziestodolarówkami i kartami kredytowymi, lecz Wait tylko nieprzyjemnie się roześmiał.

Pukając do drzwi pokoju Seleny, Ortiz myślał, że ludzie mieszkający wewnątrz zasługują na danie, które im przyniósł, tak jak zasługiwałby na nie on sam, gdyby został milionerem. A był to wysoce inteligentny i przedsiębiorczy młody człowiek. Pracując w hotelach Guayaquil od dziesiątego roku życia, opanował biegle sześć języków, to jest więcej niż połowę tego, co znał Gokubi; sześć razy więcej niż znali James Wait i Mary Hepburn; trzy razy więcej niż państwo Hiroguchi i dwa razy więcej od MacIntoshów. Był poza tym dobrym kucharzem i piekarzem, a w szkole wieczorowej ukończył kursy księgowości i prawa handlowego.

A teraz jego pragnienia przybrały kształt tego, co ujrzał i usłyszał, gdy Selena wpuszczała go do pokoju. Gdyby wcześniej nie wiedział, że jej zielone oczy nie widzą, mógłby wyjść na durnia. Selena nie wyglądała i nie zachowywała się jak niewidoma. Była taka prześliczna. Wielki mózg Ortiza polecił mu natychmiast się w niej zakochać.

\*Andrew MacIntosh stał przy szklanej ścianie i spoglądał ponad bagnami i dachami slumsów na „Bahię de Darwin”. Spodziewał się, że jeszcze przed zachodem

słońca on, jego córka lub Hiroguchi staną się jej właścicielami. Człowiekiem, który miał zadzwonić o pół do szóstej, był Gottfried von Kleist, szef nadzwyczajnego konsorcjum finansowego, obradującego w leżącym wśród chmur Quito. Ponadto Gottfried von Kleist był prezesem zarządu największego banku w Ekwadorze, wujem kierownika „El Dorado” i kapitana „Bahii de Darwin” oraz współwłaścicielem tegoż hotelu i statku. Drugim współnikiem był jego starszy brat Wilhelm.

Odwracając się w stronę Ortiza, który wniósł właśnie filety mignon, \* MacIntosh powtarzał w myślach pierwsze zdanie, jakie zamierzał wygłosić po hiszpańsku do Gottfrieda von Kleista:

— Zanim przekaze mi pan resztę dobrych nowin, drogi kolego, niech mi pan da słowo honoru, że z najwyższego piętra mojego własnego hotelu spoglądam na mój własny statek.

\* MacIntosh był boso i miał na sobie jedynie szorty koloru khaki z rozpiętym rozporkiem, włożone na gołe ciało, tak że jego penis był nie mniej widoczny niż wahadło w szafkowym zegarze.

Tak, aż zatkało mnie nagle ze zdumienia na myśl, jak mało zainteresowany był reprodukcją człowiek będący biologicznie tak udanym okazem — nawet pomimo swego ekshibicjonistycznego erotyzmu i manii zagarniania na własność tak wielu życiodajnych systemów planety, ile się tylko da. Charakterystyczne, że w owych dawnych czasach najśłynniejsi ciułacze zapewniających przetrwanie układów posiadali z reguły niewiele dzieci. Były, rzecz jasna, wyjątki. Wszelako ci, którzy nieźle się rozmnożyli i którzy, być może, byli przekonani, iż dążą do tak wielkich bogactw, by zapewnić komfort swojemu potomstwu, zazwyczaj fundowali dzieciom psychiczne kalectwo. Ich dzieci często były tumanowate i bez oporu dawały się obdzierać ze skóry kobietom i mężczyznom równie pazernym jak ci, którzy pozostawili im w spadku o wiele za dużo wszystkiego, czego ludzkie zwierzę mogło potrzebować i pragnąć.

\* Andrew MacIntosh nie dbał nawet specjalnie o własne życie, na co dowodem może być jego zamiłowanie do skoków spadochronowych z opóźnieniem i do wyścigów

w samochodach z podrasowanymi silnikami.

Tu muszę dodać, że w tych zamierzchłych czasach ludzkie mózgi były tak niezmordowanymi i lekkomyślnymi producentami pomysłów, czym się w życiu zajmować, że ich propozycje, wcielone w czyn, sprawiały na następnych pokoleniach wrażenie całkowicie dowolnych rozrywek, ograniczonych do wąskiego kręgu entuzjastów — jak gra w pokera, w polo, rynek wolnościowy czy pisanie powieści fantastyczno-naukowych.

Coraz więcej i więcej ludzi, nie tylko \* Andrew MacIntosh, dochodziło do wniosku, że całe gadanie o potrzebie przetrwania rodzaju ludzkiego to totalne nudziarstwo.

O wiele bardziej zabawne było, że tak powiem, uprawianie tenisa: stuk-puk, stuk-puk, stuk-puk.

Suka przewodnik Kazak siedziała w nogach królewskiego łoża Seleny, blisko stojaka na bagaże. Kazak była owczarkiem niemieckim. Siedziała niedbale i swobodnie, jako że nie miała na sobie obroży i smyczy. Jej mały mózg zaalarmowany zapachem mięsa sprawił, że zwróciła na Ortiza pełne najgłębszej nadziei spojrzenie swych brązowych ślepi i zamerdała ogonem.

W rozpoznawaniu różnych zapachów psy były w przeszłości daleko lepsze od ludzi. Dzięki darwinowskiemu Prawu Doboru Naturalnego ludzie mają dziś zmysł powonienia równie czuły jak psy. Pod jednym względem ludzie są nawet lepsi — potrafią wywęszyć różne rzeczy pod wodą.

Dzisiejsze psy nadal nie potrafią nawet pływać pod wodą, choć miały na naukę milion lat. Opieprzają się ciągle jak za dawnych czasów. Wciąż jeszcze nawet nie potrafią łapać ryb. Mógłbym właściwie powiedzieć, że przez ten czas cała reszta świata zwierząt, z wyjątkiem ludzi, uczyniła zadziwiająco mało dla ulepszenia taktyki walki o byt.

## 16

O To, co MacIntosh powiedział Jesúsowi Ortizowi, było tak agresywne i tak niebezpieczne w obliczu zagrażającego Ekwadorowi widma głodu, że jego wielki mózg

naprawdę musiał być chory w poważnym stopniu – chyba że wulgarnie traktowanie drugiego człowieka jest oznaką psychicznego zdrowia. Co więcej, skandaliczne polecenie, jakie \* MacIntosh wydał temu przyjaznemu i dobrodusznemu kelnerowi, było nie przemyślane.

\* Andrew MacIntosh był kwadratowym facetem średniego wzrostu, z głową przypominającą pudełko umieszczone na szczycie dużego pudła i z bardzo cienkimi kończynami. Był równie zawziętym miłośnikiem włóczęgi jak Roy, mąż Mary Hepburn, lecz w przeciwieństwie do Roya, uwielbiał przy tym nadstawiać karku.

Wielkie, idealnie białe zęby \* MacIntosh przypominały Ortizowi klawisze fortepianu. Ich właściciel wydał mu po hiszpańsku następujące polecenie:

— Odkryj te steki, połóż je na podłodze koło psa, a potem spadaj stąd.

Skoro mowa o zębach: Ani na Santa Rosalii, ani w jakiegokolwiek innej z ludzkich kolonii na Galapagos nie było dentystów. Typowy osadnik sprzed miliona lat mógł się wobec tego spodziewać, że gdzieś około trzydziestki, po odcierpieniu wielu rozsadzających czaszkę bólów, zostanie całkowicie pozbawiony zębów. To coś więcej niż tylko cios wymierzony w zwykłą próżność, ponieważ dzisiaj zęby, osadzone w żywych dziąsłach, są jedynymi narzędziami człowieka.

Naprawdę. Poza własnymi zębami ludzie nie używają dziś w ogóle żadnych narzędzi.

•

Kiedy Mary Hepburn i Kapitan przybyli na Santa Rosalię, oboje, chociaż zdrowo po trzydziestce, posiadali uzębienie w dobrym stanie. Zawdzięczali to regularnym wizytom u dentystów, którzy borowali próchniejące miejsca, odsączali ropę i tak dalej. Przed śmiercią jednak oboje, byli bezzębni. Selena MacIntosh, kiedy w przymierzu z Hisako Hiroguchi popełniła samobójstwo, była jeszcze na tyle młoda, że posiadała wiele zębów, choć stanowczo nie wszystkie. Hisako była wtedy już kompletnie bezzębna.

I gdybym miał podsumować ludzkie ciało sprzed miliona lat, takie, jakie sam posiadałem, jak gdyby było ono maszyną przeznaczoną na sprzedaż, to przyczepiłbym się do dwóch rzeczy, z których jedną już skrytykowałem w tej powieści — czyli mózg

stanowczo zbyt duży, by mógł być praktyczny. Drugi zarzut byłby taki: Zawsze jest coś nie tak z naszymi zębami. Ich żywot jest zazwyczaj krótszy niż życie człowieka. Jakiemu splotowi ewolucyjnych okoliczności winniśmy zawdzięczać to, że nasze usta pełne są próchniejącego barachła?

Miło mi donieść, że Prawo Doboru Naturalnego, które w tak krótkim czasie obdarzyło ludzkość tak licznymi względami, załatwiło się również z problemem uzębienia, choć poniekąd w dosyć drakoński sposób. Zęby nie stały się mocniejsze i trwalsze. Po prostu przeciętna długość ludzkiego życia zmalała do około trzydziestu lat.

Wróćmy teraz do Guayaquil i \* Andrew MacIntosh każącego Ortizowi położyć filety mignon na podłodze.

— Słucham, sir? — zapytał Ortiz po angielsku.

— Połóż je przed psem — powtórzył \* MacIntosh. Więc Ortiz zrobił, co mu kazano, a jego pogrążony

w kompletnym chaosie mózg dokonywał całkowitej rewizji poglądów na temat jego samego, człowieczeństwa w ogóle, przeszłości i przyszłości oraz natury wszechświata.

Zanim Ortiz zdążył się wyprostować po obsłużeniu psa, \* MacIntosh znowu powiedział:

— Spadaj.

Nawet teraz, po milionie lat, sprawia mi wiele przykrości pisanie o podobnym chamstwie.

Nawet po milionie lat jestem gotów przeprosić za ludzki rodzaj. To wszystko, co mogę rzec.

Jeżeli Selena była eksperymentem Natury w dziedzinie ślepoty, to jej ojciec był eksperymentem w dziedzinie bezduszości. Tak, a Jesús Ortiz był eksperymentem w dziedzinie zachwycania się bogaczami; ja byłem eksperymentem w nienasyconym podglądactwie; mój ojciec — w dziedzinie cynizmu; moja matka była eksperymentem Natury z zakresu optymizmu; kapitan „Bahii de Darwin”

— w bezpodstawnym zaufaniu do siebie; James Wait — w bezcelowej chciwości; Hisako Hiroguchi — w przygnębieniu; Akiko była eksperymentem w zastosowaniu sierści i tak dalej.

Przypomina mi się jedna z powieści mojego ojca, zatytułowana: „Epoka beztroskich potworów”. Rzecz działa się na pewnej planecie, którą zamieszkiwali humanoidzi, odkładający na ostatnią chwilę najbardziej palące problemy dotyczące przetrwania. Aż w końcu, kiedy wszystkie lasy i jeziora zabiły kwaśne deszcze, kiedy wody gruntowe były już niezdatne do picia, bo zatrute ściekami, i tak dalej, humanoidzi spostrzegli, iż ich dzieci rodzą się jakieś takie dziwne — skrzydlate, rogate, płetwiaste, stuokie, bezokie, wielkomózgie, bezmózgie i tak dalej. Wszystkie były eksperymentami Natury, pragnącej na chybił-trafił stworzyć lepszych obywateli planety niż humanoidzi. Większość zmarła albo trzeba było je zastrzelić, czy coś w tym stylu, lecz niektóre okazały się całkiem obiecujące i te zaczęły żenić się we własnym kółku i płodzić podobne do siebie dzieci.

Okres sprzed miliona lat, na który przypadło moje życie, mógłbym śmiało nazwać „epoką beztroskich potworów” — potworów raczej ze względu na osobowości niż ciała. Dzisiaj podobne doświadczenia, czy to w dziedzinie ciała, czy osobowości, już się nie zdarzają.

Niegdyś większe wielkie mózgi zdolne były nie tylko do okrucieństwa dla samego okrucieństwa. Potrafiły również odczuwać rozmaite rodzaje bólów i przykrości, do jakich niższe organizmy były kompletnie niezdolne. Żadne inne zwierzę nie odczułoby słów \* MacIntosh tak, jak odebrał je Ortiz, który zjeżdżając windą czuł, że go zmiażdżono. Nie był nawet pewien, czy zostało z niego choć tyle, by podtrzymywanie życia warte było zachodu.

W przeciwieństwie do mózgów niższych istot, mózg Ortiza był tak skomplikowany, iż jego właściciel mógł oglądać wewnątrz swej czaszki wszelkiego rodzaju obrazy, równie urojone jak ludzkie opinie, jak owe pięćdziesiąt milionów dolarów, które \* Andrew MacIntosh był gotów natychmiast przelać z Manhattanu do Ekwadoru, gdy tylko usłyszy przez telefon odpowiednie słowa. Ortiz widział obraz senory Kennedy, Jacqueline Kennedy Onassis, który niczym nie różnił się od



widywanych obrazków Maryi Dziewicy. Ortiz był katolikiem. Wszyscy w Ekwadorczycy byli rzymskimi katolikami. Wszyscy von Kleistowic byli katolikami. Nawet nieuchwytni Kanka-bonowie, ludożercy z ekwadorskiej dżungli — też byli katolikami.

Senora Kennedy ukazywała się na tym obrazku piękna, smutna, czysta, miła i absolutnie potężna. W umyśle Ortiza, bądź co bądź, królowała nad chmurą pomniejszych bóstw zamierzających wziąć udział w „Przyrodniczej Wyprawie Stulecia”, wliczając w to szóstkę gości „El Dorado”. Po każdym z nich Ortiz spodziewał się dobrego serca i, podobnie jak większość Ekwadorczyków wtedy, nim zaczął się głód, wierzył, że ich przybycie do Ekwadoru może być chlubnym momentem w dziejach narodu i że spłyną nań wszelkie wyobrażalne luksusy.

A teraz prawda na temat \* Andrew MacIntosh, jednego z owych rzekomo cudownych gości, splamiła w umyśle Ortiza mentalny obraz nie tylko wszystkich pomniejszych bogów, lecz nawet wizję samej senory Kennedy.

I tak jej twarz na portrecie zaczęła oblazić ze skóry, włosy stanęły dęba, a z ust wysunęły się wampirze kły. Po chwili była to już wyszczerzona czaszka, zwiastująca małemu Ekwadorowi jedynie zarazę i śmierć.

Był to przerażający widok i Ortiz nie mógł już dłużej go ścierpieć. Pomyślał, że może panujący na zewnątrz upał rozwieje tę marę, i ruszył przez hali nie zwracając uwagi na \* Siegfrieda von Kleista wołającego zza baru. Zarządca pytał go, co się stało, dokąd idzie i tak dalej. Ortiz był zawsze pogodnym, najbardziej lojalnym, zaradnym i najlepszym pracownikiem hotelu i \* von Kleist naprawdę go potrzebował.

A oto dlaczego kierownik hotelu nie miał dzieci, chociaż, nawiasem mówiąc, był osobnikiem heteroseksualnym i chociaż jego sperma świetnie wyglądała pod mikroskopem i tak dalej. Istniało po prostu pięćdziesiąt procent prawdopodobieństwa, że jest on nosicielem dziedzicznej, nieuleczalnej choroby mózgu, nazywanej płasawica Huntingtona. Dzisiaj ta choroba już nie występuje, lecz niegdyś należała do tysiąca najbardziej pospolitych schorzeń, jakie potrafił zdiagnozować Mandarax.

To, że nie ma dzisiaj nosicieli płasawicy Huntingtona, jest kwestią czystego przypadku, szczęścia rodem z kasyna gry. Taki sam ślepy traf zdecydował, że \* Siegfried

von Kleist był nosicielem. Jego ojciec dowiedział się o swojej chorobie już po tym, jak spłodził dwóch synów.

Rzecz jasna oznaczało to, że kapitan „Bahii de Darwin”, Adolf von Kleist — starszy, wyższy i bardziej fascynujący brat \* Siegfrieda — również mógł być nosicielem. Tak więc milion lat temu, zarówno \* Siegfried, który miał zginąć bezpotomnie, jak i Adolf, który miał ostatecznie zostać ojcem całej ludzkiej rasy, postanowili z bezinteresownych i godnych szacunku powodów nie angażować się w istotną biologicznie kopulację.

\* Siegfried i Adolf trzymali w sekrecie ów prawdopodobny defekt swoich genów. Taka dyskrecja musiała przysparzać im zapewne niemało kłopotów, ale z drugiej strony chroniła ich wszystkich krewnych. Gdyby powszechnie wiedziano, że bracia mogą obdarzyć swoje potomstwo płasawicą Huntingtona, żadnemu z von Kleistów nie byłoby łatwo o dobre małżeństwo, nawet gdyby istniała pewność, że nie jest on nosicielem.

To było tak: Choroba, o ile ją mieli, pochodziła od ich babki, która była drugą żoną dziadka i która miała z nim jedno dziecko — Sebastiana von Kleista, ekwadorskiego rzeźbiarza i architekta, ojca obu braci.

Czy było to bardzo poważne schorzenie? No cóż — bezwzględnie o wiele gorsze niż spłodzenie dziecka całkowicie pokrytego sierścią.

W rzeczy samej, spośród wszystkich okropnych chorób, jakie znał Mandarax, płasawica Huntingtona była chyba najgorsza. Z całą pewnością była najbardziej perfidna, najbardziej złośliwa i najbardziej obfitująca w paskudne niespodzianki. Niewykrywalna przez żadne znane testy, czaiła się zazwyczaj w zasadzce, dopóki nieszczęsna ofiara nie osiągnęła poważnego, statecznego wieku. Na przykład ojciec obu braci wiódł aktywne i beztroskie życie, aż tu nagle w wieku pięćdziesięciu czterech lat zaczął tańczyć mimo woli i widywać rzeczy, których nie było. W końcu zabił swoją żonę, który to fakt zatuszowano. Morderstwo zgłoszono policji, a ta potraktowała je jako rodzinne nieporozumienie.

Obydwaj bracia mogli zatem w każdej chwili spodziewać się napadu szaleństwa. W każdej chwili mogli zacząć płasnąć i doznawać halucynacji. Każdy z nich miał na to

pięćdziesiąt procent szans. Gdyby któryś z nich zaczął wariować, byłby to dowód, że może on przekazać chorobę następnemu pokoleniu. Gdyby któryś z nich bardzo, bardzo się zestarzał i nigdy nie dostał świra, byłby to dowód, że nie jest on nosicielem i że żaden z jego potomków nie zostałby nosicielem. Wyszłoby na to, że mógł się rozmnażać bez obaw.

Okazało się jednak, jak przy rzuceniu monetą, że Kapitan nie był nosicielem, a jego brat — owszem. Biednemu \* Siegfriedowi dane było przynajmniej nie cierpieć zbyt długo. Zaczął dostawać bzika zaledwie na parę godzin przed śmiercią — w czwartkowe popołudnie, 27 listopada 1986 roku. Stał wówczas za barem hotelu „El Dorado”, z portretem Darwina za plecami i z Jamesem Waitem siedzącym naprzeciwko. Dopiero co zauważył, jak Jesús Ortiz, jego najbardziej godny zaufania pracownik, opuszcza hotel potwornie czymś zdenerwowany.

W chwilę potem wielki mózg \* Siegfrieda osunął się na moment w szaleństwo, by wkrótce powrócić do normy.

W tym wczesnym stadium choroby, jedynym, jakie miał poznać pechowy brat, wciąż jeszcze można się było skapować, że mózg zaczyna być niebezpieczny, i dzięki sile woli zachować pozory psychicznego zdrowia. Zatem \* Siegfried zachował spokój i spróbował powrócić do zajęć w zwykły sposób, to jest zadając Waitowi pytanie:

— Czym się pan w życiu zajmuje, panie Flemming?

Kiedy \* Siegfried wymówił te słowa, powróciły do niego z tak diabelską mocą, jakby z całych sił wykrzyczał je w głąb pustej stalowej beczki. Był teraz skrajnie wyczulony na dźwięki. Również słowa Waita, choć wymówione przyciszonym głosem, zdawały się rozrywać bębunki:

— Pracowałem jako inżynier — powiedział Wait — ale prawdę mówiąc, po śmierci żony i praca, i w ogóle wszystko przestało mnie obchodzić. Myślę, że można mnie teraz nazwać rozbitkiem.

Jesús Ortiz, znieważony po chamsku przez \* MacIntosh, wyszedł z hotelu. Postanowił pospacerować w sąsiedztwie, dopóki się nieco nie uspokoi. Wkrótce jednak odkrył zasieki i że żołnierze zamienili teren wokół hotelu w kordon sanitarny. Potrzeba takiej bariery była widoczna jak na dłoni. Po drugiej stronie stały tłumy ludzi w każdym

niemal wieku. Nie poddając się rozpaczy, spoglądali na Ortiza jak Kazak — wzrokiem tak pełnym oddania, jakby przynosił im jedzenie.

Ortiz pozostał jednak w obrębie ogrodzenia i wciąż chodził dookoła hotelu. Za każdym z trzech okrążeń mijał otwarte drzwi do pralni. Wewnątrz, na wprost widniała szara, stalowa szafka przytwierdzona do ściany. Ortiz wiedział, że zawiera ona łącza umożliwiające hotelowym telefonom kontakt z całym światem. Na widok takiej skrzynki dobry obywatel sprzed miliona lat mógł pomyśleć: „Co przedsiębiorstwo telefoniczne złączyło, niech człowiek nie waży się rozłączać”.

Tak, podobnej opinii nie miał również mózg Jesùsa Ortiza, który nigdy nie zepsułby tak ważnej dla tak wielu ludzi skrzynki. Ale niegdyś mózgi były tak wielkie, że w każdej chwili mogły zdradzić swoich właścicieli. Wielki mózg Ortiza pragnął, by jego właściciel rozłączył te wszystkie telefony już za pierwszym przejściem koło pralni, ale zdawał sobie sprawę, że Ortiz jest z całej duszy przeciwny wszelkim społecznym zachowaniom. A zatem, by osłabić ewentualny opór, mózg zaczął w istocie uspokajać swego właściciela: „Ależ skądże, to oczywiste, że nie moglibyśmy zrobić czegoś podobnego.”

Za czwartym okrążeniem wielki mózg skierował Ortiza prosto do pralni i nawet dostarczył mu stosownego pretekstu. Dobry obywatel, jakim był Ortiz, poszukiwał zielonego kostiumu, należącego do gościa hotelu, pani Mary Hepburn, który to kostium zeszłej nocy najwidoczniej zawieruszył się w jakimś innym wymiarze.

A potem Ortiz otworzył skrzynkę i wypruł z niej wszystkie łącza. W mgnieniu oka typowy mózg sprzed miliona lat zmienił najlepszego obywatela Guayaquil w agresywnego terrorystę.

## 17

Na wyspie Manhattan pewien Amerykanin w średnim wieku, specjalista od reklamy, dumiał nad krachem swojego arcydzieła, jakim była „Przyrodnicza Wyprawa Stulecia”. Dopiero co wprowadził się do nowego biura w pustej kopule gmachu Chryslera, gdzie uprzednio mieścił się salon firmy wyrabiającej harfy. Któregoś dnia okazało się, iż owa firma zbankrutowała — tak samo jak miasto Ilium, jak Ekwador, jak Filipiny, Turcja i tak dalej. Spec od reklamy nazywał się Bobby King.

Bobby King przebywał w tej samej strefie czasowej co \* Andrew MacIntosh — i linia pociągnięta na południe, począwszy od głębokiej zmarszczki na jego czole, mogłaby zakończyć się na głębszej nawet zmarszczce na czole \* Andrew MacIntosha, znajdującego się w Guayaquil, tuż poniżej równika. \* MacIntosh usiłował w tym czasie wykrzesać choćby iskierkę życia z głuchego telefonu. Z równym powodzeniem mógł wykrzykiwać swoje władcze „halo! halo!” przyłożywszy do kanciastej głowy wypchaną morską iguanę.

Bobby King trzymał na biurku taką właśnie wypchaną galapagoską iguanę i w rzeczy samej nieraz rozśmieszał swoich klientów, gdy udając, że pomylił ją z telefonem, podnosił ją i mówił do niej „halo! halo!”

Teraz jednak z całą pewnością nie znajdował się w krotochwilnym nastroju. Prowadząc przez dziesięć miesięcy kampanię reklamową, mającą przekonać ludzi na całej planecie, że dziewicza podróż „Bahii de Darwin” może naprawdę być uważana za „Przyrodniczą Wyprawę Stulecia”, zrobił dla popularyzacji wysp Galapagos, na swój sposób, równie dużo co Karol Darwin. W trakcie kampanii Bobby King rozślawił wiele spośród stworzeń żyjących na wyspach, jak na przykład bezłotnego kormorana, głuptaka błękitnonogiego, fregatę złodziejkę i wiele, wiele innych.

Jego klientami było ekwadorskie Ministerstwo Turystyki, linie lotnicze Ecuatoriana i właściciele „Bahii de Darwin” oraz hotelu „El Dorado” — wujowie Adolfa i \* Siegfrieda von Kleistów. Nawiasem mówiąc, ani zarządca hotelu, ani Kapitan nie musieli pracować na życie. Obydwaj, dzięki spadkowi, byli fantastycznie bogaci, lecz mimo to uważali, że powinni mieć jakieś zajęcie.

Obecnie stawało się oczywiste, choć King jeszcze tego nie sformułował w ten sposób, że cała jego robota poszła na marne, ponieważ „Przyrodnicza Wyprawa Stulecia” chyba nie dojdzie do skutku.

Co do wypchanej morskiej iguany: King uczynił gada maskotką wyprawy i spowodował, że po obu stronach dziobu „Bahii de Darwin” wymalowano jego sylwetkę. Poza tym wszystkie ulotki i ogłoszenia opatrzone były u góry symbolem graficznym w kształcie iguany.

W rzeczywistości stworzenie to mogło osiągnąć długość powyżej jednego metra i wyglądało równie groźnie jak chiński smok. W gruncie rzeczy, dla innych form życia, z

wyjątkiem wodorostów, nie było bardziej niebezpieczne niż wątrobianka. Życie iguany jest dzisiaj dokładnie takie samo, jak milion lat temu i wygląda mniej więcej tak:

Ponieważ nie posiada toto żadnych wrogów, więc tkwi w jakimś miejscu gapiąc się w przestrzeń, niczego nie potrzebując i o nic nie dbając. Chyba że poczuje głód. Wtedy dopiero złazi kolebiąc się do wody i powoli, niezbyt zgrabnie, odpływa na parę metrów od brzegu. Następnie zanurza się jak łódź podwodna i opycha wodorostami, które jeszcze wtedy nie nadają się do strawienia. Trzeba je najpierw zagotować.

Więc iguana wynurza się na powierzchnię, płynie do brzegu i znowu siada na rozpalonej słońcem lawie. Staje się teraz czymś w rodzaju rondla z pokrywką, nagrzewającego się w miarę, jak słońce gotuje wodorosty. I znowu bezmyślnie gapi się w przestrzeń, choć z małą różnicą: teraz spluwa od czasu do czasu coraz gorętszą, słońną wodą.

W ciągu miliona lat, które spędziłem na wyspach, Prawo Doboru Naturalnego nie znalazło sposobu ani na polepszenie, ani na pogorszenie tego osobliwego modus vivendi.

King wiedział, że sześć osób rzeczywiście dotarło do Guayaquil i znajduje się obecnie w hotelu „El Dorado”, nadal się spodziewając, że „Przyrodnicza Wyprawa Stulecia” dojdzie do skutku. Nieco go to zaszokowało. Zakładał, że wszyscy, którzy wybierali się do Ekwadoru, z pewnością pozostaną w domu, jako że wieści z tego rejonu były dość paskudne.

King znał również nazwiska całej szóstki. Absolutną zagadką stanowił dla niego jedynie pewien Kanadyjczyk o nazwisku Willard Flemming. Chodzi, rzecz jasna, o Jamesa Waita. King nie potrafił sobie wyobrazić, skąd wziął się ten człowiek na liście, która, z wyjątkiem Mary Hepburn oraz japońskiego weterynarza i jego żony, wyglądała tak, jakby zestawiono ją z nazwisk najbardziej wpływowych i znanych ludzi.

Intrygowało go również, dlaczego Mary Hepburn wybrała się w podróż bez męża. King nic nie wiedział o śmierci Roya, wiedział jednak co nieco na temat Hepburnów, chociaż na pasażerskiej liście sław stanowili kompletne zera. Byli jednak absolutnie pierwszymi osobami, jakie zapisały się na „Przyrodniczą Wyprawę Stulecia”. W tym okresie King miał powody, by wątpić, czy jakakolwiek sławna osoba da się namówić na udział w wycieczce.

Kiedy Hepburnowie się zapisali, King, prawdę powiedziawszy, nosił się z zamiarem zaprezentowania ich w jakimś telewizyjnym show, w jakichś prasowych i radiowych wywiadach. Nigdy się z nimi osobiście nie spotkał, niemniej konwersował z Mary przez telefon, rozpaczliwie wierząc, że w życiu Hepburnów da się znaleźć coś interesującego, nawet jeżeli uprawiali najzwyczajniejsze w świecie zawody w zabitym dechami przemysłowym miasteczku o najwyższym w kraju wskaźniku bezrobocia. Któreś z nich mogło przecież posiadać sławnego przodka lub krewnego; Roy mógł być bohaterem jakiejś wojny; mogli wygrać los na loterii, cierpieć z powodu jakiejś świeżej tragedii, czy cokolwiek w tym stylu.

Styczniowa rozmowa Kinga z Mary Hepburn przebiegała częściowo w ten sposób:

— No cóż... jestem daleką krewną Daniela Boone'a — powiedziała Mary. — Z domu nazywam się Boone i pochodzę z Kentucky.

— To cudownie! — podniecił się King. — Jest pani jego pra-pra-pra-wnuczką, czy co?

— Sądzę, że nie całkiem w prostej linii — odpowiedziała Mary. — Nigdy nie traktowałam tego zbyt poważnie, więc nie starałam się dokładnie sprawdzić.

— Ale pani panięskie nazwisko brzmi: Boone?

— Tak; ale to właściwie przypadek. Mój ojciec nazywał się Boone, chociaż nie był żadnym krewnym Daniela Boone'a. Jestem spokrewniona z Danielem Boone'em ze strony matki.

— Ale jeśli pani ojciec nazywał się Boone i pochodził z Kentucky, to w jakiś sposób musiał być spokrewniony z Danielem Boone'em, czyż nie? — dociekał King.

— No, niekoniecznie — odparła Mary. — Ponieważ jego ojciec był ujeżdżaczem koni z Węgier i zmienił nazwisko z Miklós Gómbós na Michael Boone.

Co się tyczy ewentualnych nagród i odznaczeń, jakimi mogliby poszczycić się Hepburnowie, to Mary stwierdziła, iż jej mąż bezwarunkowo zasłużył sobie na niejedno za swoją nienaganną pracę dla GEFFCo, ale niestety, firma ta nie należała do zwolenników podobnych gestów, o ile rzecz nie dotyczyła najwyższego kierownictwa.

— A jakieś wojskowe odznaczenia — nic? — zapytał King.

— Roy był w marynarce — odparła Mary — ale nie walczył.

Rzecz jasna gdyby King zadzwonił trzy miesiące później i zastał przy telefonie Roya, mógłby nasłuchać się do oporu na temat jego tragicznych i bohaterskich prób podczas atomowych prób na Pacyfiku.

— Czy posiadacie państwo dzieci? — zainteresował się King.

— W normalnym sensie, to nie — ale każdego swojego ucznia traktuję jak własne dziecko, a Roy aktywnie działa w skautingu i uważa każdego członka zastępu za syna.

— Cóż za wspaniała postawa — pochwalił King. — Niezwykle przyjemnie się z panią rozmawiało i mam nadzieję, że wycieczka przypadnie pani do gustu.

— Jestem tego pewna — powiedziała Mary. — Tylko wciąż jeszcze nie mogę zdobyć się na odwagę, by powiedzieć szefowi, że chcę wziąć trzy tygodnie urlopu w samym środku semestru.

— Będzie miała pani tak wiele cudownych rzeczy do opowiedzenia uczniom — pocieszył ją King —

Nawiasem mówiąc, King nie znał wysp Galapagos z pierwszej ręki i nigdy nie poznał. Podobnie jak Mary zapoznał się po prostu z mnóstwem materiałów na ich temat.

— Och — powiedziała Mary w chwili, gdy King zamierzał odłożyć słuchawkę — pytał pan o nagrodę, odznaczenia, medale i tym podobne...

— Tak? — westchnął King.

— Dowiedziałam się właśnie, że mam otrzymać coś w rodzaju wyróżnienia, przynajmniej ja tak to odbieram. Oficjalnie nic jeszcze o tym nie wiem, więc chyba nie powinnam panu o tym mówić...

— Będę milczał jak grób — obiecał King.

— Dowiedziałam się o tym zupełnie przypadkowo — usprawiedliwiła się Mary. — Otóż tegoroczni maturzyści postanowili zadedykować mi swój album. Nadali mi w tej dedykacji przydomek i tak się złożyło, że trafiłam na to w sklepie z grawiurami, gdzie wybierałam dla przyjaciółki coś na zawiadomienie o urodzinach. Ona powiła bliźnięta — chłopca i dziewczynkę.

— Czy wie pan, jaki przydomek nadali mi ci sympatyczni młodzi ludzie?

— Nie — przyznał King.

— „Wcielona Matka Natura” — oświadczyła Mary.



Dzisiaj nie ma na Galapagos żadnych grobów. Wszystkie ciała trafiają do oceanu, który spożytkowuje je według swej woli. Lecz gdyby istniał nagrobek Mary Hepburn, powinna być na nim inskrypcja: „Wcielona Matka Natura”. W czym Mary podobna była do Matki Natury? Ano w tym, że w kompletnie beznadziejnych warunkach Santa Rosalii nie przestawała zabiegać o to, by na wyspie rodziły się ludzkie dzieci. Nic nie było w stanie powstrzymać jej przed zrobieniem wszystkiego, co się tylko dało, by życie wciąż trwało i trwało.

## 18

Kiedy Bobby King usłyszał, że Mary Hepburn znajduje się wśród szóstki osób na tyle pechowych, by dotrzeć do Guayaquil, pomyślał o niej po raz pierwszy od paru miesięcy. Ponieważ Hepburnowie wydawali mu się nierozłącznym stadłem, sądził, że Roy jest tam przypuszczalnie razem z Mary, a jego nazwisko zostało przypadkowo opuszczone przez kierownika hotelu, którego teleksy stawały się z godziny na godzinę coraz bardziej gorączkowe.

Swoją drogą, King wiedział również o mnie, chociaż nie znał mojego nazwiska.

Wiedział o robotniku, który zginął podczas budowy statku.

I tak jak von Kleistowie bynajmniej nie pragnęli rozgłosu wokół członka rodziny hospitalizowanego z powodu płasawicy Huntingtona oraz dwóch innych, którzy mieli pięćdziesiąt procent szans na to, że są nosicielami tej choroby, tak i Bobby King nie palił się do rozgłaszania informacji mogącej wywołać przesąd, jakoby „Bahia de Darwin” była nosicielem ducha.

Czy w czasie wspólnie spędzonych na Santa Rosalii lat Kapitan kiedykolwiek wspomniał Mary Hepburn, że prawdopodobnie jest nosicielem płasawicy Huntingtona? Owszem, ale dopiero po dziesięciu latach od osiedlenia się na wyspie, kiedy zorientował się, że Mary lekkomyślnie i rozpustnie igra z jego nasieniem.

Spośród szóstki gości hotelu „El Dorado” King osobiście znał dwoje: \* Andrew MacIntosha i jego niewidomą córkę. No i, rzecz jasna, Kazak. Każdy, kto znał

MacIntoshów, znał również Kazak, aczkolwiek Kazak, wskutek operacji i tresury, faktycznie nie posiadała osobowości. MacIntoshowie należeli do bywalców wielu restauracji będących własnością klientów Kinga. Poza tym \* MacIntosh, ale bez psa i córki, występował w telewizyjnych show razem z niektórymi spośród jego klientów, podczas gdy King wraz z psem i Seleną śledził wszystko na studyjnym monitorze. Odnosił wtedy wrażenie, że Seleną, o ile nie przebywała bezpośrednio w towarzystwie ojca, ujawniała ciut więcej osobowości niż jej pies. Ale ojciec był wszystkim, o czym potrafiła rozmawiać.

Występy w telewizji niewątpliwie cieszyły \* Andrew MacIntosh. Należał tam do pożądanego gościa, ponieważ był skandaliczny i nieprzyzwoity. Gawędził o tym, jak zabawne jest życie, o ile ma się na zbyciu nieograniczoną ilość forsy. Litował się szyderczo nad ludźmi, którzy nie byli bogaci, i tak dalej.

Wskutek surowych warunków życia na Santa Rosalii Seleną, zanim jeszcze zagłębiła się w błękitnym tunelu prowadzącym w Zaświaty, wykształciła w sobie osobowość krańcowo odmienną od osobowości swego ojca. Nauczyła się również biegle władać japońskim. W epoce wielkich mózgów ludzkie biografie mogły się kończyć w nieoczekiwany sposób.

Spójrzcie na mnie.

Po Royu i Mary Hepburnach, MacIntoshowie i Hiroguchi byli następnymi osobami, jakie zapisały się na listę uczestników „Przyrodniczej Wyprawy Stulecia”. Było to w lutym. Oboje Hiroguchi, jako goście \* MacIntosha, podróżowali pod fałszywym nazwiskiem. Chodziło o to, by pracodawcy \* Zenjiego nie połapali się, że ich najlepszy pracownik ubija jakieś interesy z \* MacIntoshem.

Ani King, ani \* Siegfried von Kleist, ani nikt inny powiązany z wyprawą nie mieli pojęcia, że państwo Kenzaburo nazywają się naprawdę Hiroguchi i że \* Zenji nie jest weterynarzem.

Znaczy to, ni mniej, ni więcej, że dokładnie połowa gości hotelu, „El Dorado” nie była tymi ludźmi, za których się podawała. Jakby tego było mało, nazwisko poprzedniego właściciela wojskowego drelichu Mary Hepburn, naszyte nad lewą górną kieszonką bluzy, dodatkowo wprowadzało fałsz w rozpoznawaną przez wielkie mózgi rzeczywistość. Poprzedni właściciel munduru nazywał się Kaplan, i kiedy w końcu Mary

i James Wait spotkali się w koktajlbarze, Wait zwracał się do niej per „pani Kaplan”. Mary bez przerwy go poprawiała, lecz Wait nie zwracał na to uwagi. Pomimo jej sprostowań nazywał ją „panią Kaplan”, wyrażał podziw dla Żydów i tak dalej.

A kiedy później, na plażowym pokładzie „Bahii de Darwin” Kapitan udzielił im ślubu, ona była święcie przekonana, że została żoną Willarda Flemminga, on zaś, że poślubił Mary Kaplan.

Tego rodzaju nieporozumienia są dzisiaj wykluczone, ponieważ nikt już nie posiada nie tylko nazwisk, ale i zawodów czy biografii, o których by można opowiadać. Za całą wizytówkę, jaką dysponuje współczesny człowiek, wystarcza zapach nie zmieniający się od narodzin do śmierci. Ludzie są tym, czym są, ot co. Prawo Doboru Naturalnego sprawiło, że pod tym względem wszyscy są absolutnie uczciwi. Każdy jest dokładnie tym, kim się wydaje. Kiedy \* Andrew MacIntosh zarezerwował na „Bahii de Darwin” trzy apartamenty, Bobby King miał powody, by sądzić, iż tkwi w tym jakaś mistyfikacja. \* MacIntosh posiadał prywatny jacht „Omoo”, niemal tak wielki jak „Bania de Darwin”, i mógłby wyruszyć na Galapagos na własną rękę, bez konieczności wchodzenia w bliskie kontakty z nieznanymi i poddawania się dyscyplinie, jaka miała obowiązywać podczas „Przyrodniczej Wyprawy Stulecia”. Uczestnicy wycieczki nie mogli, na przykład, schodzić na ląd wtedy, kiedy tylko mieli na to ochotę, ani zachowywać się tak, jak by im się podobało. Przez cały czas mieli być oprowadzani i nadzorowani przez specjalnych przewodników, wyszkolonych pod okiem naukowców ze Stacji Badawczej im. Darwina, znajdującej się na wyspie Santa Cruz. Wszyscy przewodnicy posiadali stopnie naukowe którejs spośród nauk przyrodniczych.

Kiedy więc King robiąc któregoś wieczoru rundkę po restauracjach i klubach trafił na \* MacIntosh, jego córkę, psa i dwoje innych ludzi, spożywających późną kolację w sławnej spelunce „U Elaine”, przystanął przy ich stoliku, by oznajmić, jak bardzo się cieszy, że biorą udział w „Przyrodniczej Wyprawie Stulecia”. Gorąco pragnął dowiedzieć się czegoś o powodach, jakie skłoniły ich do uczestnictwa w wycieczce, ponieważ liczył, że będzie mógł je wykorzystać jako zachętę do przyłączenia się innych wpływowych osób.

Zaraz po przywitaniu z MacIntoshami King uświadomił sobie, kim jest pozostała dwójka siedząca przy stole. Znał tych ludzi na tyle, by móc ich rozpoznać. Kobieta

należała do najbardziej uwielbianych istot płci żeńskiej na całej planecie, a była nią Jacqueline Bouvier Kennedy Onassis, towarzyszył jej zaś tego wieczoru wielki tancerz Rudolf Nureyev.

Nawiasem mówiąc, Nureyev — niegdysiejszy obywatel Związku Sowieckiego, otrzymał w Wielkiej Brytanii azyl polityczny; kiedy ja żyłem — byłem obywatelem Stanów Zjednoczonych i otrzymałem azyl polityczny w Szwecji. Tak, a poza tym obaj uwielbialiśmy tańczyć.

Ryzykując, że \* MacIntosh przypomni sobie, iż jest właścicielem oceanicznego jachtu, King zapytał, co też tak atrakcyjnego znalazł on w podróży „Babią de Darwin”. W odpowiedzi \* MacIntosh, wysoce inteligentny i doskonale odczytany człowiek, palnął przemówienie na temat szkód, jakie wyrządzają egoistyczni ciemniacy, włączający się bez nadzoru po wyspach Galapagos. Wszystkie fakty były żywcem zerżnięte z artykułu opublikowanego przez „National Geographic”, które to pismo \* MacIntosh czytywał co miesiąc od deski do deski. Według pisma, Ekwador powinien zażądać od świata flotylli składającej się z okrętów należących do różnych państw, by chroniły wyspy przed wszystkimi, którzy przywykli robić to, na co mają ochotę. Tylko wtedy mogłaby się utrzymać delikatna równowaga środowiska naturalnego, kiedy poszczególne indywidua zostałyby nauczone zachowywania się powściągliwie. „Żaden uczciwy obywatel tej planety — stwierdzał artykuł — nie powinien schodzić na ląd inaczej, niż w towarzystwie wysoko wykwalifikowanego przewodnika.”

Kiedy Mary Hepburn, Kapitan, Hisako Hiroguchi, Selena MacIntosh i inni wylądowali na Santa Rosalii, nie było z nimi żadnego przeszkolonego przewodnika. I udało im się w ciągu pierwszych paru lat spędzonych na wyspie stworzyć w delikatnym środowisku doskonale piekło.

Dopiero w ostatniej chwili zorientowali się, że rujną swoje własne środowisko, jako że, bądź co bądź, nie są tu jedynie turystami.

W restauracji „U Elaine” \* MacIntosh wywoływał u swego oczarowanego audytorium gniew opowieściami o buciorach rozgniatających zamaskowane kryjówki

iguany, o łapczywych paluchach podkradających głuptakom jaja i tak dalej. Najbardziej poruszająca i skandaliczna historia, również zerżnięta z „National Geographic”, dotyczyła osób biorących na ręce i kołyszących małe foczki, tak jakby to były ludzkie dzieci. Ludzie robili sobie z tymi foczkami zdjęcia. A potem, kiedy młode zwracano matce, jak mówił z goryczą \* MacIntosh, ta nie chciała się już dłużej nim zajmować, ponieważ zmienił się jego zapach.

— Co więc się dalej dzieje z kochanym maleństwem, które właśnie dostąpiło tego zaszczytu, że lulał je wielkoduszny miłośnik przyrody? — pytał \* MacIntosh. —• Umiera z głodu — wszystko z powodu zdjęcia.

Jego odpowiedź na pytanie Kinga sprowadzała się zatem do tego, iż biorąc udział w „Przyrodniczej Wyprawie Stulecia” chce dać dobry przykład, w nadziei, że inni pójdą za nim.

Według mnie zakrawa na dowcip fakt, że ten właśnie człowiek przedstawiał siebie jako płomiennego strażnika przyrody, skoro tak wiele spośród firm, którymi kierował lub których był największym udziałowcem, notorycznie zatrutowało glebę, wodę i powietrze. \* MacIntoshowi z pewnością nie wydawało się to śmieszne, ponieważ przyszedł na świat zupełnie niezdolny do zbytniego przejmowania się czymkolwiek. By ukryć ten brak, musiał stać się wielkim aktorem, grającym nawet przed sobą rolę namiętnego opiekuna wszystkiego i wszystkich.

W równie przekonujący sposób udzielił był wcześniej swojej córce całkowicie odmiennego wyjaśnienia, dlaczego wybierają się na wyspy „Bahia de Darwin”, a nie na „Omoo”. Otóż na jachcie, na którym poza MacIntoshami nie byłoby z kim porozmawiać, państwo Hiroguchi mogliby czuć się jak w potrzasku. W takiej sytuacji, być może, ogarnęłyby ich panika i \* Zenji mógłby zerwać negocjacje i zażądać wysadzenia w najbliższym porcie, z którego on i jego żona mogliby powrócić do domu.

Podobnie jak widu innych patologicznych osobników posiadających milion lat temu władze, \* Andrew MacIntosh prawie wszystko robił pod wpływem impulsu, niczego specjalnie nie odczuwając. Logiczne uzasadnienie jego czynów, wynajdywane w dogodnej chwili, zawsze następowało potem.

I niech ten sposób postępowania rodem z epoki wielkich mózgów będzie traktowany jako streszczenie historii wojny, w której miałem zaszczyt uczestniczyć, to

jest wojny w Wietnamie.

## 19

Jak większość patologicznych osobowości, \* Andrew MacIntosh w ogóle nie dbał o to, czy mówi prawdę, czy nie — i tak był niesamowicie przekonujący. Do tego stopnia poruszył wdowę Onassis i Rudolfa Nureyeva, że zażyczyli sobie, by King dostarczył im więcej informacji na temat „Przyrodniczej Wyprawy Stulecia”. King wywiązał się z polecenia nazajutrz rano, posyłając do nich specjalnego gońca.

Tak się szczęśliwie składało, że tego samego wieczoru w kanale edukacyjnym miał być nadawany dokumentalny film o głuptakach błękitnonogich z Galapagos i King dołączył karteczkę polecającą ten program. Głuptaki miały w przyszłości przesądzić o przetrwaniu małej ludzkiej kolonii na Santa Rosalii. Gdyby nie były takie głupie i tak niezdolne do wyuczenia się prostej prawdy, że ludzkie istoty są niebezpieczne — pierwsi osadnicy na pewno pomarliby z głodu.

Gwoździem programu był krótkometrażowy film ukazujący taniec godowy głuptaków błękitnonogich. Był to również kulminacyjny punkt wykładów na temat archipelagu, jakie prowadziła Mary Hepburn w szkole średniej w Ilium. Taniec przebiegał w ten sposób:

W pewnej odległości od siebie stały na lawie dwa olbrzymie, bajeczne ptaki. Były mniej więcej tak duże jak bezlotne kormorany i posiadały tak samo długie, węzowe szyje oraz dzioby jak harpuny. Ponieważ głuptaki nie zaniechały latania, mogły poszczycić się dużymi, silnymi skrzydłami. Ich nogi i płetwiaste stopy były jasnoblękitne. Głuptaki łapały ryby pikując na nie z powietrza.

Ryba! Ryba! Ryba!

Obydwa ptaki wyglądały identycznie, chociaż jeden z nich był samcem, a drugi samicą. Wydawało się, że pochłonięte są zupełnie odrębnymi sprawami i nic a nic nie interesują się sobą nawzajem — aczkolwiek żadne z nich nie miało na lawie zbyt wielu interesów do załatwienia, ponieważ głuptaki nie żywią się ani owadami, ani nasionami. Nie szukały też budulca na gniazdo, gdyż na to było jeszcze za wcześnie.

W końcu samiec porzucił to, czym się tak pilnie zajmował, a mianowicie totalne

nieróbstwo. Dojrzał samicę. Odwrócił wzrok i zaraz potem znowu na nią popatrzył. Nadal nie ruszał się z miejsca i nie wydawał żadnych dźwięków. Zarówno samiec, jak i samica głuptaka potrafi dać głos, lecz w trakcie całego tańca godowego oboje milczeli jak zakłęci.

Samica spoglądała to tu, to tam i w końcu ich spojrzenia przypadkowo się spotkały. Odległość pomiędzy ptakami wynosiła pięć metrów lub nieco więcej.

Kiedy Mary wyświetlała w szkole ten film o zalotach, zwykła mawiać w tym miejscu, jak gdyby w imieniu samicy:

— Czego u licha może chcieć ode mnie ten dziwak? Słowo daję, cóż to za persona!

Samiec zadarł do góry jasnoblękitną nogę. Rozpostarł ją w powietrzu jak papierowy wachlarz. Mary Hepburn, nadal w imieniu samicy, mówiła:

— A cóż to takiego? Ósmy cud świata? A może jemu się wydaje, że to jedyna błękitna łapa na wyspach?

Samiec postawił nogę na ziemi i natychmiast zadarł drugą, przysuwając się przy tym o krok w stronę samicy. Potem zademonstrował jej ponownie pierwszą nogę, a potem znowu drugą, patrząc jej przez cały czas prosto w oczy. Udająca samicę głuptaka Mary mówiła:

— Zmywam się stąd.

Ale samica nigdzie się nie zmywała. Tkwiła w miejscu jak wrośnieta w lawę, podczas gdy samiec pokazywał jej na przemian swoje nogi, podchodząc coraz bliżej i bliżej.

A potem samica podniosła do góry swoją własną nogę, a Mary powiedziała:

— Myślisz, że twoje są takie piękne? Popatrz na to, a zobaczysz, co to znaczy naprawdę śliczna noga. No, a poza tym mam jeszcze drugą.

Samica stawiała nogę na lawie i podnosiła drugą, przesuając się o krok w stronę samca.

Teraz Mary nic już nie mówiła. W tym miejscu kończyły się antropomorficzne żarty. Dalsza część widowiska zależała już tylko od ptaków. Ani nie przyspieszając, ani nie zwalniając tempa, obydwie ptaki zbliżały się do siebie w poważny, majestatyczny sposób, by stanąć w końcu piersią w pierś i łapą w łapę.

Uczniowie szkoły średniej z Ilium nie oczekiwali, że zobaczą kopulujące ptaki. Mary wyświetlała ten film co roku na początku maja, traktując to jak szkolne nabożeństwo na cześć wiosny, więc był on tak sławny, iż wszyscy wiedzieli, że nie ma co spodziewać się widoku kopulujących głuptaków.

Tak czy owak to, co głuptaki robiły przed kamerą, było w najwyższym stopniu erotyczne. Stojąc pierś w pierś i łapa w łapę, wyprężały do góry swe kręte szyje tak sztywno jak maszty flagowe. Ich głowy były odchylone do tyłu aż do granic możliwości. Przyciskały się do siebie swoimi długimi gardłami i spodami dziobów. W końcu formowały strzelistą wieżę — jednolitą bryłę spoczywającą na czterech błękitnych łapach.

W ten uroczysty sposób zawarte zostało małżeństwo.

Obyło się bez żadnych świadków, bez innych głuptaków podziwiających, jak piękną parę tworzą nowożeńcy i jak wspaniale tańczą. W tym filmie, który Mary wyświetlała w szkole i który Bobby King polecił pani Onassis i Rudolfowi Nureyevowi, jedynymi świadkami byli właściciele wielkich mózgów obsługujący kamerę.

Film nosił tytuł „Kierunek — niebo” i tak samo naukowcy obdarzeni wielkimi mózgami nazywali moment, w którym dzioby obu ptaków wskazywały kierunek idealnie przeciwny niż ten, w jakim oddziaływała siła przyciągania.

Film poruszył panią Onassis do tego stopnia, iż nakazała sekretarce zatelefonować z samego rana do Bobby'ego Kinga i zapytać, czy nie jest już za późno na rezerwację dwóch osobnych apartamentów na głównym pokładzie „Bahii de Darwin”.

## 20

Mary zwykła stawiać uczniom dodatkową ocenę, jeśli tylko zechcieli napisać jakiś krótki wiersz lub esej na temat tańca godowego. Podejmowała się tego zadania mniej więcej połowa uczniów, z których mniej więcej połowa sądziła, iż taniec godowy jest dowodem, że zwierzęta oddają cześć Bogu. Po reszcie prac można się było wszystkiego spodziewać. Jeden z uczniów napisał wiersz, który Mary zapamiętała do końca życia i nawet wprowadziła go do pamięci Mandaraxa. Ów uczeń nazywał się Noble Claggett i zginął w Wietnamie, lecz jego utwór przetrwał w Mandaraksie razem z kawałkami stworzonymi przez największych pisarzy wszystkich czasów. Ten wiersz



leciał tak:

*Spójrz, jak bardzo cię kocham  
I chcę mieć z tobą małe,  
Które, kiedy dorośnie,  
Powie to, co ja powiedziałem:  
„Spójrz, jak bardzo cię kocham  
I chcę mieć z tobą małe,  
Które, kiedy dorośnie,  
Powie to, co ja powiedziałem:  
«Spójrz, jak bardzo cię kocham  
I chcę mieć z tobą małe,  
Które, kiedy dorośnie,  
Powie to, co ja powiedziałem..»”  
Et cetera*

Nobfe Claggett (1947-1966)

Niektórzy uczniowie prosili o zgodę na temat dotyczący innego stworzenia z wysp Galapagos, a Mary, która naprawdę była dobrym nauczycielem, oczywiście się zgadzała. Największą popularnością cieszyły się wielkie fregaty, złodzieje uprzykrzający żywot głuptakom. Fregaty były ptasim odpowiednikiem Jamesa Waita, ponieważ żywiły się rybami złowionymi przez głuptaki i budowały swoje gniazda z materiałów kradzionych z gniazd głuptaków. Pewien rodzaj uczniów uważał, że to zabawne, i niemal z reguły byli to chłopcy.

Wśród tych niedojrzałych mężczyzn, zaintrygowanych erekcyjnymi wyczynami ich własnych narządów płciowych, zainteresowanie wzbudzała również pewna fizyczna osobliwość występująca u samców fregaty. Każdy samiec usiłował w okresie godowym zwrócić na siebie uwagę samicy, nadymając jaskrawoczerwony balon umieszczony u nasady gardła. Typowa kolonia fregat, oglądana w okresie godowym z lotu ptaka, przypominała jakieś gigantyczne przyjęcie dla dzieci, podczas którego każde dziecko otrzymało czerwony balonik. Wyspa była w tym czasie dosłownie wybrukowana

samcami fregaty, które z odrzuconymi do tyłu głowami demonstrowały krążącym w górze samicom swoje męzowskie kompetencje, napompowane do granic wytrzymałości płuc.

Jedna po drugiej samice opadały z przestworzy, wybrawszy uprzednio ten lub inny czerwony balon.

Kiedy Mary kończyła projekcję filmu o wielkich fregatach, kiedy rozsuwały się zasłony i światło znowu wpadało do sali, zawsze jakiś uczeń, zazwyczaj chłopak, niezawodnie zadawał — czasem chorobliwie, czasem dla jaj, czasem gorzkie, pełne nienawiści i lęku wobec kobiet — następujące pytanie:

— Czy samice zawsze usiłują wybierać samców z tym, no... największym...?

A Mary zawsze miała gotową odpowiedź, zawsze dokładnie tę samą, słowo w słowo, jak dowolny cytat z pamięci Mandaraxa:

— Żeby odpowiedzieć na to pytanie, należałoby najpierw zapytać samice fregaty wielkiej, lecz, o ile mi wiadomo, nikt jeszcze tego nie uczynił. Niektórzy ludzie poświęcili całe życie na badania obyczajów fregat i wedle ich opinii samice wybierają istotnie te czerwone balony, które wskazują najlepsze miejsca na gniazdo. Jak widzicie, to wszystko ma sens ze względu na przetrwanie gatunku.

— Powróćmy teraz do naprawdę głębokiej tajemnicy okrywającej taniec godowy głuptaka błękitnonogiego, który to taniec wydaje się nie mieć w ogóle żadnego związku z istotnymi elementami życia i przetrwania głuptaka jako gatunku, to znaczy z zakładaniem gniazda lub łowieniem ryb. Czy odważymy się nazwać to „rytuałem religijnym”? Albo, o ile brak nam śmiałości, czy możemy przynajmniej uznać to za „sztukę”?

— Proszę o komentarze.

Zaloty głuptaka błękitnonogiego, które pani Onassis tak bardzo zapragnęła ujrzeć na własne oczy, nie zmieniły się ani na jotę w ciągu miliona lat. Jak dotąd, ptaki te nie nauczyły się też obawiać czegokolwiek. Nie wykazały również najmniejszej chęci, by porzucić latanie i przedzierzgnąć się w łodzie podwodne.

Co do znaczenia tańca godowego głuptaków: Stworzenia te, będące olbrzymimi molekułami, nie mają po prostu żadnego wyboru. Muszą tańczyć dokładnie tak, ponieważ taka właśnie jest ich natura.

Ludzkie istoty są zaś zwykle molekułami potrafiącymi wykonywać wiele, wiele różnych tańców albo nie tańczącymi w ogóle — zależnie od chęci. Moja matka umiała tańczyć walca, tango, rumbę, charlestona, lindy-hopa, jitterbuga, twista i taniec Watusi. Ojciec natomiast w ogóle odmawiał tańczenia i to było jego prawdziwą satysfakcją.

## 21

Wyrażając chęć udziału w „Przyrodniczej Wyprawie, Stulecia” pani Onassis sprawiła, że dosłownie wszyscy ruszyli w jej ślady, a Roy i Mary Hepburnowie, ze swoją żalosną kabinką poniżej linii wodnej, zostali niemal zapomniani. Pod koniec marca Bobby King opublikował listę pasażerów zaczynającą się od pani Onassis i zawierającą nazwiska prawie tak olśniewające jak jej własne. Na liście figurował dr Henry Kissinger, Mick Jagger, Paloma Picasso, William F. Buckley Jr., a także, co zrozumiałe — \*Andrew MacIntosh, Rudolf Nureyev, Walter Cronkite i wielu, wielu innych. \*Zenji Hiroguchi, podróżujący pod nazwiskiem Zenji Kenzaburo, został przedstawiony w tej publikacji jako światowej sławy ekspert w dziedzinie chorób zwierząt, tylko po to, aby mniej więcej pasował formatem do pozostałych osobistości.

Ze względu na delikatność i by uchronić ich od kłopotliwych pytań w rodzaju: „Kim wy właściwie jesteście?”, pominięto na liście nazwiska dwojga pasażerów będących dokładnie nikim. Byli to oczywiście Roy i Mary Hepburnowie ze swoją żalosną kabinką poniżej linii wodnej.

Z drugiej zaś strony ta nieco przykrojona lista stała się listą oficjalną. Kiedy więc w maju linie lotnicze Ecuatoriana wysłały do wszystkich uczestników wycieczki telegramy informujące o specjalnym nocnym locie, zorganizowanym dla wszystkich, którzy w przeddzień startu „Bahii de Darwin” znajdować się będą w Nowym Jorku — Mary Hepburn nie było wśród powiadomionych. Limuzyny miały zbierać wycieczkowiczów z terenu całego miasta i zawozić ich na lotnisko. Wszystkie fotele w samolocie można było rozłożyć jak łóżka, a fotele w klasie turystycznej dawały się ustawiać wokół estrady, na której zespół ekwadorskiego baletu Folklorico miał wykonać klasyczne tańce różnych indiańskich szczepów, w tym taniec ognia nieuchwytnych Kanka-bonów. Do wykwinnych dań miano serwować wina godne naj słynniejszych francuskich restauracji. Wszystko miało być za darmo, lecz Roy i Mary Hepburnowie

nigdy się o tym nie dowiedzieli.

Tak, nie otrzymali również listu wysłanego w czerwcu przez drą Jose Sepulvedę de la Madrid, prezydenta Ekwadoru, który zapraszał uczestników wycieczki na uroczyste śniadanie w hotelu „El Dorado”, poprzedzające paradę, w trakcie której konne powozy przyozdobione kwiatami odwiozą wszystkich z hotelu na nabrzeże, gdzie nastąpi zaokrętowanie.

Mary nie otrzymała też telegramu, który King wysłał do wszystkich 1 listopada i w którym przyznawał, że czarne chmury gromadzące się na horyzoncie ekonomii są faktycznie niepokojące. Jednak gospodarka Ekwadoru pozostaje w dobrym stanie, a zatem nie ma powodu przypuszczać, że „Bahia de Darwin” nie wyruszy w rejs zgodnie z planem. King nie wspominał o dobrze znanym sobie fakcie, a mianowicie o tym, że lista pasażerów skurczyła się blisko o połowę wskutek odwołań rezerwacji, które nadeszły właściwie ze wszystkich krajów, z wyjątkiem Japonii i USA. Tak że każdy, kto jeszcze nie zrezygnował, mógł polecieć owym specjalnym lotem z Nowego Jorku.

A teraz właśnie sekretarka Kinga weszła do jego gabinetu, aby poinformować go, że przed chwilą słyszała w radio, jak Departament Stanu odradzał obywatelom Stanów Zjednoczonych podróże do Ekwadoru.

Taki był koniec tego, co King uważał za dzieło swojego życia. Nie mając pojęcia o budowie okrętów, uczynił statek bardziej atrakcyjnym, przekonując właścicieli, by zrezygnowali z nazwy „Antonio Jose de Sucre” na rzecz „Bahia de Darwin”. To, co miało być rutynową dwutygodniową wycieczką na wyspy i z powrotem, przekształcił w przyrodniczą wyprawę stulecia. W jaki sposób dokonał takiego cudu? Nigdy nie nazywając wycieczki inaczej niż „Przyrodnicza Wyprawa Stulecia”.

Jeśli nawet „Bahia de Darwin” nie wyruszy nazajutrz w rejs, o czym King był obecnie przekonany, to jednak przetrwają uboczne efekty jego kampanii. Dzięki reklamowym publikacjom na temat cudów, jakie mieli ujrzeć pani Onassis, dr Kissinger, Mick Jagger i inni, King nauczył ludzi mnóstwa rzeczy z historii naturalnej. Wykreował poza tym dwie nowe znakomitości: Roberta Pepina, którego wynajął do obsługi kuchni na czas „Przyrodniczej Wyprawy Stulecia” i nazwał „największym mistrzem kucharskim we Francji”, oraz kapitana Adolfa von Kleista, dowódcę „Bahii de Darwin”, który — ze swoim wielkim nosem i atmosferą tajemnicy kryjącej jakąś wielką tragedię osobistą nie z

tej ziemi — okazał się pierwszorzędnym telewizyjnym komediantem.

King posiadał w swoich zbiorach stenogram z występu Kapitana w „Wieczornym Show”, prowadzonym przez Johnny'ego Carsona. W programie tym, tak jak i we wszystkich innych, Kapitan olśniewał biało-złotym uniformem, do noszenia którego miał pełne prawo jako admirał rezerwy ekwadorskiej marynarki wojennej. Stenogram leciał tak:

CARSON: Jakoś nie wydaje mi się, aby nazwisko von Kleist było typowo południowoamerykańskim nazwiskiem...

KAPITAN: Nie ma pan racji. To jedno z najpospolitszych inkaskich nazwisk, odpowiednik waszego Smitha albo Jonesa. Jeśli czytał pan relacje hiszpańskich odkrywców, którzy zniszczyli imperium Inków, dlatego że było tak niechrześcijańskie...

CARSON: Tak?

KAPITAN: Zakładam, że pan je czytał.

CARSON: Trzymam je na nocnym stoliku razem z autobiografią Hedy Lamarr „Ekstaza i ja”.

KAPITAN: No to wie pan, że co trzeci Indianin spalony za herezję nazywał się von Kleist.

CARSON: Jak duża jest marynarka wojenna Ekwadoru?

KAPITAN: Cztery łodzie podwodne. Stale znajdują się pod wodą. Nigdy nie wypływają.

CARSON: Nigdy?

KAPITAN: Nie, już od wielu, wielu lat.

CARSON: Ale utrzymujecie z nimi łączność radiową?

KAPITAN: Nie. Oni przestrzegają ciszy w eterze. To ich własny pomysł. Chętnie byśmy z nimi pogadali, ale oni wolą zachować ciszę radiową.

CARSON: Dlaczego tyle czasu siedzą pod wodą?

KAPITAN: O to musiałby zapytać pan właśnie ich. Jak pan wie, Ekwador jest krajem demokratycznym. Nawet ci spośród jego obywateli, którzy służą w marynarce wojennej, mają dużo swobody w decyzji, co robić, a czego nie.

CARSON: Niektórzy ludzie sądzą, że Hitler wciąż żyje i przebywa w Ameryce Południowej. Myśli pan, że to może być prawda?

KAPITAN: Wiem tyle, że w Ekwadorze są ludzie, którzy z radością widzieliby go u siebie na obiedzie.

CARSON: Sympatycy nazizmu.

KAPITAN: Tego akurat nie wiem, choć przypuszczam, że to możliwe.

CARSON: No, skoro byliby zadowoleni mając Hitlera na obiedzie...

KAPITAN: Dokładniej rzecz biorąc — na obiad. Miałem na myśli Kanka-bonów. Oni cieszą się mając na obiad kogokolwiek. Oni są... jak to się po angielsku nazywa? Mam to na końcu języka.

CARSON: Myślę, że możemy iść dalej.

KAPITAN: Oni są... oni są... Kanka-bonowie są...

CARSON: Szkoda czasu.

KAPITAN: Acha! Oni są „apolityczni”. To dobre słowo. Apolityczni — tacy właśnie są Kanka-bonowie.

CARSON: Ale oni są obywatelami Ekwadoru?

KAPITAN: Tak, oczywiście. Mówiłem już panu, że u nas jest demokracja. Jeden kanibal — jeden głos.

CARSON: Zadam panu teraz pytanie, o które prosiło wiele pań, ale być może jest ono zbyt osobiste...

KAPITAN: Dlaczego tak czarujący i przystojny mężczyzna jak ja nie zaznał jeszcze rozkoszy małżeństwa?

CARSON: W tych sprawach mam nieco osobistych doświadczeń, jak pan może wie.

KAPITAN: To nie byłoby w porządku wobec kobiet.

CARSON: No tak, to są zbyt osobiste sprawy. Porozmawiajmy lepiej o głuptakach błękitnonogich. Może już czas pokazać film, który pan przywiózł.

KAPITAN: Nie, nie. Nie mam nic przeciwko dyskusji na temat moich niepowodzeń, daję słowo. Byłoby po prostu nie w porządku żenić się, skoro w każdej chwili mogę otrzymać dowództwo łodzi podwodnej.

CARSON: I może pan zanurzyć się i nigdy nie wypłynąć.

KAPITAN: Taka jest tradycja.

King ciężko westchnął. Z leżącej na jego biurku listy pasażerów wykreślono około połowy nazwisk — Meksykanów, Argentyńczyków, Włochów, Filipińczyków i tak dalej, ludzi na tyle głupich, aby lokować swoje fortuny w rodzimej walucie. Ci, którzy pozostali, nie licząc sześciu osób w Guayaquil, znajdowali się w Nowym Jorku i byli łatwo osiągalni przez telefon.

Powinniśmy chyba wykonać kilka telefonów — powiedział King do sekretarki.

Sekretarka zaproponowała, że podzwoni, ale King się na to nie zgodził. Czuł, że w tej sprawie nie może się nikim wyręczyć. Namawiał przecież wszystkie te sławy, by wzięły udział w wycieczce, a do najślawniejszych spośród nich umizgiwał się jak kochanek. A teraz, tak jak powinien zrobić odpowiedzialny kochanek, zamierzał osobiście przekazać im złe wieści. Ostatecznie nie powinien mieć większych problemów z dotarciem do większości z nich. Było tego czterdzieści dwie osoby, wliczając współmałżonków oraz znajomych, którzy byli zerami, ale zorganizowali się w kilka kółek bankietowych — należycie odnotowanych w kronice towarzyskiej — stworzonych po to, by przyjemnie spędzić tych parę godzin, jakie pozostały do czasu, aż przybędą limuzyny i komfortowo odwieżą wszystkich do Międzynarodowego Portu Lotniczego im. Kennedy'ego, skąd o dziesiątej wystartuje do Guayaquil specjalny samolot linii Ecuatoriana.

W końcu King nie musiał rozmawiać o żadnych zwrotach pieniędzy. Wycieczka — jak dotąd — nie kosztowała ich nawet złamanego grosza, a już przecież dostali za darmo walizki, zestawy kosmetyków i nawet kapelusze panama.

Gwoli pocieszenia siebie i sekretarki King odstawił swój stary numer z wypchaną iguaną. Przyłożył ją do twarzy jakby to był telefon i powiedział:

— Pani Onassis? Bardzo mi przykro, ale mam dla pani smutne wiadomości. Niestety, nie uda się pani osobiście zobaczyć zalotów głuptaka błękitnonogiego.

Telefoniczne przeprosiny Kinga były szarmancką formalnością. Nikt i tak nie zamierzał wsiadać do samolotu o dziesiątej wieczorem. Swoją drogą, o dziesiątej nie żył już ani \*Andrew MacIntosh, ani \*Zenji Hiroguchi, ani brat Kapitana \*Siegfried, i wszyscy oni mieli już za sobą krótką podróż w Zaświaty wiodącą przez błękitny tunel.

Wszyscy ludzie z listy pasażerów, z którymi rozmawiał King, mieli już zupełnie

nowe plany na najbliższe dwa tygodnie. Wielu wybierało się na narty gdzieś w obrębie bezpiecznych granic Stanów Zjednoczonych. Cała szóstka gości zebranych na jednym z obiadów zdecydowała właśnie wybrać się do Phoenix, Arizona, by spędzić tam trochę czasu w czymś, co było skrzyżowaniem zamożnej rezydencji i klubu tenisowego.

Tuż przed opuszczeniem biura King zatelefonował do człowieka, który w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy stał się jego bliskim przyjacielem. Był to dr Teodoro Donoso, poeta i lekarz z Quito, ówczesny ambasador Ekwadoru przy ONZ. Dr Donoso uzyskał dyplom w Harvardzie, a kilku innych Ekwadorczyków, z którymi King miał do czynienia, również uczyło się w Stanach. Kapitan „Bahii de Darwin” Adolf von Kleist był absolwentem Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis. Jego brat \*Siegfried skończył Szkołę Hotelarską Cornella w Ithace, Nowy Jork.

Dobytujący się ze słuchawki niesamowity hałas, jak gdyby w ambasadzie odbywało się jakieś dzikie przyjęcie, został stłumiony w chwili, kiedy dr Donoso zamknął drzwi.

— Cóż tak świętują ci ludzie? — zapytał King.

— To balet Folklórico — wyjaśnił ambasador — odbywa próbę tańca ognia Kanka-bonów.

— Czy oni nie wiedzą, że z wycieczki nici? — zdziwił się King.

Okazało się, że wiedzą doskonale, lecz zamierzają pozostać w Stanach i zarobić na sobie i swoje rodziny parę dolarów występując w teatrach i nocnych klubach z tańcem, który dzięki reklamie Kinga stał się tak bardzo sławny — z tańcem ognia Kanka-bonów.

— Jest wśród nich jakiś prawdziwy Kanka-bono? — zainteresował się King.

— Podejrzewam, że nigdzie na świecie nie ma ani jednego prawdziwego Kanka-bono — odparł ambasador. W swoim czasie napisał dwudziestosześcioletni poemat zatytułowany „Ostatni Kanka-bono”, opowiadający o zagładzie małego plemienia z ekwadorskiej dżungli. Na początku wiersza było jedenastu Kanka-bonów. Pod koniec został już tylko jeden, a i ten nie czuł się zbyt dobrze. Wiersz był ćwiczeniem z wyobraźni, ponieważ autor, jak większość Ekwadorczyków, nigdy nie widział żadnego Kanka-bono. Słyszał jedynie, że liczebność plemienia spadła do zaledwie czternastu członków, a zatem jego ostateczna zagłada wskutek naporu cywilizacji wydawała się



nieunikniona.

Cóż, mało wiedział, choćby o tym, że za niecałe sto lat krew każdej ludzkiej istoty żyjącej na ziemi będzie w zasadzie kanka-bońska, z niewielką domieszką von Kleistów i Hiroguchich.

Tak niespodziewany obrót wypadków był, w olbrzymiej mierze, zasługą jednej z dwóch absolutnie nic nie znaczących osób, jakie figurowały na pierwotnej liście pasażerów „Przyrodniczej Wyprawy Stulecia”. Tą osobą była Mary Hepburn. Drugim zerem był jej mąż, który odegrał decydującą rolę w ukształtowaniu ludzkiego przeznaczenia, kiedy to — stojąc w obliczu swej zagłady — zarezerwował tanią kabinę poniżej linii wodnej.

## 22

Dwadzieścia sześć zwrotek opłakujących „ostatniego Kanka-bono” było, skromnie mówiąc, przedwczesne. Ambasador Donoso zrobiłby lepiej, gdyby uzałił się na papierze nad „ostatnim rodowitym Latynoamerykaninem”, „ostatnim rodowitym północnym Amerykaninem”, „ostatnim rodowitym Europejczykiem”, „ostatnim rodowitym Afrykaninem” albo „ostatnim rodowitym Azją”. W każdym razie nie mylił się, jeśli chodzi o to, co może stać się z morale Ekwadorczyków w ciągu najbliższych paru godzin, kiedy mówił Kingowi:

— Gdy się w końcu okaże, że pani Onassis nie przybyła, wszystko pójdzie w rozsypkę.

— Sprawy pokomplikowały się tak bardzo zaledwie w przeciągu trzydziestu dni — odparł King. — Zdawało się, że „Przyrodnicza Wyprawa Stulecia” jest tylko jedną z wielu rzeczy, z jakich cieszyli się Ekwadorczycy, a tu okazało się, że jest jedyną.

— To tak, jakbyśmy napelnili wielką kryształową wazę na poncz szampanem — powiedział Donoso — a ta waza zmieniałaby się w ciągu nocy w zardzewiałe wiadro pełne nitrogliceryny.

Dodał jeszcze, że „Przyrodnicza Wyprawa Stulecia” mogłaby przynajmniej na tydzień lub dwa odroczyć stojące przed Ekwadorem widmo nierozwiązywalnych problemów gospodarczych. Rząd Kolumbii, sąsiadującej z Ekwadorem od pomocy, i rząd Peru, sąsiadującego od południa i wschodu, zostały już obalone i zastąpione

wojskowymi dyktaturami. Prawdę mówiąc, nowi przywódcy Peru zamierzali właśnie — by zaprzątnąć wielkie mózgi swoich obywateli czym innym niż ich rodzime kłopoty — wypowiedzieć Ekwadorowi wojnę.

— Gdyby pani Onassis przybyła teraz do Ekwadoru — kontynuował Donoso — ludzie powitaliby ją jak zbawicielkę, jak cudotwórczynię. Spodziewano by się, że jest w stanie sprowadzić do Guayaquil statki obładowane żywnością i amerykańskie bombowce zrzucające na spadochronach kaszkę, mleko i świeże owoce dla dzieci!

Muszę stwierdzić, że obecnie nikt nie oczekuje wybawienia od kogokolwiek, kiedy tylko ukończy dziewiąty miesiąc życia. Oto jak długo trwa dzisiaj dzieciństwo.

Ja sam byłem ratowany przed wariactwem i zaniedbaniem do dziesiątego roku życia — do czasu, aż mnie i ojca opuściła moja matka. Mary Hepburn była uzależniona od swoich rodziców do dwudziestego drugiego roku życia, do momentu zdobycia dyplomu magistra.

Rodzice Adolfa von Kleista, kapitana „Bahii de Darwin”, wyciągali go z karcianych długów, oskarżeń o jazdę po pijanemu, bójki, unikanie aresztu, wandalizm i tak dalej, aż do czasu, kiedy skończył dwadzieścia sześć lat — gdy jego ojciec zapadł na płasawicę Huntingtona i zamordował matkę. Odtąd Adolf von Kleist zaczął sam ponosić konsekwencje swoich wyskoków.

Nic więc dziwnego, że w czasach, kiedy dzieciństwo trwało tak długo, tak wielu ludzi tkwiło przez całe życie w nałogu wiary, że nawet po śmierci rodziców ktoś nad nimi czuwa — Bóg, święty, anioł stróż, gwiazdy lub cokolwiek.

Dzisiaj ludzie nie żywią podobnych iluzji. Bardzo szybko dowiadują się, jaki naprawdę jest ten świat, a rzadko który z dorosłych nie widział na własne oczy, jak jego nieostrożny rodzic lub ktoś z rodzeństwa został pożarty przez miecznika czy rekina.

Milion lat temu odbywały się żarliwe debaty na temat, czy ludzie powinni, czy nie powinni używać mechanicznych środków powstrzymujących spermę od zapłodnienia jajeczka lub usuwających zapłodnione jajeczko z macicy po to, by liczba ludzi nie przerosła możliwości ich wykarmienia.

Ten problem jest już dzisiaj całkowicie załatwiony, przy czym nikt nie musi robić niczego wbrew naturze. Mieczniki i rekiny utrzymują ludzką populację w ryzach i nikt nie głoduje.

Mary Hepburn uczyła w szkole w Ilium nie tylko biologii ogólnej, ale prowadziła też kurs na temat seksualnego życia człowieka. Musiała w związku z tym opisywać rozmaite sposoby zapobiegania ciąży, których sama nigdy nie stosowała, ponieważ jej mąż był jedynym kochankiem, jakiego kiedykolwiek miała, i ponieważ oboje od samego początku bardzo pragnęli mieć dzieci.

Mary, której nie udało się zajść w ciążę pomimo wieloletnich, wyczerpujących stosunków z Royem, musiała ostrzegać swoje uczennice przed konsekwencjami nader przelotnych, pozbawionych głębszego uczucia i na pozór błahych kontaktów z mężczyznami. A w miarę upływu lat coraz więcej ostrzegawczych opowieści dotyczyło uczniów, których znała osobiście — właśnie stąd, z ogólniaka w Ilium.

Rzadko który semestr mijał bez co najmniej jednej niepożądaney ciąży, a w trakcie pamiętnego wiosennego semestru w 1981 roku było ich sześć. Mniej więcej połowa tych dzieci mających mieć dzieci mówiła, dość szczerze zresztą, o prawdziwej miłości, jaką żywią do swoich partnerów. Druga połowa natomiast zaklinała się, mimo miażdżącej wymowy faktów świadczących przeciwnie, iż nie przypomina sobie, aby kiedykolwiek angażowała się w coś, co mogłoby zakończyć się urodzeniem dziecka.

Pod koniec tego pamiętnego wiosennego semestru 1981 roku Mary mówiła koleżankom:

— Dla niektórych dziewcząt zajść w ciążę jest równie łatwo, jak złapać katar.

Była w tym niewątpliwie jakaś analogia. Zarówno katar, jak i dzieci powodowane były przez mikroskopijne żyjątka, które niczego tak nie uwielbiały, jak błonę śluzową.

Po dziesięciu latach spędzonych na Santa Rosalii Mary Hepburn dowiedziała się z pierwszej ręki, jak łatwo zapłodnić nastoletnią dziewicę nasieniem mężczyzny, który szukał jedynie seksualnego wyładowania i który nawet jej nie lubił.

Tak więc, gdy kapitan Adolf von Kleist jechał taksówką z Międzynarodowego Portu Lotniczego w Guayaquil na nabrzeże, przy którym stała zakotwiczona „Bahia de Darwin”, przeniknąłem do jego głowy, nie mając pojęcia, że zostanie on ojcem całego rodzaju ludzkiego. Nie wiedziałem, że ludzkość będzie przypadkiem zredukowana do minimum, a potem — równie przypadkowo — uda jej się na powrót rozrosnąć. Wierzyłem, że chaos obezwładniający miliardy wielkomózgich ludzi, miotających się na wszystkie strony i mnożących, mnożących się zapamiętałe, będzie ciągle trwał i trwał. Nie wydawało się możliwe, aby jednostka zdołała odegrać znaczącą rolę w tym bezsensownym rozgardiaszu.

A zatem mój wybór głowy Kapitana na wehikuł miał ten sam charakter, co wrzucenie monety do automatu w jakimś gigantycznym kasynie gry i rozbicie banku.

Najbardziej ze wszystkiego pociągał mnie jego biało-złoty mundur admirała rezerwy. Osobiście byłem kiedyś szeregowcem i ciekawiło mnie, jak wygląda świat w oczach człowieka z tak wysokim stopniem wojskowym i z tak wysoką pozycją społeczną.

Poczułem się zbity z tropu, kiedy odkryłem, że jego wielki mózg myśli o meteorach. Takie uczucie udzielało mi się niegdyś dość często: Przenikałem do czaszek ludzi, którzy — jak sądziłem — znajdują się w szczególnie interesującej sytuacji, i okazywało się, że ich wielkie mózgi medytują nad rzeczami pozbawionymi jakiegokolwiek związku z problemami pozostającymi w zasięgu ręki.

A co do Kapitana i meteorów: W czasie studiów w Akademii Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych Kapitan niewiele przejmował się większością swoich instruktorów i ukończył szkołę jako jeden z 7 najgorszych studentów. Z pewnością oblałby egzamin i astronawigacji, z którego wyrzucono go za ściąganie, gdyby jego rodzice nie interweniowali przez kanały dyplomatyczne. Wszelako jeden z wykładów na temat meteorów wywarł na Kapitanie piorunujące wrażenie. Instruktor opowiadał o nawałnicach ogromnych głazów z kosmosu, będących przez całe eony czymś zupełnie normalnym, i o straszliwej sile ich uderzeń, co przypuszczalnie spowodowało zagładę wielu form życia, łącznie z dinozaurami. Powiedział także, iż nie ma powodów, dla których istoty ludzkie nie miałyby spodziewać się w każdej chwili gradu tych niszczycieli planet, i że powinno się zbudować urządzenia pozwalające odróżnić

meteoryty od wrogich rakiet balistycznych.

W przeciwnym bowiem razie kompletnie pozbawiona znaczenia garstka kamieni z kosmosu mogłaby wywołać III wojnę światową.

Ta apokaliptyczna przestroga do tego stopnia zagnieżdżyła się w zwojach mózgu Kapitana — a działo się to, zanim jego ojciec zapadł na płasawicę Huntingtona — że raz na zawsze uwierzył, iż najbardziej prawdopodobnym sposobem, w jaki zginie ludzkość, będzie faktycznie grad meteorytów.

Według Kapitana byłaby to dużo bardziej honorowa, poetycka, a nawet piękna śmierć w porównaniu z III wojną światową.

Kiedy lepiej poznałem mózg Kapitana, zrozumiałem, iż była niejaka logika w tym, że rozmyślał on o meteorytach jadąc przez Guayaquil i przyglądając się tłumom głodnych ludzi poddanych stanowi wojennemu. Tym ludziom świat wydawał się na wykończeniu, i to bez splendoru roju meteorytów.

Sam Kapitan był w pewnym sensie jak gdyby trafiony meteorytem: śmiercią matki zamordowanej przez ojca. A jego przecucie, że życie jest bezsensownym koszmarem, w którym nikt nie zwraca uwagi na to, co się dzieje, i nie dba o nic, było w istocie bardzo mi bliskie.

Tak właśnie się czułem, kiedy w Wietnamie zastrzeliłem jakąś staruszkę. Była bezzębna i zgarbiona tak samo, jak Mary Hepburn pod koniec swojego życia. Zastrzeliłem ją w chwilę potem, jak za pomocą ręcznego granatu zabiła mojego najlepszego przyjaciela i najgorszego wroga z mojego plutonu.

Ten epizod sprawił, że odechciało mi się żyć, że zazdrościłem kamieniom. Wolałem już raczej być kamieniem na żołądźce Natury.

Kapitan udał się z lotniska wprost na statek, nie zaglądając nawet do hotelu, by przywitać się z bratem. W ciągu całego długiego lotu z Nowego Jorku popijał szampana i cierpiał teraz z powodu morderczego kaca.

A kiedy znaleźliśmy się obaj na pokładzie „Bahii de Darwin”, stało się dla mnie oczywiste, iż jego funkcje jako kapitana, a także admirała rezerwy, były czysto

reprezentacyjne. To inni mieli zajmować się nawigacją, maszynownią, utrzymaniem dyscypliny wśród załogi i tak dalej, zaś on w tym czasie winien dotrzymywać towarzystwa znakomitym pasażerom. Kapitan miał bardzo blade pojęcie o obsłudze statku, ale i nie sądził, by potrzebna mu była w tym zakresie szersza wiedza. Wyspy Galapagos znał również fragmentarycznie. Jako admirał złożył parę oficjalnych wizyt w bazie morskiej na Baltrze i w Stacji Badawczej im. Darwina na Santa Cruz — i wtedy też był w zasadzie pasażerem na pokładzie okrętu, którym nominalnie dowodził. Natomiast pozostałe wyspy stanowiły dla niego terra incognita. Krótko mówiąc, Kapitan mógłby być o wiele bardziej fachowym przewodnikiem po trasach narciarskich w Szwajcarii, w kasynach Monte Carlo lub w stajniach przy boiskach do gry w polo w Palm Beach. No ale w czym problem? Przecież „Przyrodniczą Wyprawę Stulecia” mieli prowadzić przewodnicy i wykładowcy z dyplomami z nauk przyrodniczych, wyszkoleni w Stacji Badawczej im. Darwina. Kapitan zamierzał uważnie im się przysłuchiwać i uczyć się wraz z resztą pasażerów.

Podróżując w głowie Kapitana miałem nadzieję dowiedzieć się, co to znaczy być najwyższym dowódcą. Zamiast tego dowiedziałem się, co to znaczy być niebieskim ptakiem. Kiedy wchodziliśmy po trapie, przyjęto nas ze wszystkimi możliwymi honorami wojskowymi. Lecz już na pokładzie nikt z oficerów i marynarzy, kończących ostatnie przygotowania przed przybyciem pani Onassis i reszty pasażerów, nie zgłosił się po żadne rozkazy dotyczące wykonywanej pracy.

Kapitan wiedział tylko tyle, że statek jest gotowy wypłynąć nazajutrz w rejs. Nic innego w każdym razie nie słyszał. Ponieważ przebywał w Ekwadorze dopiero od godziny i miał pełen bandzioch dobrego nowojorskiego jedzenia oraz potwornego kaca po szampanie, jeszcze do niego nie dotarło, w jak okropnych tarapatach znajdował się on sam i jego statek.

To jeszcze jeden defekt ludzkości, na który Prawo Doboru Naturalnego nie znalazło, jak dotąd, żadnego sposobu: Kiedy dzisiejsi ludzie napelniają sobie brzuchy, stają się dokładnie tacy sami, jak ich przodkowie sprzed miliona lat — bardzo wolno dociera do nich świadomość, że mogą znaleźć się w niezłych tarapatach, kiedy na przykład

zapomną o nadzwyczajnej ostrożności wobec rekinów i orek.

Szczególnie tragiczny był fakt, że milion lat temu ludzie tacy jak choćby \*Andrew MacIntosh, najlepiej poinformowani o sytuacji na planecie i na tyle bogaci i wpływowi, aby przyhamować nadchodzącą zagładę i spustoszenie — byli zawsze syci.

Tak więc, jeśli o nich chodzi, wszystko było w najlepszym porządku.

I mimo że mieli do dyspozycji komputery, urządzenia pomiarowe, publikatory, banki pamięci, ekspertów od tego i owego, to jednak o pilności takich problemów jak, powiedzmy, zagłada północnoamerykańskich i europejskich lasów powodowana przez kwaśne deszcze, rozstrzygały ostatecznie ich ślepe i głuche brzuchy.

A oto, jakiego rodzaju porad udzielają i udzielają nadal pełne brzuchy: Kiedy Hernando Cruz, pierwszy oficer „Bahii de Darwin”, powiedział Kapitanowi, że co trzeci członek załogi zdezerterował, uznając, że lepiej zająć się swoją własną rodziną, i że po przewodnikach ani widu, ani słyhu — obżarty brzuch Kapitana obdarzył go taką radą:

— Cierpliwości! Uśmiechnij się i bądź dobrej myśli. Wszystko i tak obróci się w najlepsze.

## 24

Mary Hepburn widziała i doceniła komiczny występ Kapitana w „Wieczornym Show” i jeszcze raz potem w programie „Dzień dobry, Ameryko” — do tego stopnia, iż wydało jej się, że zna go jeszcze z czasów, zanim jej wielki mózg nakłonił ją do przybycia do Guayaquil.

Kapitan występował w „Wieczornym Show” w dwa tygodnie po śmierci Roya i był pierwszym człowiekiem, który sprawił, że Mary pierwszy raz po tym smutnym wydarzeniu głośno się roześmiała. Mary oglądała telewizję w saloniku swojego małego domku, stojącego wśród wyludnionych i wystawionych na sprzedaż sąsiednich domów, i zaśmiewała się z absurdalnej flotylli ekwadorskich okrętów podwodnych, której tradycją było zanurzyć się i nigdy nie wypłynąć.

Mary przypuszczała, że w umiłowaniu przyrody i wszelkiej maszynerii Kapitan jest bardzo podobny do Roya. Gdyby tak nie było, dlaczego mianowano by go kapitanem „Bahii de Darwin”?

A w pewnym momencie jej wielki mózg sprawił, że — ku swojemu znacznemu

zakłopotaniu, choć nikt nie mógł jej usłyszeć — zwróciła się głośno do telewizora, na którego ekranie widniał obraz Kapitana:

— Nie chciałbyś się przypadkiem ze mną ożenić?

Ostatecznie okazało się, że Mary, dzięki wspólnemu życiu z Royem, wiedziała na temat techniki nieco więcej od Kapitana. Kiedy po śmierci Roya nie chciał zapalić, na przykład, silnik w kosiarce do trawy, Mary potrafiła wymienić świecę i uruchomić maszynę — coś, czego Kapitan nigdy by nie dokonał.

Poza tym Mary o niebo więcej wiedziała na temat archipelagu. To właśnie ona prawidłowo zidentyfikowała wyspę, na której wylądowali. Kapitan, pragnąc za wszelką cenę ocalić resztki autorytetu i szacunku dla siebie po tym, jak jego wielki mózg spartaczył tak wiele rzeczy, oznajmił, że znajdują się na Rabidzie, co nie było oczywiście prawdą. W każdym razie Kapitan nigdy Rabidy nie widział.

Tym, co pozwoliło Mary rozpoznać, że wylądowali na Santa Rosalii, był dominujący na wyspie gatunek łuszczaka, nieco podobnego do zięby. Nawiasem mówiąc, te płowe ptaszki, tak nieinteresujące dla większości turystów i uczniów Mary, dla młodego Karola Darwina były równie ekscytujące jak wielkie lądowe żółwie, głuptaki, morskie iguany czy jakieś inne tamtejsze stworzenia. To było tak: łuszczaki, które wyglądały na identyczne, dzieliły się w gruncie rzeczy na trzynaście gatunków, z których każdy utrzymywał swoją specyficzną dietę i sposób zdobywania pożywienia.

Żaden z gatunków nie miał bliskich krewnych ani na kontynencie południowoamerykańskim, ani w ogóle nigdzie. Przodkowie tych ptaków mogli równie dobrze dotrzeć na Galapagos na arce Noego, jak i na naturalnej tratwie, ponieważ tysiąckilometrowy lot nad otwartym oceanem absolutnie nie mieści się w charakterze łuszczaka.

Na wyspach nie było dzięciołów, były za to łuszczaki żywiące się tym, czym żywią się dzięcioły. Ponieważ nie były w stanie kuć w drzewach, chwyciły więc w swoje małe, tępe dziobki gałązki lub kolce kaktusa i wydlubowały nimi robaki z kryjówek.

Inny gatunek łuszczaka był czymś w rodzaju pijawki, zdobywał pożywienie dziobiąc długą szyję obojętnego na to głuptaka, aż pojawiło się kilka kropelek krwi. Wtedy, ku wielkiemu ukontentowaniu, łuszczak spijał małymi łydkami swoje danie.



Ludzkie istoty nazwały tego ptaka *Geospiza difficilis*.

Głównym siedliskiem tych obrzydliwych stworzeń, ich Rajskim Ogrodem była Santa Rosalia. Mary prawdopodobnie nigdy nie zainteresowałaby się tą wyspą, tak odległą od reszty archipelagu i tak rzadko odwiedzaną przez kogokolwiek, gdyby nie roilo się na niej od *Geospizy difficilis*. Nigdy pewnie nie poświęcałaby jej tak wielu wykładów, gdyby nie to, że te pijawki były jedynym gatunkiem łuszcza, jaki mógł wyrwać uczniów z letargu i dać im okazję do pomstowania i ciskania oskarżeń pod adresem ptaka.

Wspaniała nauczycielka, jaką była Mary, nie pozostawała w tyle za swoimi uczniami, określając te stworzenia mianem „idealnych piessczoszków hrabiego Draculi”. Mary wiedziała, że ów całkowicie fikcyjny hrabia był dla Większości jej uczniów daleko bardziej znaczącą postacią niż na przykład George Washington, który był zaledwie założycielem ich państwa.

Na temat Draculi uczniowie mieli też większą wiedzę, ;a zatem Mary mogła rozwinąć dalej swój dowcip, dowodząc, że hrabia nie mógłby jednak, pomimo wszystko, śpieszyć się *Geospiza difficilis*, jako że on, zwany przez Mary *Homo transylvaniensis*, przesypiał cały dzień, podczas gdy *Geospiza difficilis* spała w nocy.

— A zatem, być może — wnioskowała Mary z udawanym smutkiem — najulubieńszym zwierzątkiem hrabiego Draculi pozostaje członek rodziny Desmodontidae — co jest naukową wersją nazwy „nietoperz-wampir”.

A potem Mary wieńczyła dowcip słowami: — Jeżeli znajdziecie się kiedyś na Santa Rosalii i uda wam się zabić jakąś *Geospizę difficilis*, to co powinniście zrobić, aby uzyskać pewność, że jest ona martwa raz na zawsze? Musicie pogrzebać ją na rozstaju dróg no i, rzecz jasna, przebić jej serce osinowym palikiem.

Wszelako tym, co w przypadku wszystkich gatunków galapagoskich łuszczaaków tak bardzo irytowało umysł młodego Darwina, było to, że przystosowały się one równie dobrze, jak wielka liczba gatunków kontynentalnych, o wiele bardziej wyspecjalizowanych. Młody uczoney wciąż gotów był uwierzyć, o ile okazałoby się, iż ma to jakiś sens, że Bóg Wszechmogący stworzył te istoty takimi właśnie, jakimi odkrył

je on w trakcie podróży dookoła świata. Lecz jego wielki mózg zdumiewał się, dlaczego Stwórca miałby powierzyć wszelkie możliwe zajęcia, jakie wykonują różne małe ptaki lądowe, tylko łuszczakom, które często bywają źle przystosowane do tych zadań. Skoro Stwórca postanowił, że na wyspach powinien żyć ptak w rodzaju dzięcioła, to cóż Go powstrzymało przed stworzeniem prawdziwego dzięcioła? Jeżeli uznał, że wampiryzm to niezły pomysł, to dlaczego, na litość Boską, nie przydzielił tej funkcji nietoperzowi-wampirowi, tylko łuszczakowi-wampirowi?

Mary stawiała zwykle ten sam intelektualny problem swoim uczniom, konkludując:

— Proszę o komentarze.

Schodząc po raz pierwszy na brzeg czarnej skały, przy której „Bahia de Darwin” utkwiała na mieliźnie, Mary potknęła się i upadła. Nie było to zbyt bolesne. Mary dokonała pobieżnych oględzin otartych miejsc. Były to lekkie zadraśnięcia, na których pojawiły się kropelki krwi.

Nagle na jej palcu, w ogóle nie okazując lęku, wylądował łuszczak. Mary nie była tym zaskoczona, ponieważ słyszała wiele opowieści o ptakach przysiadających ludziom na głowach, rękach, filiżankach i tak dalej. Uznała więc, że jest to miłe powitanie na wyspach, i starając się nie ruszać ręką, odezwała się do ptaka słodko:

— Do którego z trzynastu gatunków należysz, kochanie?

Ptak, jak gdyby zrozumiawszy pytanie, pokazał natychmiast, do jakiego należy gatunku, spijając z jej palców czerwone kropelki.

Więc Mary raz jeszcze przyjrzała się wyspie, nie mając zielonego pojęcia, że spędzi na niej resztę swego życia, dostarczając łuszczakom-wampirom tysięcy posiłków. Następnie zwróciła się do Kapitana, dla którego straciła już cały szacunek:

— Twierdzi pan, że ta wyspa to Rabida?

— Tak — odparł. — Jestem o tym absolutnie przekonany.

— Cóż, przykro mi to mówić po tym wszystkim, co pan przeszedł, ale znowu nie ma pan racji — powiedziała Mary. — To jest Santa Rosalia.

— Skąd pani może o tym wiedzieć? — zapytał Kapitan.

— Właśnie powiedział mi to ten ptaszek — odparła Mary.

## 25

Bobby King pogasił światła w swoim biurze mieszczącym się na Manhattanie w kopule gmachu Chryslera, życzył sekretarce dobrej nocy i udał się do domu. Nie pojawi się już więcej w tej powieści. Od tego momentu aż do czasu, kiedy po wielu pracowitych latach wkroczył do błękitnego tunelu prowadzącego w Zaświaty, Bobby King nie zrobił już niczego, co miałoby jakiegokolwiek znaczenie dla przyszłości ludzkiej rasy.

W tej samej chwili, w której Bobby King wchodził do swojego mieszkania, \*Zenji Hiroguchi, wściekły na ciężarną żonę, opuszczał pokój w hotelu „El Dorado”. Hisako powiedziała niewybaczalne rzeczy na temat motywów, jakimi kierował się tworząc Gokubiego i Mandaraxa.

Nacisnął guzik, by przywołać windę, strzelał palcami i płytko, nerwowo oddychał. Z głębi korytarza nadszedł ktoś, kogo \*Zenji w ogóle nie chciał widzieć — \*Andrew MacIntosh, sprawca wszystkich jego kłopotów.

— O, tu pan jest — ucieszył się \*MacIntosh. — Wybierałem się właśnie do pana, by powiedzieć, że są jakieś problemy z telefonami. Kiedy tylko je naprawią, będę miał dla pana znakomite wieści.

\*Zenji, którego geny istnieją do dzisiaj, był na tyle wykończony kłótnią z żoną i teraz dobity widokiem \*MacIntosha, że nie potrafił wykrztusić ani słowa. Wystukał zatem na klawiszach Mandaraxa następującą wiadomość, którą komputer, po przetłumaczeniu, wyświetlił \*MacIntoshowi na swoim małym ekranie:

— Nie mam teraz ochoty na rozmowę. Jestem bardzo zdenerwowany. Proszę zostawić mnie w spokoju.

Nawiasem mówiąc, wpływ \*MacIntosha na przyszłość ludzkiej rasy miał już niebawem zupełnie ustać, tak jak to miało miejsce w przypadku Bobby'ego Kinga. Być może gdyby jego córka zgodziła się dziesięć lat później na sztuczne zapłodnienie, byłaby z tego inna para kaloszy. Sądzę, że śmiało można powiedzieć, iż \*MacIntosh nie miałby nic przeciwko jej uczestnictwu w eksperymentach, jakie Mary Hepburn przeprowadzała ze spermą Kapitana. Gdyby Selena wykazała więcej śmiałości, wszyscy dzisiaj mogliby być, tak jak \*MacIntosh, potomkami dzielnych szkockich wojów, którzy w

zamierzchłych czasach odparli najazd rzymskich legionów. Cóż za zmarnowana okazja!  
Jak powiedziała by Mandarax:

*Spośród słów smutnych, jakie są na świecie,  
Te najsmutniejsze: „A mogło być przecie...”*

John Greenleaf Whittier (1807-1892)

— Jak mogę panu pomóc? — zapytał \* MacIntosh. — Zrobię wszystko, co trzeba, tylko niech pan powie, co?

\*Zenji skonstatował, że nie jest w stanie nawet potrząsnąć głową. Jedyne, co mógł zrobić, to zacisnąć szczelnie powieki. A kiedy \*MacIntosh wsiadł razem z nim do windy, \*Zenji odniósł wrażenie, że zaraz pęknie mu głowa.

— Niech pan posłucha — powiedział \* MacIntosh w trakcie jazdy w dół. — Jestem pańskim przyjacielem. Może mi pan wszystko powiedzieć. Jeżeli zawracam panu głowę, to niech mi pan powie, żebym przypierdolił się lepiej do jakiegoś turlającego się gówieńka, i ja to zrozumieć. Wiem, że popełniam błędy, ale jestem człowiekiem.

Kiedy zjechali na parter, wielki mózg \*Zenjiego udzielił mu niepraktycznej i wręcz infantylnej rady, w myśl której powinien jakoś uciec od \*MacIntosha — jak gdyby mógł wyprzedzić w biegu atletycznego Amerykanina.

A zatem, z \*MacIntoshem przy boku, \*Zenji wypadł przez frontowe drzwi hotelu wprost na pozbawiony kordonu odcinek Calle Diez de Agosto.

Ci dwaj przecięli hali i wyskoczyli na oświetloną zachodzącym słońcem ulicę tak szybko, że sterczący za barem pechowy \*Siegfried von Kleist nie zdążył nawet wykrzyknąć ostrzeżenia:

— Stójcie! Stójcie! Na waszym miejscu bym tam nie chodził! — krzyknął, ale było już za późno. A potem pobiegł za nimi.

Wiele zdarzeń, mających reperkusje milion lat później, zaszło w bardzo krótkim czasie na małym skrawku planety. Podczas gdy pechowy \*von Kleist wybiegał w ślad za \*MacIntoshem i \*Hiroguchim, von Kleist-szczęściarz brał prysznic w swojej kabinie tuż za mostkiem „Bahii de Darwin”. Nie robił, co prawda, niczego istotnego dla przyszłości rodzaju ludzkiego, bo nie była to ani walka o byt, ani podtrzymywanie gatunku, ale w tym samym czasie jego pierwszy oficer Hernando Cruz zamierzał dokonać zdecydowanie

brzemiennego w skutki czynu.

Cruz przebywał na pokładzie plażowym, przyglądając się, jak to miał w zwyczaju, jednemu statkowi znajdującemu się w zasięgu wzroku, kolumbijskiemu frachtowcowi „San Mateo”, który od dawna stał na kotwicy przy ujściu rzeki. Cruz był krępy, łysym mężczyzną mniej więcej w wieku Kapitana i miał za sobą pięćdziesiąt rejsów na wyspy i z powrotem, odbytych na innych statkach. Należał do załogi, która przyprowadziła z Malmö „Bahię de Darwin”. W Guayaquil nadzorował wyposażenie statku, którego nominalny kapitan odbywał w tym czasie tournée propagandowe po Stanach Zjednoczonych. Cruz nabił swój wielki mózg dogłębną wiedzą na temat każdej części statku, poczynając od potężnych diesli w maszynowni, a kończąc na zamrażarce za barem głównego salonu. Znał ponadto wady i zalety każdego członka załogi i zyskał sobie ich szacunek.

To on był prawdziwym kapitanem i to on miał dowodzić statkiem, podczas gdy Adolf von Kleist, śpiewający właśnie pod prysznicem, miał w trakcie posiłków czarować pasażerów i tańczyć z paniami podczas wieczorków.

Cruza najmniej interesowało to, na co zwykł patrzeć, a mianowicie „San Mateo” i olbrzymia płatanina roślinności, jaką obrósł jego kotwiczny łańcuch. Ten porzewiały stateczek stał się tak trwałym składnikiem krajobrazu, że równie dobrze mógł być martwą skałą. Lecz teraz Cruz dostrzegł niewielki tankowiec, który zacumował przy burcie „San Mateo” i zatroszczył się o niego jak wielorybica o swoje młode. Przy pomocy elastycznej rury dokarmił go ropą, która dla silników „San Mateo” była niczym matczyne mleko.

Zmiana w sytuacji „San Mateo” nastąpiła dzięki temu, że jego właściciele otrzymali w zamian za kolumbijską kokainę wielką kwotę amerykańskich dolarów, które następnie przemycili do Ekwadoru. Tutaj wymienili je nie tylko na ropę, ale i na najbardziej wartościowy towar, czyli na żywność, będącą paliwem dla ludzkich istot. Ciągle zatem istniał tu w jakimś zakresie handel międzynarodowy.

Cruz nie mógł domyślać się szczegółów korupcji, która umożliwiła zatankowanie i zaprowiantowanie „San Mateo”, lecz dumiał niewątpliwie nad korupcją w ogóle, to znaczy: Każdy, kto płacił się w bogactwie, bez względu na to, czy zasłużył na nie, czy też nie, mógł mieć wszystko, co zechciał. Biorący prysznic Kapitan był takim

człowiekiem, zaś Cruz — nie. Pracowicie uskładane oszczędności całego życia, które trzymał w rodzimej walucie, stały się bezwartościową kupą śmiecia.

Cruz zazdrościł załodze „San Mateo” radosnego uczucia, biorącego się z bliskiego już powrotu do domu. Sam Cruz już od świtu poważnie zastanawiał się nad swoim powrotem. W przytulnym domku koło lotniska czekała na niego ciężarna żona i jedenaścioro dzieci i wszyscy byli bardzo wystraszeni. Oczywiście rodzina go potrzebowała, ale jak dotąd myśl o porzuceniu statku, na którym służył — bez względu na powody — wydawała mu się czymś w rodzaju samobójstwa, przekreśleniem wszystkiego, co w jego charakterze i reputacji było godne szacunku.

Teraz jednak Cruz zdecydował się na opuszczenie „Bahii de Darwin”. Poklepał barierkę biegnącą wokół pokładu plażowego i powiedział łagodnie po hiszpańsku:

— Powodzenia, moja szwedzka księżniczko. Będziesz mi się śniła.

Jego przypadek był bardzo podobny do przypadku Jesusa Ortiza, który podłączał telefony hotelu „El Dorado”. Jego wielki mózg do ostatniej chwili ukrywał przed sumieniem konkluzję, że nadszedł już czas, by dokonać aspołecznego czynu.

W taki oto sposób Adolf von Kleist został kompletnie pozbawiony opieki, chociaż gówno wiedział o nawigacji, o wyspach Galapagos czy o konserwacji i obsłudze statku wielkości „Bahii de Darwin”.

Połączenie niekompetencji Kapitana z decyzją Hernanda Cruza, który postanowił wesprzeć swoich krewniaków, miało dla ludzkości nieobliczalne znaczenie, choć wówczas wyglądało jak materiał na tanią komedię. To tyle, jeśli chodzi o komedię. Tyle, jeśli chodzi o rzekomo poważny materiał.

Gdyby „Przyrodnicza Wyprawa Stulecia” odbyła się zgodnie z planem, podział obowiązków pomiędzy Kapitanem a jego pierwszym oficerem byłby typowy dla modelu kierownictwa tak wielu organizacji sprzed miliona lat, organizacji, których nominalny lider ograniczał się do towarzyskich dupereli, zaś jego rzekomy „zastępca” przywalony był obowiązkiem orientowania się, co tak naprawdę jest grane i jak się to wszystko kręci.

Najlepiej zorganizowane państwa rządzone były zazwyczaj przez takie symbiotyczne parki. I kiedy myślę o samobójczych pomyłkach państw sprzed miliona lat, uświadamiam sobie, że usiłowały one wyjść na swoje, mając na czele kogoś w rodzaju

Adolfa von Kleista pozbawionego swego Hernanda Cruza. Ocaleli obywatele takich państw wypelzali spod gruzów swojego świata i zbyt późno dochodzili do wniosku, że, przez cały czas trwania ich dobrowolnej męczarni, na szczytach władzy nie było absolutnie nikogo, kto orientowałby się, jak to wszystko się kręci, co jest do czego i co tak naprawdę jest grane.

## 26

Szczęśliwszy z braci von Kleistów, wspólny przodek każdej żyjącej dziś na ziemi ludzkiej istoty, był wysokim, szczupłym mężczyzną, obdarzonym orlim nosem. Posiadał szopę kędzierzawych włosów, które kiedyś musiały być złociste, a które teraz były już białe. Otrzymał dowództwo nad „Banią de Darwin” z zastrzeżeniem, że całą poważną robotą będzie kierował pierwszy oficer. Adolf został kapitanem z tego samego powodu, z jakiego \*Siegfriedowi powierzono pieczę nad hotelem: Jego wujowie z Quito potrzebowali jakiegoś bliskiego krewnego do opieki nad swoimi słynnymi gośćmi i drogocennym majątkiem.

Kapitan i jego brat posiadali przepiękne domy położone wśród lodowatych mgieł powyżej Quito: domy, których już nigdy nie mieli ujrzeć. Obydwaj bracia odziedziczyli również spory majątek po zamordowanej matce, a także oszczędności dziadków. Niemal nic z tego nie trzymali w bezwartościowych sucrach. Niemal wszystko było zdeponowane w Chase Manhattan Bank w Nowym Jorku, dzięki czemu majątek występował w postaci amerykańskich dolarów i jenów.

Podrygujący w kabinie natryskowej Kapitan nie sądził, by musiał przejmować się problemami, które — jak się zdawało — zaistniały w Guayaquil. Bez względu na to, co się działo, Hernando Cruz wiedział, co robić.

Jego wielki mózg wpadł na coś, co Kapitan uznał za niezły pomysł. Postanowił podzielić się nim z Gruzem zaraz po kąpieli i jak tylko się wysuszy. Gdyby wyglądało na to, że marynarze zamierzają zdezerterować, myślał Kapitan, Cruz mógłby przypomnieć im, że „Bahia de Darwin” jest formalnie okrętem wojennym, a co za tym idzie, dezserterzy podlegają surowym karom zgodnie z regulaminem marynarki wojennej.

Co do obowiązującego prawa Kapitan był w błędzie, chociaż nie mylił się co do tego, że statek, na papierze, był częścią ekwadorskiej floty wojennej. Sam Kapitan,

odgrywając rolę admirała, uroczyście wcielił „Bahię de Darwin” do marynarki wojennej, zaraz po jej przybyciu z Malmö latem tego roku. Jej pokłady były wciąż pokryte dywanami, a gołą stal cętkowały zaczipowane otwory, w których w wypadku wojny można było osadzić gniazda karabinów maszynowych, wyrzutniki rakiet, bomb głębinowych i tak dalej.

W razie potrzeby „Bahia de Darwin” mogła przeobrazić się w uzbrojony transportowiec wojskowy z — jak to określił Kapitan w „Wieczornym Show” — „dziesięcioma flaszkami Dom Perignon i jednym bidetem na każdą setkę zaokrętowanych żołnierzy”.

Kapitanowi przyszły do głowy w trakcie kąpieli jeszcze inne pomysły, lecz wszystkie one pochodziły od Hernanda Cruza. Na przykład: Gdyby wyprawę odwołano, co było niemal pewne, Cruz razem z paroma ludźmi powinien podnieść kotwicę i odpłynąć gdzieś, gdzie statkowi nie zagrażaliby szabrownicy. Cruz nie widział powodu, dla którego Kapitan musiałby uczestniczyć w tego rodzaju rejsie.

Gdyby rozpętało się piekło i w okolicy portu nie byłoby żadnego bezpiecznego miejsca dla statku, Cruz planował skierować się do bazy marynarki wojennej na Baltrze, wyspie archipelagu Galapagos. I znowu Cruz nie był w stanie znaleźć powodu, dla którego Kapitan miałby wyruszać w taką podróż.

Gdyby zaś jednak, co nieprawdopodobne, znakomitości z Nowego Jorku przybyły nazajutrz, wtedy obecność Kapitana byłaby niezbędna, a to gwoli powitania i uspokojenia gości. Na czas oczekiwania Cruz odbiłby od brzegu, tak jak kolumbijski „San Mateo”. Statek przycumowałby do nabrzeża tylko wtedy, gdyby zebrali się już wszyscy sławni goście gotowi do wejścia na pokład. Następnie Cruz winien jak najszybciej wywieźć całe towarzystwo na bezpieczne wody otwartego oceanu i — w zależności od wieści — mógłby rzeczywiście odbyć planowaną wyprawę na wyspy.

Jednakże bardziej prawdopodobne było, że w takim przypadku Cruz odtransportowałby wszystkich do jakiegoś bezpieczniejszego niż Guayaquil portu, chociaż, ze zrozumiałych względów, do żadnego z portów w Peru, Chile czy Kolumbii, to znaczy do żadnego portu na całym zachodnim wybrzeżu Ameryki Południowej.

W grę wchodziła na przykład Panama.



W razie potrzeby Hernando Cruz zamierzał odstawić wszystkich prosto do San Diego. Na statku było wystarczająco dużo żywności, wody i paliwa na tak długi rejs. Przez całą drogę pasażerowie mogliby telefonować do przyjaciół i krewnych i opowiadać im, bez względu na to, jak niepokojące byłyby wieści z reszty świata, że niczego im nie brakuje i żyją na swoim zwykłym, wysokim poziomie.

Pluskający się pod prysznicem Kapitan nie wziął pod uwagę jednej okoliczności, a mianowicie tego, że on sam przyjmie na siebie całą odpowiedzialność za statek i z pomocą Mary Hepburn osadzi go na mieliźnie przy Santa Rosalii, która stanie się kolebką całego rodzaju ludzkiego.

Oto cytat doskonale znany Mandaraxowi:

*Wielkie szkody może uczynić małe zaniedbanie...*

*z braku gwoźdźcia zginęła podkowa;*

*z braku podkowy zginął koń; z braku konia zginął jeździec.*

*Benjamin Franklin (1706-1790)*

Tak, równie łatwo małe zaniedbanie uczynić może wiele dobrego. Z braku Hernanda Cruza na pokładzie „Bahii de Darwin” ludzkość została ocalona. Cruz nigdy nie władowałby się na mieliżnę przy Santa Rosalii.

A teraz Cruz oddalał się od nabrzeża w swoim cadillaku El Dorado, którego bagażnik wyładowany był delikatesami przeznaczonymi na „Przyrodniczą Wyprawę Stulecia”. Cruz ukradł całe to jedzenie jeszcze o świcie, na długo przedtem, zanim pojawili się żołnierze i wygłodniały tłum.

Samochód, zakupiony dzięki lewym dochodom z aprowizacji i wyposażania „Bahii de Darwin”, nosił tę samą nazwę co hotel — tę samą, co legendarne miasto wszelkich bogactw i okazji, którego bezskutecznie poszukiwali hiszpańscy przodkowie Cruza. Ci przodkowie torturowali Indian, by zmusić ich do wyznania, gdzie leży El Dorado.

Dzisiaj trudno sobie wyobrazić, by ktoś mógł kogoś torturować. Jak mógłbyś w ogóle schwytać kogoś, kogo chciałbyś torturować, używając do tego jedynie ust i płetw? Jak mógłbyś w ogóle zorganizować na kogokolwiek obławę, skoro ludzie potrafią dzisiaj pływać tak szybko i przebywać pod wodą tak długo? Osoba, którą byś ścigał, nie tylko

wyglądałaby niemal tak samo jak ktokolwiek inny, ale też mogłaby skryć się pod wodą na dowolnej głębokości i praktycznie wszędzie.

Hernando Cruz dorzucił swoje trzy grosze do historii ludzkości.

Wkrótce zrobią też swoje Peruwiańskie Siły Powietrzne, choć nie przed szóstą wieczorem, kiedy to zginą \*Andrew MacIntosh i \*Zenji Hiroguchi, ale potem, gdy Peru wypowie Ekwadorowi wojnę. Peru zbankrutowało dwa tygodnie wcześniej niż Ekwador i w związku z tym głód przybrał tam o wiele większe rozmiary. Żołnierze wojsk lądowych uciekli do domów, zabierając ze sobą broń. Wierne pozostawały jedynie mało liczebne Siły Powietrzne, a rządząca junta wojskowa utrzymywała ich wierność dostarczając im najlepszej żywności, na jaką było ją jeszcze stać.

Jednym z powodów, dzięki którym lotnictwo zachowywało tak wysokie morale, był sprzęt, zakupiony na kredyt i dostarczony jeszcze przed bankructwem kraju. Był to bardzo nowoczesny sprzęt. Peruwiańskie Siły Powietrzne posiadały osiem nowiutkich francuskich myśliwców bombardujących, z których każdy uzbrojony był w amerykańskie rakiety typu powietrze-ziemia, wyposażone w japoński komputerowy system naprowadzania na cel, dzięki czemu mogły trafić — w zależności od instrukcji pilota — albo kierując się impulsami radarowymi, albo ciepłem wytwarzanym przez silnik maszyny przeciwnika. Pilot otrzymywał informacje od komputerów naziemnych i od komputera pokładowego. Głowica każdej rakiety zawierała nowy izraelski materiał wybuchowy, zdolny do spowodowania jednej piątej tych szkód, jakie wyrządziła bomba atomowa, którą w czasie II wojny światowej Stany Zjednoczone spuściły na matkę Hisako Hiroguchi.

Ten nowy materiał wybuchowy uchodził w oczach wojskowych naukowców za wielkie dobrodziejstwo. Jak długo zabijali ludzi przy użyciu konwencjonalnej, a nie nuklearnej broni, tak długo chwalono ich jako humanitarnych polityków. Wydawało się, że dopóki nie zostanie użyta broń atomowa, dopóty nikt nie nazwie po imieniu całego tego zabijania, które odbywało się od zakończenia II wojny światowej, a które było, w rzeczy samej, III wojną światową.

Peruwiańska junta podała oficjalny powód rozpoczęcia, wojny: wyspy Galapagos należą prawowicie do Peru i Peru zamierza je właśnie odebrać.

Dzisiaj nikt nie jest na tyle sprytny, by zbudować choćby taką broń, jaką miały milion lat temu nawet najbiedniejsze kraje. Tak, i broń ta była bez przerwy w użyciu. W ciągu całego mojego życia nie było takiego dnia, żeby w różnych zakątkach planety nie toczono co najmniej trzech wojen.

A Prawo Doboru Naturalnego było bezsilne wobec tak nowoczesnej technologii. Żadna matka żadnego gatunku — no, chyba w wyjątkiem nosorożca — nie mogła liczyć na to, że uda jej się urodzić żaroodporne, kuloodporne lub bomboodporne dziecko.

Najlepszym rozwiązaniem, na jakie w moich czasach mogło zdobyć się Prawo Doboru Naturalnego, byli ludzie, którzy niczego się nie bali nawet wtedy, gdy było całkiem sporo powodów do obaw. Poznałem paru takich w Wietnamie — w tym stopniu, w jakim w ogóle można poznać ludzi tego typu. Takim też człowiekiem był \*Andrew MacIntosh.

## 27

Dopóki Selena MacIntosh nie połączyła się ze swoim ojcem na drugim końcu błękitnego tunelu wiodącego w Zaświaty, nigdy nie nabrała pewności, że został on zabity. Jedynym, czego mogła być pewna, było to, że ojciec opuścił jej pokój i zamienił na korytarzu parę słów z \*Zenjim Hiroguchim, po czym obaj zjechali windą na dół. O tym, co z którymkolwiek z nich działo się dalej, Selena nigdy się nie dowiedziała.

Swoją drogą, historia jej ślepoty była następująca: Selena cierpiała na *retinitis pigmentosa*, spowodowaną przez wadliwe geny odziedziczone po kądzieli. Ściśle mówiąc, geny te pochodziły od jej matki, która sama posiadała doskonały wzrok i która ukrywała defekt swych genów przed mężem.

Była to jeszcze jedna choroba znana Mandaraxowi, ponieważ znajdowała się w czołówce najpoważniejszych schorzeń występujących u homo sapiens. Mandarax, indagowany w tej sprawie przez Mary Hepburn na Santa Rosalii, określił przypadek Seleny jako bardzo poważny, ponieważ była ona niewidoma od urodzenia. Zazwyczaj *retinitis pigmentosa*, mówił Mandarax, syn Gokubiego, pozwalała swoim żywicielom oglądać świat nawet i do trzydziestego roku życia. Mandarax potwierdził również to, co Selena sama powiedziała Mary: gdyby urodziła dziecko, to miałoby ono szansę pół na pół, że też będzie niewidome. A gdyby to była dziewczynka, niewidoma lub nie, i gdyby

ta dziewczynka dorosła i urodziła dziecko, to jej dziecko miałoby również połowę szans na ślepotę.

To zdumiewające, że dwie, tak stosunkowo rzadkie choroby dziedziczne, jak płasawica Huntingtona i *retinitis pigmentosa*, przysporzyły zmartwień pierwszym osadnikom na Santa Rosalii, jeżeli wziąć pod uwagę, że osadników tych było ledwie dziesięcioro.

Jak już wcześniej powiedziałem, okazało się szczęśliwie, że Kapitan nie był nosicielem. Selena zaś była nosicielem w sposób zupełnie oczywisty. Niemniej jednak sądzę, że gdyby urodziła dziecko, ludzkość i tak byłaby dziś wolna od *retinitis pigmentosa* — dzięki Prawu Doboru Naturalnego, rekinom i miecznikom.

Nawiasem mówiąc, \*Zenji Hiroguchi i ojciec Seleny zginęli wtedy, gdy ona i Kazak wsłuchiwały się w krzyki tłumu zebranego na zewnątrz. A oto jak to się stało: Obydwaj mężczyźni zginęli od strzałów w głowę oddanych z tyłu, tak że nawet nie wiedzieli, co się dzieje. Żołnierz, który ich zastrzelił, jest jeszcze jedną osobą, jakiej przypadł w udziale zaszczyt zrobienia czegoś, czego efekty są nadal widoczne po upływie miliona lat. Nie mam na myśli zabójstwa. Chodzi mi o to, że wyłamał on tylne drzwi zamkniętego sklepu z pamiątkami, znajdującego się naprzeciwko hotelu „El Dorado”.

Gdyby ów żołnierz nie włamał się do sklepu, niemal na pewno nie byłoby dziś na ziemi ani jednej ludzkiej istoty. Tak uważam. Każdy z żyjących dziś ludzi powinien dziękować Bogu, że ten żołnierz był szalony.

Był to szeregowiec Geraldo Delgado, który właśnie zdezerterował z jednostki, zabierając ze sobą zestaw do pierwszej pomocy, menażkę, bagnet, karabinek automatyczny, dwa granaty, parę magazynków z amunicją i tak dalej. Szeregowy Delgado miał dopiero osiemnaście lat i był paranoidalnym schizofrenikiem. Nigdy nie powinien był otrzymać ostrej amunicji.

Jego wielki mózg naopowiadał mu mnóstwo rzeczy z których nic nie było prawdą — że jest największym tancerzem świata, że jest synem Franka Sinatry że ludzie zazdroszczący mu tanecznych umiejętności usiłują zniszczyć jego mózg przy użyciu

małych odbiorników radiowych i tak dalej.

Delgado, przymierający głodem jak bardzo wielu ludzi w Guayaquil, wykombinował sobie, że jego zasadniczym problemem, są wrogie istoty z małymi radyjkami. A kiedy wyłamał tylne drzwi od czegoś, co było po prostu nieczynnym sklepem z pamiątkami, uznał, że znalazł się w pomieszczeniach Centralnego Zarządu Ekwadorskiego Baletu Folklórico, i zamierzał natychmiast wykorzystać szansę na udowodnienie, że naprawdę jest największym tancerzem na świecie.

Po dziś dzień jest jeszcze mnóstwo takich fiksatów, ludzi namiętnie reagujących na to, czego naprawdę w ogóle nie ma. Być może jest to dziedzictwo Kanka-bonów. Jednak ludzie owi nie są w stanie posługiwać się bronią i nic ich ona nie obchodzi. Nawet gdyby znaleźli granat, pistolet maszynowy, nóż lub jakąkolwiek pozostałość po dawnych czasach, w jaki sposób zdołaliby się nią posłużyć, mając do dyspozycji jedynie płetwy i usta?

W Cohoe, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, matka zabrała mnie pewnego razu do cyrku do Albany, chociaż nie bardzo było nas na to stać, a ojciec w ogóle nie aprobował takiej rozrywki. Zobaczyłem tresowane foki i lwy morskie, które potrafiły balansować piłką trzymaną na nosie, dąć w trąbki, odpowiadać klaskaniem płetwami i tak dalej. W żadnym jednak razie nie potrafiły nabić i odbezpieczyć pistoletu maszynowego ani wyrwać zawlecзки z granatu i cisnąć nim na dowolną odległość z dowolną celnością.

Co zaś się tyczy tego, jak takich czubków jak Delgado przyjmowano do armii, i to w pierwszej kolejności: Otóż wyglądał on znakomicie i znakomicie się zachowywał w trakcie rozmowy z oficerem werbunkowym, dokładnie tak samo jak ja, kiedy zaciągałem się do piechoty morskiej USA. Latem, mniej więcej w tym czasie, kiedy zmarł Roy Hepburn, Delgado wcielony został do wojska, z przeznaczeniem do służby krótkoterminowej, związanej specjalnie z „Przyrodniczą Wyprawą Stulecia”. Służba w jego jednostce, mającej dumnie defilować przed panią Onassis i resztą gości, sprowadzała się do musztry i pucowania. Żołnierze mieli otrzymać broń, hełmy i tak dalej, ale bez ostrej amunicji.

I tak Delgado nauczył się wspaniale maszerować, polerować guziki przy mundurze i pucować buty na wysoki połysk. Wkrótce jednak Ekwadorem wstrząsnął kryzys ekonomiczny i żołnierzom wydano ostrą amunicję.

Delgado stał się nieszczęsnym przykładem błyskawicznej ewolucji, choć z drugiej strony działo się tak z każdym żołnierzem. Kiedy przeszedłem przez rekrucki obóz marines, zostałem wysłany do Wietnamu i pobrałem ostrą amunicję, w niczym nie przypominając ciamajdowatego zwierzęcia, jakim byłem w cywilu. I robiłem gorsze rzeczy niż Delgado.

Ale do rzeczy: Sklep, do którego włamał się Delgado, mieścił się w szeregu nieczynnych placówek handlowych położonych naprzeciw hotelu „El Dorado”. Żołnierze, którzy otaczali hotel zasiekami z drutu kolczastego, wykozystywali te sklepy jako część swojej zapory. Kiedy więc 30 wylamaniu tylnych drzwi Delgado odryglował drzwi frontowe i ciu-ciu je uchylił, aby wyjrzeć na zewnątrz, uczynił tym samym w barierze wyłom, przez który mógł przeniknąć ktoś inny. Ów wyłom był jego wkładem w przyszłość rodzaju ludzkiego, jako że wkrótce potem miały przejść tędy i dostać się do hotelu bardzo ważne osoby.

Kiedy zerknął przez szparę w drzwiach, dojrzał dwóch swoich śmiertelnych wrogów. Jeden z nich wymachiwał małym radjkiem, które mogło pomieszać mu w głowie — N każdym razie on tak uważał. Nie było to jednak radio, lecz Mandarax, a rzekomymi wrogami byli \*Zenji Hiroguchi i \*Andrew MacIntosh. Obaj latali wściekle po terenie odgrodzonym barykadami, gdzie zresztą mieli pełne prawo przebywać, jako że należeli do hotelowych gości.

\*Hiroguchi wciąż kipiał wściekłością, a \* MacIntosh nabijał się z niego, twierdząc, że traktuje on życie zbyt serio. Przechodzili właśnie koło sklepu, w którym ukrywał się Delgado. Zatem żołnierz wyszedł przez frontowe drzwi i zastrzelił ich obu, wierząc, że robi to w samoobronie.

I tym samym nie będę już musiał stawiać gwiazdek przed nazwiskami Zenjiego Hiroguchi i Andrew MacIntosh. Robiłem tak dla przypomnienia czytelnikom, że ci dwaj są tymi spośród gości hotelu „El Dorado”, którzy zginą jeszcze przed zachodem słońca.

Teraz obaj już nie żyli, a nad światem, na którym milion lat temu tak wielu ludzi

wierzyło, że ocala jedynie przystosowanie — zachodziło słońce.

Ocalony Delgado powrócił do sklepu i skierował się ku tylnym drzwiom, spodziewając się znaleźć tam więcej wrogów niegodnych ocalenia. Ale na zewnątrz było jedynie sześć małych, miedzianoskórych, obdartych dzieci — same dziewczynki. Kiedy wpadł na nie ten przerażający wojskowy potwór pobrzękujący śmiercionośnym ekwipunkiem, były zbyt głodne i zbyt pogodzone ze śmiercią, by uciekać. Zamiast tego otwierały szeroko usta, przewracały brązowymi oczami, klepały się po brzuchach i dotykały gardła, aby pokazać, jak bardzo są głodne.

W tamtych czasach zachowywały się tak dzieci na całym świecie, nie tylko na tyłach pewnej alei w Ekwadorze.

Delgado nie zwrócił na nie uwagi i po prostu sobie poszedł. Nigdy nie został schwytany, ukarany, hospitalizowany czy coś w tym stylu. Był jeszcze jednym żołnierzem w mieście rojącym się od wojska i nikt nie był w stanie dobrze przyjrzeć się jego twarzy, która w cieniu stalowego hełmu niczym nie różniła się od twarzy jakiegokolwiek innego żołnierza. Na drugi dzień Delgado, wielki ocalony i zarazem zbawca, zgwałcił jakąś kobietę i został ojcem jednego z ostatnich z mniej więcej dziesięciu milionów dzieci, jakie miały się jeszcze urodzić na południowoamerykańskim kontynencie.

Gdy żołnierz wyszedł ze sklepu, weszło tam sześć małych dziewczynek, aby poszukać jedzenia lub czegoś, co można by wymienić na jedzenie. Wszystkie były sierotami z ekwadorskiej dżungli, rosnącej na południu, za górami — bardzo, bardzo daleko stąd. Ich rodzice zginęli od rozpylanych z powietrza środków owadobójczych, zaś je same zabrał latający nad dżunglą pewien pilot z linii handlowej i przywiózł do Guayaquil, gdzie zostały dziećmi ulicy.

To były w zasadzie indiańskie dzieci, ale miały one również murzyńskich przodków — niewolników, którzy uciekli do dżungli dawno temu. Były Kanka-bonami.

Dorosły w babińcu na Santa Rosalii, gdzie wespół z Hisako Hiroguchi zostały matkami całej dzisiejszej ludzkości.

Bądź co bądź, żeby jednak dostać się na Santa Rosalię, musiały najpierw dostać się do hotelu. Z powodu barykad i żołnierzy na pewno by do tego nie doszło, gdyby szeregowy Geraldo Delgado nie utorował ścieżki wiodącej przez sklep.

## 28

Te dzieci, które miały w przyszłości zostać sześcioma Ewami Kapitana von Kleista, Adama z Santa Rosalii, nigdy nie znalazłyby się w Guayaquil, gdyby nie pewien młody ekwadorski pilot o nazwisku Eduardo Ximenez. Zeszłego lata, nazajutrz po dniu, kiedy pochowano Roya Hepburna, Ximenez wraz z czwórką pasażerów leciał ponad dżunglą, niedaleko górnych dopływów rzeki Tiputini, płynącej do Atlantyku, nie zaś do Pacyfiku. Musiał dostarczyć jakiegoś francuskiego antropologa i jego sprzęt do pewnego miejsca w dole rzeki, blisko granicy peruwiańskiej, skąd Francuz planował rozpocząć poszukiwania nieuchwytnych Kanka-bonów.

Następnie Ximenez skierował się do Guayaquil, leżącego o pięćset kilometrów stamtąd, za dwoma wysokimi i urwistymi łańcuchami gór. Z Guayaquil zabrał dwóch argentyńskich milionerów i zarazem miłośników sportu, których dostarczył na lotnisko polowe znajdujące się na jednej z wysp Galapagos, na Baltrze, gdzie jego klienci wynajęli pełnomorską łódź rybacką z załogą. Argentyńczycy bynajmniej nie zamierzali łowić ryb. Żywili natomiast nadzieję, że uda im się upolować wielkiego białego rekina, tego samego, który trzydzieści lat później miał połknąć Mary Hepburn, Kapitana von Kleista i Mandaraxa.

Ximenez dojrzał na błotnistym brzegu rzeki wydeptane litery SOS. Wylądował na wodzie, a potem wykolebał się swoim samolotem na brzeg jak kaczka.

Powitał go tam osiemdziesięcioletni rzymskokatolicki ksiądz — ojciec Bernard Fitzgerald, który ostatnie pół wieku spędził wśród Kanka-bonów. Razem z nim było jeszcze sześć dziewczynek, ostatnich Kanka-bonek. To właśnie oni wydeptali litery na błotnistym brzegu rzeki.

Ojciec Fitzgerald, nawiasem mówiąc, posiadał wspólnego prapradziadka z Johnem F. Kennedym, pierwszym mężem pani Onassis i trzydziestym piątym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Gdyby ojciec Fitzgerald spłodził z jakąś Indianką



dziecko, czego nie uczynił — każdy spośród żyjących dziś ludzi mógłby utrzymać, iż w jego żyłach płynie błękitna irlandzka krew, choć dzisiaj nikt w ogóle nie zawraca sobie głowy podobnymi sprawami.

Niemal zaraz po ukończeniu dziewiątego miesiąca życia ludzie zapominają nawet, kto jest ich matką.

Dziewczynki ćwiczyły z ojcem Fitzgeraldem chóralny śpiew, kiedy cała reszta plemienia została zasprayed środkami owadobójczymi. Niektóre spośród ofiar jeszcze dogorywały, więc stary ksiądz postanowił z nimi zostać. Niemniej jednak chciał, aby Ximenez zabrał dziewczynki gdzieś, gdzie ktoś mógłby się nimi zaopiekować.

I tak oto w ciągu zaledwie pięciu godzin dzieci te przeniosły się z epoki kamiennej w epokę elektroniki; ze słodkowodnych bagien dżungli do słonawych moczarów Guayaquil. Dziewczynki posługiwały się wyłącznie kanka-bońskim, językiem zrozumiałym jedynie dla kilku konających w dżungli ich krewniaków oraz, jak się miało okazać, dla pewnego niechlujnego starca z Guayaquil.

Ximenez mieszkał w Quito, a w Guayaquil nie posiadał żadnego własnego kąta, gdzie mógłby ulokować dziewczynki. Wynajmował pokój w hotelu „El Dorado”, ten sam, w którym później zamieszkała Selena MacIntosh i jej pies. Za radą policji umieścił więc dzieci w sierocińcu tuż obok śródmiejskiej katedry. Prowadzące przytułek zakonnice z radością wzięły na siebie odpowiedzialność za małe Kanka-bonki. Wciąż jeszcze było u nich dosyć jedzenia dla wszystkich.

Ximenez powrócił do hotelu i opowiedział całą historię barmanowi, Jesúsowi Ortizowi, temu samemu człowiekowi, który później odciął wszystkie hotelowe telefony od zewnętrznego świata.

Ximenez był zatem jednym z lotników, którzy wnieśli niemały wkład w przyszłość ludzkości. Innym był Amerykanin o nazwisku Paul W. Tibbets. To właśnie Tibbets w czasie II wojny światowej spuścił na matkę Hisako Hiroguchi bombę atomową. Przypuszczalnie ludzie posiadaliby takie futra, jakie mają dzisiaj, nawet gdyby Tibbets nie spuścił tej bomby. Z pewnością jednak dzięki niemu stało się to możliwe dużo szybciej.

Sierociniec ogłosił, że potrzebuje kogoś władającego Kanka-bońskim, kto mógłby służyć jako tłumacz. Zgłosił się pewien stary pijaczyna, drobny złodziejaszek, czystej rasy biały, który był — co zdumiewające — dziadkiem dziewczynki o najjaśniejszej skórze. Jako chłopak szwendał się po dżungli w poszukiwaniu wartościowych minerałów spędził trzy lata wśród Kanka-bonów. To on wprowadził ojca Fitzgeralda do plemienia, zaraz po tym jak ksiądz przybył z Irlandii.

Sam pochodził z wyśmienitego rodu i nazywał się Domingo Quezeda. Jego ojciec był szefem katedry filozofii Centralnego Uniwersytetu w Quito. Gdyby tylko współcześni ludzie mieli do tego skłonności, mogliby uważać się za potomków długiej linii arystokratycznych hiszpańskich intelektualistów.

Kiedy byłem chłopcem w Cohoes i nie mogłem w życiu naszej małej rodziny znaleźć niczego, z czego można być dumnym, matka powiedziała mi, że w moich żyłach płynie krew francuskiej szlachty. Gdyby nie Rewolucja, mówiła matka, żyłbym prawdopodobnie w jakimś chateau królującym nad rozległą posiadłością. Poza tym, twierdziła, byłem dzięki niej spokrewniony w jakiś sposób z Carterem Braxtonem, jednym z sygnatariuszy Deklaracji Niepodległości. Z racji płynącej w mych żyłach krwi powinienem, mówiła matka, nosić głowę wysoko w górze.

Pomyślałem, że to wspaniale. Postanowiłem zatem przeszkodzić piszącemu na maszynie ojcu i zapytać go, co dziedzicę po jego rodzinie. Nie miałem wówczas pojęcia, czym jest sperma, więc przez kilka lat nie potrafiłem zrozumieć jego odpowiedzi.

— Chłopcze — powiedział ojciec — pochodzisz z długiej linii stanowczych, zaradnych mikroskopijnych kijanek, z których każda wygrała swój wyścig.

Stary Quezeda, śmierzący niczym wojenne pobojowisko, powiedział dziewczynkom, że powinny słuchać się tylko jego, co zresztą łatwo było im przyjąć, jako że był dziadkiem jednej z nich i jedyną w ogóle osobą, która mogła się z nimi dogadać. Musiały wierzyć we wszystko, co mówił. Nie stać ich było na sceptycyzm, ponieważ ich nowe środowisko nie miało nic wspólnego z dżunglą. Z dżungli wyniosły wiele prawd, których gotowe były bronić dumnie i nieustępliwie, lecz żadna z tych prawd nijak nie

pasowała do rzeczywistości Guayaquil; żadna, z wyjątkiem jednej klasycznej, fatalnej wiary rozpowszechnionej milion lat temu na terenie wielkich miast: Krewni nigdy nie chcą cię skrzywdzić. Quezeda, w gruncie rzeczy, pragnął wystawić dziewczynki na okrutne niebezpieczeństwa, związane ze złodziejskim i żebraczym rzemiosłem, a także — tak szybko, jak to będzie możliwe — na niebezpieczeństwa związane z uprawianiem prostytucji. Zamierzał uczynić to wszystko, by zaspokoić pragnienia swojego wielkiego mózgu, cierpiącego z głodu miłości własnej i alkoholu. Poza tym pragnął zostać człowiekiem zamożnym i znaczącym.

Quezeda zabierał dziewczynki na spacer do miasta, w trakcie których — w co święcie wierzyły zakonnice z sierocińca — miał oprowadzać je po parkach, katedrach, muzeach i tak dalej. Faktycznie zaś uczył je nienawiści do turystów, udzielał wskazówek, gdzie ich znaleźć i jak ich wykołować, a także tego, gdzie najchętniej trzymają swoje kosztowności. Uprawiali też grę polegającą na rozpoznawaniu policjantów wcześniej, niż policjanci mogli rozpoznać ich, oraz na zapamiętywaniu dobrych kryjówek w śródmieściu, na wypadek gdyby usiłował dopaść ich jakiś wróg.

To „mydlenie oczu” trwało przez pierwszy tydzień pobytu dzieci w mieście. Potem dziadek Domingo Quezeda z dziewczynkami wyparowali jak kamfora, przynajmniej z punktu widzenia zakonnic i policji. Ów nikczemny, zgrzybiały przodek całej ludzkości umieścił dzieci na nabrzeżu, w pustym hangarze portowym należącym — tak się złożyło — do jednego z dwóch starszych wycieczkowych statków, z którymi miała rywalizować „Bahia de Darwin”. Hangar był pusty, ponieważ ruch turystyczny spadł do poziomu, który wyeliminował z biznesu stary statek.

Przynajmniej dziewczynki miały siebie nawzajem. A oto, co sprawiało, że były zadowolone w ciągu pierwszych lat spędzonych na Santa Rosalii, zanim Mary Hepburn sprawiła im prezenty w postaci dzieci: Przynajmniej miały siebie nawzajem, a także swój własny język, swoje własne religijne wierzenia, swoje dowcipy, piosenki i tak dalej.

A oto, co mogły zostawić swoim dzieciom na Santa Rosalii, kiedy wstępowały, jedna po drugiej, do błękitnego tunelu wiodącego w Zaświaty: zadowolenie, że ostatecznie ma się siebie nawzajem, kanka-boński język, kanka-bońską religię, kanka-bońskie kawały i piosenki.

W dawnych pieskich czasach w Guayaquil stary Quezeda używał dziewczynkom swojego śmierdzącego ciała na eksperymenty, dzięki którym chciał nauczyć je na tyle, na ile to było możliwe w ich wieku, podstawowych sztuczek i pozycji przydatnych prostytutkom.

Dziewczynki, rzecz jasna, potrzebowały pomocy, i to na długo przedtem, nim zaczął się kryzys ekonomiczny. Tak, a zakurzone okno hangaru, który był ich koszmarną szkołą, ukazywało widok na rufę „Bahii de Darwin”, zacumowanej tuż obok. Cóż, mało wiedziały o tym, że ten piękny, biały statek zostanie wkrótce ich arką Noego.

Ostatecznie dziewczynki uciekły od starucha. Wciąż kradnąc i żebrząc rozpoczęły życie na ulicy. Ale z powodów, których nie potrafiły zrozumieć, coraz trudniej i trudniej było znaleźć turystów, aż w końcu zdawało się, że już nigdzie nie ma nic do jedzenia. Teraz głód był już tak silny, że zaczęły dosłownie każdego, otwierając przy tym szeroko usta, przewracając oczami i wskazując na gardła, by pokazać, od jak dawna niczego już nie jadły.

Późnym popołudniem pewnego dnia znalazły się w okolicach „El Dorado”, zwabione wrzawą wywołaną przez tłum. Odkryły, że tylne drzwi jakiegoś zamkniętego sklepu zostały wylamane. Przez te drzwi wyszedł Geraldo Delgado, który właśnie zastrzelił Andrew MacIntosh i Zenjiego Hiroguchi. Weszły więc do wnętrza sklepu, a potem opuściły go frontowymi drzwiami. Znalazły się wewnątrz ogrodzenia ustawionego przez żołnierzy, me było zatem nikogo, kto mógłby przeszkodzić im w wejściu do „El Dorado”, gdzie zdały się na litość siedzącego przy barze Jamesa Waita.

## 29

Tymczasem Mary Hepburn usiłowała w swoim pokoju popełnić morderstwo na sobie samej, leżąc na łóżku w polietylenowym worku po „sukni Jackie” nałożonym na głowę. Worek był już od środka całkowicie zaparowany i Mary wyobrażała sobie, że jest wielkim lądowym żółwiem leżącym na grzbiecie w parnej i wilgotnej ładowni starodawnego żaglowca. W idealnie bezskuteczny sposób wierzgała kończynami, tak jak robiłby to powalony na grzbiet lądowy żółw.

Mary często opowiadała swoim uczniom o żaglowcach podróżujących przez Pacyfik i zatrzymujących się na wyspach Galapagos, by chwycić bezbronne żółwie, które potrafiły przeżyć całe miesiące leżąc na grzbiecie bez pokarmu i picia. Były takie powolne, niepłochliwe, olbrzymie i było ich w bród. Żeglarze wywracali je na grzbiet bez obawy, że zostaną ugryzieni lub podrapani. Następnie wlekli żółwie do oczekujących na brzegu barkasów, wykorzystując bezużyteczne dla zwierząt pancerze jako sanie.

Magazynowali żółwie kładąc je na grzbietach i nie zwracali już na nie większej uwagi aż do czasu, kiedy miały zostać zjedzone. Piękno żółwi sprowadzało się dla marynarzy do tego, że były one zawsze świeżym mięsem, którego nie trzeba było zamrażać i które można było natychmiast zjeść.

W każdym roku szkolnym Mary mogła liczyć na to, że niektórzy uczniowie zostaną wstrząśnięci tym, jak ludzkie istoty mogły potraktować tak okrutnie stworzenia tak ufne. Mary wykorzystywała to jako okazję do powiedzenia, że sama natura potraktowała żółwie o wiele ostrzej, i to wcześniej jeszcze, nim pojawiło się takie zwierzę jak człowiek.

W swoim czasie, mawiała Mary, żyły miliony tych niezgrabnie pełzających stworzeń i zamieszkiwały one wszystkie lądy o umiarkowanym klimacie.

Lecz potem pewne małe zwierzątka stały się, dzięki ewolucji, gryzoniami i te gryzonie z łatwością znajdowały i pożerały żółwie jaja — wszystkie.

W ten oto sposób i to w bardzo krótkim czasie problem żółwi został definitywnie rozwiązany — z wyjątkiem paru wysp, na których nie było gryzoni.

Porównanie z żółwiem, jakie przyszło do głowy duszącej się Mary, było prorocze, jako że to, co tak dawno temu przydarzyło się większości żółwi, stawało się teraz udziałem większości ludzi.

Począwszy od dorocznych Targów Książki we Frankfurcie, pewne nowe, niewidoczne gołym okiem stworzenia zaczęły pożerać ludzkie jaja w jajnikach kobiet. Kobiety odwiedzające Targi zapadały na lekką gorączkę, która przechodziła po jednym albo dwóch dniach i występowała czasami razem z zaburzeniami wzroku. Po ustąpieniu tych objawów owe kobiety, podobnie jak Mary Hepburn, nie mogły już mieć dzieci. Nie

było sposobu, aby powstrzymać tę chorobę. Rozprzestrzeniała się praktycznie wszędzie.

Podobna do historii zagłady potężnych żółwi za przyczyną małych gryzoni była historia Dawida i Goliata. A teraz powstawała jeszcze jedna opowieść na ten sam temat.

Tak, a Mary doprowadziła się do stanu tak bliskiego śmierci, że zobaczyła błękitny tunel wiodący w Zaświaty. W tym momencie zbuntowała się przeciwko swojemu wielkiemu mózgowi, który przywiódł ją tak daleko. Ściągnęła z głowy plastikowy pokrowiec i zamiast umierać — zeszła na dół, gdzie natknęła się na Jamesa Waita dokarmiającego sześć kanka-bońskich dziewczynek fistaszkami, oliwkami, kandyzowanymi czereśniami w likierze i koktajlowymi cebulkami dobywanymi zza baru.

Owa scena niezgrabnego miłosierdzia miała zapisać się w jej mózgu na resztę życia. Mary uwierzyła raz na zawsze, że James Wait jest niesamolubną, zdolną do współczucia i miłości ludzką istotą. Ponieważ miał on wkrótce dostać fatalnego zawału serca, nie było już szans na to, że wydarzy się coś, co mogłoby zmienić jej opinię na temat tego obrzydliwego typu.

Pomijając już wszystko inne, James Wait był mordercą.

Tak oto doszło do owej zbrodni:

Kiedy był męską prostytutką na Manhattanie, zaczepił go w jakimś barze pewien spasiony plutokrata, który zapytał, czy Wait zdaje sobie sprawę z tego, iż przy jego nowej, ślicznej welurowej bluzie wciąż wisi metka z ceną. W żyłach tego człowieka płynęła królewska krew! Był to Ryszard, książę Chorwacji-Slawonii, w prostej linii potomek króla Anglii — Jakuba I, cesarza Niemiec — Fryderyka III, cesarza Austrii — Franciszka Józefa, i króla Francji — Ludwika XV. Prowadził antykwariat na górnej Madison Avenue i nie był homoseksualistą. Potrzebował Waita po to, by ten dusił go jedwabną szarfą od szlafroka i poluzował dopiero wtedy, gdy śmierć będzie niemal nieuchronna.

Książę Ryszard posiadał żonę i dwoje dzieci, bawiących właśnie na nartach w Szwajcarii. Jego żona była jeszcze na tyle młoda, by móc urodzić dziecko, a zatem młody Wait uniemożliwił być może jeszcze jedną karierę, jaka mogła przypaść w udziale tym imponującym genom.

No a poza tym: Gdyby książę Ryszard nie został zamordowany, Bobby King

mógłby zaprosić go wraz z żoną do udziału w „Przyrodniczej Wyprawie Stulecia”.

Wdowa stała się wziętą projektantką krawatów, znaną jako „Księżna Charlotte”, chociaż wywodziła się z gminu. Jej ojcem był dekarz ze Staten Island i nie miała ona żadnego prawa do tytułu księżnej ani do używania herbu swego męża. Niemniej jednak herb ten figurował na wszystkich zaprojektowanych przez nią krawatach.

Nieboszyk Andrew MacIntosh posiadał kilka krawatów księżnej Charlotty.

Wait rozkrzyżował tego wieprzowatego arystokratę na wznak na olbrzymim łóżku, które, wedle słów księcia, należało do Eleonory z palatynatu Neuburg, matki króla Węgier — Józefa I. Wait przywiązał go do grubych słupków podtrzymujących baldachim nylonowymi sznurkami, przyciętymi już wcześniej. Sznurki schowane były w ukrytej pod falbanką w nogach łóżka tajnej szufladce. Szufladka była bardzo stara i musiała zawierać w swoim czasie tajemnice seksualnego życia Eleonory z palatynatu Neuburg.

— Zwiąż mnie delikatnie, ale ciasno, tak, żebym nie mógł się uwolnić — pouczył księżę Ryszard młodego Waita. — Tylko nie wstrzymaj krążenia. Za nic na świecie nie chcę dostać gangreny.

Jego wielki mózg zmuszał go do takiego postępowania co najmniej raz w miesiącu w ciągu trzech ostatnich lat — do wynajmowania obcych ludzi, którzy mieli go związać i nieco poddusić. Cóż za metoda na przetrwanie!

Księżę Chorwacji-Slawonii Ryszard, być może obserwowany przez duchy swoich przodków, poinstruował Waita, że powinien on poddusić go tak, aby doszło do utraty świadomości. Następnie Wait, którego księżę znał jako „Jimmy'ego”, miał liczyć powoli do dwudziestu w następujący sposób: „Tysiąc i jeden, tysiąc i dwa...” i tak dalej.

Być może w asyście przyglądających się temu duchów króla Jakuba, cesarza Fryderyka, cesarza Franciszka Józefa i króla Ludwika księżę Ryszard, jeden z kilku pretendentów do tronu Jugosławii, ostrzegł „Jimmy'ego”, aby ten nie ważył się dotknąć ani jego ciała, ani ubrania, z wyjątkiem szarfy zawiązanej na szyi. Księżę zamierzał przeżyć orgazm, ale „Jimmy” nie powinien się do tego przyczyniać za pomocą ust czy rąk.

— Nie jestem homoseksualistą — powiedział książę — i wynajęłam ciebie jako kogoś w rodzaju lokaja, nie zaś prostytutki.

— Być może trudno ci w to uwierzyć, Jimmy — kontynuował książę — o ile prowadzisz taki tryb życia, jaki wydaje mi się, że prowadzisz, ale jest to dla mnie przeżycie duchowe i niech takim pozostanie. W przeciwnym razie — nici ze stu dolarów napiwku. Czy wyrażam się jasno? Jestem po prostu kimś wyjątkowym.

Książę nie wspomniał Waitowi o tym, że w czasie, gdy leży bez świadomości, jego wielki mózg wyświetla mu prawdziwy film. Przedstawia on jeden koniec poskręcanej kawałka błękitnej rury o średnicy pięciu metrów, dość wielkiej, by mogła przejechać przez nią ciężarówka, wywinętej do góry tak, jak stożek tornada. Nie słychać jednak ryku, typowego dla tornada. Zamiast tego, z drugiego końca rury, oddalonego chyba o około pięćdziesiąt metrów, rozbrzmiewa niezemska muzyka, dobywająca się jakby ze szklanej harmonijki. W zależności od tego, jak skręca się rura, można na mgnienie oka dojrzeć w otworze na jej drugim końcu złote punkciki i przebłyski zieleni. Był to, rzecz jasna, tunel wiodący w Zaświaty.

Więc Wait, zgodnie z instrukcją, włożył w usta niedoszłego wyzwoliciela Jugosławii gumową piłeczkę, a następnie zakleił je kawałkiem przylepca, umieszczonego wcześniej przez księcia na słupku od baldachimu.

Następnie udusił księcia, odcinając dopływ krwi do jego wielkiego mózgu i dopływ powietrza do jego płuc. Zamiast liczyć powoli do dwudziestu, zaczynając od momentu, w którym książę straci przytomność, przeżyje orgazm i zobaczy poskręcaną rurę, Wait policzył wolno do trzystu. Zajęło mu to pięć minut.

Był to pomysł wielkiego mózgu Waita. On sam nie zamierzał robić niczego szczególnego.

Gdyby Wait kiedykolwiek stanął przed sądem za zabójstwo, za morderstwo, czy jak tam też władza nazwałaby jego zbrodnię, mógłby prawdopodobnie zasłaniać się chwilową niepoczytalnością. Twierdziłby zapewne, że jego wielki mózg po prostu nie funkcjonował wówczas jak należy. Milion lat temu nie było na świecie osoby, która nie



wiedziałyby, o co chodzi.

Przeprosiny za chwilową niedyspozycję mózgu były zasadniczym tematem wielu konwersacji: „Oooch...”, „przepraszam”, „mam nadzieję, że nie czujesz się zraniony”, „nie mogę uwierzyć, że mogłem zrobić coś takiego”, „to stało się tak nagle, że nawet nie zdążyłem o tym pomyśleć”, „jestem ubezpieczony na wypadek takich spraw”, „nie potrafię tego sobie wybaczyć”, „nie wiedziałem, że był nabity” i tak dalej i dalej.

Kiedy Wait opuszczał potrójny apartament przy Sutton Place, na atłasowej, ozdobionej herbami pościeli księcia sporo było kropeł i kropelek ludzkiej spermy, pełnych królewskich kijanek rywalizujących w wyścigu donikąd. Wait nie ukradł niczego i nie zostawił też żadnych odcisków palców. Portier, który musiał widzieć go wchodzącego i wychodzącego z budynku, nie był w stanie podać policji zbyt wielu szczegółów na temat jego wyglądu, pominąwszy to, że był to młody, szczupły biały człowiek ubrany w niebieską welurową bluzę, przy której wciąż jeszcze wisiała metka z ceną.

I w tym również było jakieś proroctwo, w tych milionach królewskich kijanek na atłasowej pościeli, pozbawionych jakiegoś sensownego celu, do którego warto by dążyć. Z punktu widzenia ludzkiej spermy wydawało się, że cały świat, z wyjątkiem wysp Galapagos, staje się czymś w rodzaju takiej atłasowej pościeli.

Czy wolno mi dodać: W mgnieniu oka?

### 30

Mogę już teraz postawić gwiazdkę przed nazwiskiem \*Jamesa Waita, oznaczającą, że — zaraz po \*Siegfriedzie von Kleiście — on umrze jako następny. \*Siegfried wkroczy do błękitnego tunelu mniej więcej za półtorej godziny, a \*Wait podąży w jego ślady jakieś czternaście godzin później, poślubiwszy najpierw Mary Hepburn. Ceremonia odbędzie się na pełnym morzu, na plażowym pokładzie „Bahii de Darwin”.

Dawno temu rzekł Mandarax:

*Wszystko dobre, co dobrze się kończy.*

John Heywood (1497?-15809)

Niewątpliwie tak było w przypadku życia \*Jamesa Waita. Przyszedł na ten świat przypuszczalnie jako syn samego diabła, a lanie zaczął dostawać niemal natychmiast po urodzeniu. Teraz, kiedy był już tak blisko końca, zdumiał się radością, jaka ogarnęła go, kiedy dokarmił kanka-bońskie dziewczynki. One były takie wdzięczne, a pomoc im było rzeczą tak niezwykle prostą, jako że bar obficie zaopatrzone w przekąski, dodatki i przyprawy. Po prostu nigdy przedtem nie przytrafiła mu się dogodna sposobność, by mogło się okazać, że jest zdolny do miłosierdzia. Stało się to dopiero teraz i bardzo mu przypadło do gustu. Dla tych dzieci \*Wait był samym życiem.

A potem — na co czekał całe popołudnie — pojawiła się wdowa Hepburn. \*Wait nie musiał wkradać się w jej zaufanie. Polubiła go od pierwszego wejrzenia, ponieważ karmił dzieci, i powitała go mówiąc: „Och, brawo! Brawo!”, ponieważ po drodze z lotniska do hotelu widziała tak wiele głodnych dzieciaków. Przyjęła za pewnik i nigdy nie zachwiała się w tej pewności, że ów mężczyzna napotkał te dzieci na zewnątrz i zaprosił je do środka, by móc je nakarmić.

— Dlaczego nie potrafisz być taka, jak pan? — mówiła dalej Mary. — Tkwiłam na górze nie robiąc nic innego, jak tylko użalając się nad sobą, podczas gdy powinnam być tutaj i tak jak pan dzielić się tym, co mamy, z tymi biednymi dziećmi z ulicy. Sprawił pan, że czuję się zawstydzona, chociaż to mój mózg nie pracował ostatnio jak należy. Czasami mam ochotę go zabić.

Zwróciła się następnie do dzieci, mówiąc po angielsku, a więc w języku, którego nigdy nie miały zrozumieć:

— No i jak wam smakuje? — pytała. A także: — A gdzie wasze mamusie i tatusiowie? — i tak dalej w tym stylu.

Dziewczynki nie musiały nigdy uczyć się angielskiego, ponieważ kanka-boński od początku stał się na Santa Rosalii językiem większości. Półtora wieku później był już językiem większej części rodzaju ludzkiego. A jeszcze po czterdziestu dwóch latach stał się jedynym językiem ludzkości.

Nie było potrzeby dawać dziewczynkom czegoś lepszego do jedzenia, jak chciała Mary. Dieta złożona z fistaszków i pomarańczy, których w barze było pod dostatkiem, okazała się idealna. Dzieci wypluwały po prostu to, co nie wydawało im się dobre —

czereśnie, zielone oliwki i małe cebulki. Dziewczynki nie potrzebowały pomocy przy jedzeniu.

Zatem Mary i \*Wait byli wolni — mogli po prostu obserwować i gawędzić, i poznać się nawzajem.

\*Wait powiedział, że jego zdaniem ludzie znaleźli się na ziemi po to, by sobie nawzajem pomagać, i że to cały powód, dlaczego karmił dziewczynki. Powiedział, że dzieci są przyszłością świata i najcenniejszym bogactwem naturalnym planety.

— Pozwoli pani, że się przedstawię — powiedział. — Nazywam się Willard Flemming i pochodzę z Moose Jaw w Saskatchewan.

Mary powiedziała, kim jest i co robi, to znaczy, że jest wdową i była nauczycielką.

\*Wait zwierzył się jej z podziwu dla nauczycieli i powiedział, jak bardzo ważni byli dla niego ci ludzie w czasach, kiedy był młody.

— Gdyby nie moi nauczyciele z ogólniaka — mówił \* Wait — nigdy nie dostałbym się na MIT Prawdopodobnie nie dostałbym się w ogóle na żadną uczelnię, przypuszczalnie byłbym mechanikiem samochodowym tak jak mój ojciec.

— Kim zatem pan został? — zapytała Mary.

— Odkąd moja żona zmarła na raka, czymś mniej istotnym niż nic — odparł.

— Och — powiedziała Mary. — Tak mi przykro!

— Cóż, to przecież nie pani wina, czyż nie? — odpowiedział \*Wait.

— To prawda — przyznała Mary.

— Zanim to się stało — mówił dalej — byłem inżynierem od wiatraków. Wpadłem na zwariowany pomysł, że przecież dookoła pełno jest czystej, darmowej energii. Czy to nie brzmi idiotycznie?

— Ależ to cudowna myśl — zachwyciła się Mary. — Często rozmawialiśmy o tym z mężem.

— Towarzystwa i zakłady energetyczne nienawidziły mnie — kontynuował \*Wait — a także królowie ropy, baronowie węgla i lobby atomowe.

— Mogę to sobie wyobrazić! — przytaknęła Mary.

— Teraz już nie muszą się mną martwić — mówił \*Wait. — Zwinąłem kramik po śmierci żony i od tego czasu włączę się po świecie. Sam nie wiem nawet, czego

szukam. Szczerze wątpię, czy w ogóle jest coś, czego warto poszukiwać. Jednego jestem pewien: Nigdy już nie będę nikogo kochał.

— Ma pan przecież świata tyle do zaoferowania! — zaprotestowała Mary.

— Jeżeli zaznam jeszcze miłości — powiedział \*Wait — nie będzie to związane z niczym, czego, jak się zdaje, pragną dzisiejsi ludzie, a co nie jest warte funta kłaków. Tego bym nie wytrzymał.

— Też tak sędzę — rzekła Mary.

— Jestem zupełnie rozbity — powiedział \*Wait.

— Uważam, że to normalne — stwierdziła Mary.

— Pytam sam siebie: „Cóż znaczą dzisiaj pieniądze?” — mówił dalej \*Wait — Jestem pewien, że pani mąż był równie dobrym mężem, jak moja żona była dobrą żoną...

— To był naprawdę dobry człowiek — powiedziała Mary — absolutnie wspaniały człowiek.

— A zatem i pani zadaje sobie to pytanie: „Cóż znaczą pieniądze dla osoby całkowicie samotnej?” Przypuszczam, że posiada pani jakiś milion dolarów...

— Mój Boże! — zaśmiała się Mary. — Nie mam niczego takiego.

— No dobrze, sto tysięcy, a zatem...

— Nieco więcej niż sto — wtrąciła Mary.

— To teraz śmieci, prawda? — rzucił \*Wait. — Jakież to szczęście można za nie kupić?

— Jak by nie było, na pewne przyjemności wystarczy — odparła Mary.

— Wyobrażam sobie, że posiada pani śliczny dom — ciągnął \*Wait.

— Całkiem niczego sobie — zgodziła się Mary.

— A także samochód albo dwa lub trzy i w ogóle — nie ustępował \*Wait.

— Tylko jeden — powiedziała Mary.

— Założę się, że mercedesa.

— Jeepa — wyjaśniła Mary.

— Ale prawdopodobnie ma pani akcje i obligacje, tak jak ja — mówił dalej \*Wait.

— Firma Roya stosowała system wypłacania dywidend w akcjach — odparła Mary.

— Och tak, pewnie — powiedział \*Wait. — A także system ubezpieczeń, system emerytalny i całą resztę z repertuaru marzeń o bezpieczeństwie, typowych dla klasy średniej.

— Oboje pracowaliśmy — wyjaśniała Mary — oboje zarabialiśmy.

— Nie chciałbym mieć żony, która nie pracuje — stwierdził \*Wait. — Moja pracowała w firmie telefonicznej. Po jej śmierci okazało się, po podliczeniu, że wszystkie zasiłki pogrzebowe to wręcz nędzne grosiki. Doprowadziło mnie to nawet do płaczu. Przypominało mi po prostu, jak bardzo puste stało się moje życie. Przypominała mi o tym również jej mała szkatułka, te wszystkie pierścionki, szpilki i naszyjniki, które otrzymała ode mnie w ciągu tylu lat i których, nie mając dzieci, nie mam komu przekazać.

— My także nie mieliśmy dzieci — powiedziała Mary.

— Wygląda na to, że mamy z sobą wiele wspólnego — stwierdził \*Wait. — Komu więc zostawi pani swoje kosztowności?

— Och, nie jest tego tak dużo — odparła Mary. — Podejrzewam, że jedyną wartościową rzeczą jest sznur pereł, który odziedziczyłam po matce Roya. Posiada diamentową zapinkę. Tak rzadko nosiłam biżuterię, że aż do tej chwili niemalże zapomniałam o tych perłach.

— Mam nadzieję, że są ubezpieczone — powiedział \*Wait.

### 31

Ależ kiedyś ludzie gadali, gadali, gadali! Wszyscy, jak dzień długi, uprawiali swoje bla-bla-bla. Niektórzy kontynuowali ten proceder nawet we śnie. Mojemu ojcu zdarzało się to nadzwyczaj często — zwłaszcza gdy opuściła nas matka. Zazwyczaj sypiałem na kozetce — i w środku nocy, w domu, w którym poza nami nie było nikogo, słuchałem dobiegającego z sypialni ojcowskiego bełkotu. Na krótkie chwile zapadała cisza, a potem znowu: bla-bla-bla.

Czasami, kiedy byłem w piechocie morskiej i potem, już w Szwecji, różni ludzie budzili mnie i żądali, bym przestał gadać przez sen. Nie pamiętałem nic z tego, co mówiłem. Zwykle pytałem o to tych, którzy mnie budzili, a ich odpowiedzi zawsze mnie zdumiewały. Czymże była większa część tego bełkotu, we śnie i na jawie, jeżeli nie strumieniem bezużytecznych, nachalnych sygnałów płynących z naszych absurdalnie

wielkich i aktywnych mózgów?

Nie było sposobu na to, by się zamknęły! Czy mieliśmy dla nich coś do roboty, czy nie, one cały czas były w ruchu! I były przy tym takie hałaśliwe! Och, Boże, jakże one hałasowały.

Za mojego życia dużą popularnością cieszyły się przenośne radia i magnetofony, które wielu młodych ludzi brało ze sobą wszędzie, gdziekolwiek szli. Urządzenia te potrafiły emitować muzykę z siłą zdolną do zagłuszenia grzmotu pioruna. Nazywano je „niszczycielami z getta”. Milion lat temu nie dość nam było, że posiadaliśmy już niszcycieli z getta w naszych własnych głowach!

Ciągle jeszcze jestem wściekły na to z praw przyrody, które dopuściło do ewolucji czegoś tak wkurzającego i bezsensownego jak wielgachne mózgi sprzed miliona lat. Gdyby chociaż mówiły prawdę, można by wtedy dopatrzeć się jakiegoś pożytku z posiadania czegoś takiego. Ale one bez przerwy kłamały! Popatrzcie tylko, jak \*James Wait łął przed Mary Hepburn!

A teraz właśnie powrócił do hotelu \*Siegfried von Kleist, który przed chwilą był świadkiem śmierci Andrew MacIntosh i Zenjiego Hiroguchi. Gdyby jego wielki mózg był prawdopodobny, \*Siegfried mógłby przekazać Mary i \*Waitowi informacje, do których mieli zresztą pełne prawo i które mogłyby okazać się dla nich wielce przydatne, o ile oboje pragnęli przetrwać, a mianowicie: że on sam był w pierwszym stadium psychicznego załamania, że dwaj hotelowi goście zostali przed chwilą zastrzeleni, że tłum na zewnątrz nie da się już długo powstrzymać, że hotel został odcięty od reszty świata i tak dalej.

Ale nie. \*Siegfried zachowywał pogodne oblicze. Nie życzył sobie, aby pozostała czwórka gości uległa panice. W rezultacie nikt z nich nie dowiedział się nigdy, co się stało z Andrew MacIntoshem i Zenjim Hiroguchim. Jeśli o to chodzi, to nie słyszeli nawet wieści o wybuchu wojny pomiędzy Peru i Ekwadorem, wieści, którą ogłoszono gdzieś tak godzinę później. Kapitan zresztą też o niczym nie słyszał. Kiedy peruwiańskie rakiety trafiły w cele na obszarze Guayaquil, wszyscy uwierzyli w to, co wielki mózg Kapitana uważał za rzetelną prawdę, choć nie odczuwał żadnych skrupułów względem mówienia prawdy. Zgodnie z jego przekonaniem, na ziemię spadł grad meteorytów.

I dotąd, dopóki na Santa Rosalii byli tacy ludzie, których ciekawiło, dlaczego ich przodkowie przybyli na tę wyspę — a ciekawość tego rodzaju wygasła mniej więcej po upływie trzech tysięcy lat — krążyła taka oto historia: Pierwsi osadnicy opuścili kontynent z powodu gradu meteorytów. Rzecze Mandarax:

*Szczęśliwy to naród, który nie ma historii.*

Cesare Bonesana, markiz Beccarii (1738-1794)

Tak więc \*Siegfried, brat Kapitana, poprosił \*Waita idealnie opanowanym głosem, aby udał się na górę i sprowadził Selenę MacIntosh i Hisako Hiroguchi, a także pomógł im znieść bagaże.

— Proszę, żeby był pan ostrożny i nie wzbudzał w paniach niepokoju — powiedział \*Siegfried. — Niech im pan da do zrozumienia, że wszystko jest w absolutnym porządku. Zamierzam, dla waszego bezpieczeństwa, zawieźć was na lotnisko.

Nawiasem mówiąc, Międzynarodowy Port Lotniczy Guayaquil był pierwszym obiektem, jaki uległ zniszczeniu podczas peruwiańskiego ataku rakietowego.

\*Siegfried wręczył \*Waitowi Mandaraxa, by ten mógł porozumieć się z Hisako. \*Von Kleist znalazł go przy zwłokach Zenjiego. Oba ciała usunięto z widoku i ukryto w splądrowanym sklepie z pamiątkami. \*Siegfried osobiście okrył je pamiątkowymi narzutkami, ozdobionymi takim samym portretem Karola Darwina, jaki wisiał za barem.

Tak więc \*Siegfried von Kleist wyprowadził z hotelu Mary Hepburn, Hisako Hiroguchi, \*Jamesa Waita, Selenę MacIntosh i \*Kazak, po czym umieścił ich w wesoło przystrojonym autobusie, zaparkowanym przed frontowym wejściem. Autobus ten miał przewieźć na lotnisko muzyków i tancerzy, by zapewnić znakomitościom z Nowego Jorku godziwe powitanie. Do autobusu wsiadło też sześć małych Kanka-bonek, a ja postawiłem gwiazdkę przy imieniu psa dlatego, iż wkrótce właśnie te dziewczynki zabiją go i zjedzą. Nie były to dobre czasy dla psów.

Selena chciała dowiedzieć się, gdzie jest jej ojciec, zaś Hisako była ciekawa, gdzie podział się jej mąż. \*Siegfried powiedział, iż obaj mężczyźni udali się już na lotnisko. Jego plan sprowadzał się do tego, aby w jakiś sposób umieścić wszystkich w samolocie — obojętnie, czy w liniowym, czy w czarterowym, czy też wojskowym — i

wyekspediować ich bezpiecznie z Ekwadoru. Prawda na temat Andrew MacIntosh i Zenjiego Hiroguchi miała być ostatnią rzeczą, jaką zamierzał powiedzieć im przed startem samolotu — wówczas, gdy będą już bezpieczni i bez względu na szalony ból, jaki może to spowodować.

Dla uspokojenia Mary, \*Siegfried zgodził się zabrać też sześć kanka-bońskich dziewczynek, chociaż w ich języku, nawet z pomocą Mandaraxa, nie mógł doszukać się najmniejszego sensu. Wszystkim, na co mógł zdobyć się Mandarax, było zidentyfikowanie jednego słowa na dwadzieścia, i to, być może, dzięki podobieństwu z językiem kiczua, będącym lingua franca w imperium Inków. Tu i ówdzie zdawało się Mandaraxowi, że rozpoznaje coś przypominającego arabski — lingua franca afrykańskich niewolników z zamierzchłych czasów.

No właśnie, oto jeszcze jeden pomysł wielkich mózgów, o których później już nie słyszałem — niewolnictwo. Jak mógłbyś w ogóle utrzymać kogoś w niewoli, mając do dyspozycji jedynie pletwy i usta?

## 32

Ledwie wszyscy usadowili się wygodnie w autobusie, kiedy radioodbiorniki, których kilka mieli ludzie z tłumu, podały wiadomość o odwołaniu „Przyrodniczej Wyprawy Stulecia”. Oznaczało to, zarówno dla tłumu, jak i dla żołnierzy, którzy byli po prostu cywilami w mundurach, że od tej chwili jedzenie z hotelu należy do wszystkich. Uwierźcie komuś, kto przygląda się temu już milion lat: Jeżeli zbadacie rzecz uczciwie, okaże się, że jedzenie praktycznie zawsze jest najważniejsze. Rzecz Mandarax:

*Wpierw żarcie, potem moral można dać.<sup>6</sup>*

Bertolt Brecht (1898-1956)

Tak więc masa ludzi runęła w stronę wejść do hotelu, otaczając na chwilę autobus, aczkolwiek sam pojazd i siedzący w nim ludzie nie interesowali uczestników rozruchów. Niemniej jednak łomotali w burty autobusu i wrzeszczeli, dręczeni świadomością, że inni są już w hotelu i że dla nich może już nie starczyć jedzenia.

Było to, rzecz jasna, nader przerażające dla siedzących w autobusie. Pojazd mógł zostać wywrócony. Mógł stanąć w ogniu. Mogły posypać się kamienie, zmieniając szyby

---

6 Przekład B. Wmawera i B. Witek-Swinarskiej



autobusu w szrapnele. Najlepszym schronieniem była podłoga pomiędzy fotelami. Hisako Hiroguchi wykonała wtedy pierwszy krok na drodze do serdecznej przyjaźni z Seleną MacIntosh, dając jej do zrozumienia przy pomocy rąk i szepcząc po japońsku, aby uklęknęła na podłodze i pochyliła głowę. Potem Hisako przycupnęła obok niej i \*Kazak i objęła ją ramieniem.

Jakże czule Hisako i Seleną opiekowały się sobą nawzajem w nadchodzących latach! Cóż za piękne i przemiłe dziecko razem wychowały! Jakże je podziwiałem!

Tak, a \* James Wait raz jeszcze wystąpił w roli opiekuna dzieci, osłaniając własnym ciałem przerażone małe Kanka-bonki. Gdyby mógł, myślałby jedynie o własnej skórze, ale Mary Hepburn chwyciła go za ręce i przyciągnęła do siebie tak, że utworzyli coś w rodzaju żywego fortu. Gdyby w powietrzu zaczęły fruwać odłamki szkła, trafiałyby w nich, a nie w dziewczynki.

Rzecz Mandarax:

Większej miłości nikt nie ma nad tę. jak gdy kto  
życie swoje kładzie za przyjaciół swoich.<sup>7</sup>

Ewangelia św Jana (4 p.n e ?-30?)

To właśnie wtedy zaczęły migotać przedsiionki serca \*Waita, to znaczy zaczęły kurczyć się w nieskoordynowany sposób, co spowodowało, że rytm krwi w jego układzie krwionośnym został zaburzony. I w tym przypadku była to kwestia dziedziczności. \*Wait nie mógł o tym wiedzieć, ale każde z jego rodziców, będących zresztą ojcem i córką, zmarło na zawał serca, mając niewiele ponad czterdzieści lat.

Szczęśliwie dla ludzkości \*Wait nie pożył na tyle długo, aby na Santa Rosalii wziąć udział w rozgrywce o zachowanie gatunku. Z drugiej strony nie miałyby to, być może, większego znaczenia, gdyby ludzie odziedziczyli taką bombę zegarową zamontowaną w sercu, ponieważ nikt dziś nie żyje wystarczająco długo, by zdążyła ona eksplodować. Ten, kto dożyłby wieku \*Waita, byłby prawdziwym Matuzalemem.

Tymczasem na nabrzeżu inny motłoch, jeszcze jeden chory organ w społecznej strukturze Ekwadoru, okradał „Bahię de Darwin” nie tylko z żywności, ale i z

---

<sup>7</sup> Przekład wg wyd Brytyjskie i Zagraniczne Tow Biblijne

telewizorów, telefonów, radaru, sonaru, odbiorników radiowych, żarówek, kompasów, papieru toaletowego, chodników, mydła, garnków, dzbanków, map morskich, materacy, przyburtowych silniczków, nadmuchiwanych pontonów i tak dalej, i tak dalej. Niektórzy próbowali nawet ukraść dźwig kotwiczny, lecz ich wysiłki zakończyły się jedynie nieodwracalnym zepsuciem urządzenia.

Ostatecznie ocalały łodzie ratunkowe — lecz ograbione z żelaznych racji żywnościowych.

A Kapitan von Kleist, w strachu o własną skórę, wdrapał się w samej tylko bieli/nie na bocianie gniazdo.

Tłum przy hotelu „El Dorado” runął na autobus jak fala pływowa, osadzając go, że tak powiem, na mieliźnie. Teraz samochód był już wolny i mógł pojechać tam, gdzie chciał. Wokół nie było nikogo, nie licząc kilku leżących tu i tam osób, zranionych lub zdeptanych w ścisku.

Tak więc \*Siegfried von Kleist, heroicznie powstrzymując spazmy i ignorując halucynacje typowe dla płasawicy Huntingtona, zasiadł na miejscu kierowcy. Uważał, że najlepiej będzie, jeżeli jego pasażerowie pozostaną przycupnięci na podłodze — niewidoczni z zewnątrz, uspokajający się nawzajem ciepłem swoich ciał.

Uruchomił silnik i stwierdził, że bak jest pełen. Włączył klimatyzację. Oznajmił po angielsku, w jedynym języku, w jakim mógł porozumieć się z pasażerami, że w ciągu jednej lub dwóch minut w pojeździe będzie chłodniej i przyjemniej. Tej obietnicy mógł dotrzymać.

Na dworze panował już zmrok, zatem \*Siegfried włączył światła postojowe.

Działo się to mniej więcej w tym czasie, kiedy Peru wypowiedziało Ekwadorowi wojnę. Nad terytorium Ekwadoru znajdowały się już dwa peruwiańskie myśliwce bombardujące, jeden z rakieta nastawioną na odbiór impulsów radarowych pochodzących z Międzynarodowego Portu Lotniczego w Guayaquil, drugi z rakieta nastawioną na impulsy z radarów bazy morskiej na Baltrze, wyspie archipelagu Galapagos. W bazie tej znajdował się szkolny żaglowiec, sześć patrolowców Obrony Wybrzeża, dwa oceaniczne holowniki, patrolowa łódź podwodna i przebywający w suchym doku niszczyciel. Ów

niszczyciel był największym okrętem ekwadorskiej floty, jeśli nie liczyć „Bahii de Darwin”.

Rzecz Mandarax:

*To były najlepsze czasy, to były najgorsze czasy; to było stulecie rozumu i stulecie głupoty; to była epoka wiary i epoka niedowiarstwa; to była pora Światła i pora Ciemności; to była wiosna nadziei i zima rozpacz; wszystko było przed nami i niczego przed nami nie było; zmierzaliśmy wprost do Nieba i zmierzaliśmy prosto w drugą stronę.*

Charles Dickens (1812-1870)

### 33

Czasami spekulowałem na temat, jaka byłaby ludzkość, gdyby pierwsi osadnicy na Santa Rosalii składali się z pasażerów z listy oraz z załogi „Przyrodniczej Wyprawy Stulecia” — oczywiście Kapitan von Kleist, Hisako Hiroguchi, Selena MacIntosh i Mary Hepburn również wchodzili w grę, ale na miejscu kanka-bońskich dziewczynek byłiby marynarze i oficerowie, Jacqueline Onassis, dr Henry Kissinger, Rudolf Nureyev, Mick Jagger, Paloma Picasso, Walter Cronkite, Bobby King, „najlepszy mistrz kucharski we Francji” — Robert Pepin, u także, rzecz jasna, Andrew MacIntosh, Zenji Hiroguchi i inni.

Wyspa z trudem mogłaby pomieścić tak wiele indywidualności. Doszłoby do jakichś przepychanek, jakichś walk, przypuszczam nawet, że i do zabójstw; zwłaszcza gdyby kończyła się żywność lub woda. Podejrzewam, iż niektórzy z nich wyobrażaliby sobie, że Natura, lub coś w tym stylu, byłaby wniebowzięta, gdyby udało się właśnie im zwyciężyć. Jednakże z punktu widzenia ewolucji ci, którzy by przetrwali, nie mieliby większego znaczenia od kopca grochu, o ile by się nie rozmnażali. Tymczasem kobiety z listy pasażerów były w większości już za stare na to, by mieć dzieci, a zatem nie warto było o nie walczyć.

W ciągu pierwszych trzynastu lat na Santa Rosalii, zanim Akiko weszła w okres dojrzewania, jedynymi płodnymi kobietami były w istocie niewidoma Selena i Hisako Hiroguchi, która właśnie urodziła pokryte sierścią dziecko, oraz jeszcze trzy inne, zupełnie normalne. I prawdopodobnie wszystkie zostałyby zapłodnione przez

zwycięzców w walce o byt, nawet wbrew swojej woli. W ogólnym rozrachunku jednak nie sądzę, aby miało jakiegokolwiek znaczenie to, który z mężczyzn by tego dokonał — Mick Jagger czy dr Henry Kissinger, Kapitan czy chłopiec okrętowy. Ludzkość i tak byłaby mniej więcej taka sama, jaka jest dzisiaj.

Ostatecznie ci, którzy by przetrwali, staliby się nie najdzikszyimi wojownikami, ale najbardziej wydajnymi rybakami. Tak to już jest na tych wyspach.

Również homary uniknęły o włos testów na przetrwanie, jakie oferował archipelag Galapagos. Zanim splądrowano „Bahię de Darwin”, dwieście egzemplarzy tych stworzeń znajdowało się pod pokładem w klimatyzowanych zbiornikach ze słoną wodą.

Wody wokół Santa Rosalii były z pewnością dostatecznie dla nich zimne, lecz chyba za głębokie. Bądź co bądź, w pewnym sensie homary były podobne do ludzi: Jeżeli nie miały innego wyjścia, potrafiły zjeść niemal wszystko.

A Kapitan von Kleist, kiedy już bardzo, bardzo się postarzał, wspominał owe homary w zbiornikach pod pokładem. Im bardziej się starzał, tym żywszych barw nabierały zdarzenia sprzed lat. Pewnego wieczoru po kolacji Kapitan zabawiał Akiko, futerkową córkę Hisako Hiroguchi, opowiadaniem w stylu science fiction, którego założeniem było, że to właśnie homary są stworzone do życia na wyspach i że po upływie miliona lat — które właśnie mijają — homary staną się dominującym na planecie gatunkiem. W wizji Kapitana homary zbudują miasta, teatry, szpitale, zorganizują transport publiczny i tak dalej. Homary Kapitana grały na skrzypcach, rozwiązywały kryminalne zagadki, uprawiały mikrochirurgię, zapisywały się do klubów dobrej książki i tak dalej, i dalej.

Morał tej opowieści był taki, że homary zachowywały się dokładnie tak samo jak ludzie, to znaczy wszystko partaczyły. Powinny raczej być po prostu normalnymi homarami, zwłaszcza odkąd nie było już ludzkich istot, które chciałyby żywcem je ugotować.

Oto, na co przede wszystkim narzekały niegdyś homary: gotowanie żywcem. Obecnie, kiedy już im to nie groziło, sponsorowały orkiestry symfoniczne i tak dalej. Narratorem w opowiadaniu Kapitana był kiepsko wynagradzany, drugorzędny

waltornista z Orkiestry Symfonicznej Homarville, którego żona uciekła właśnie z zawodowym hokeistą.

Kiedy Kapitan wymyślał swoją opowieść, nie mógł mieć pojęcia o tym, że wszędzie gdzie indziej ludzkość dotarła na samą krawędź zagłady, zaś inne formy życia znajdowały się, mniej więcej, w odwrotnej sytuacji, o ile wykazywały skłonność do dominacji. Kapitan nigdy się o tym nie dowiedział, podobnie jak pozostali mieszkańcy Santa Rosalii. Mówiąc o dominacji, myślę o dominacji dużych form życia nad innymi dużymi formami życia. Prawdę powiedziawszy, najbardziej żywotne organizmy występujące na planecie zawsze były mikroskopijne. Czy w jakimkolwiek starciu Dawida z Goliatem zdarzyło się, że wygrał Goliat?

A zatem w towarzystwie wielkich stworzeń, widzialnych wojowników, homary były wręcz żalonymi kandydatami na to, by stać się gatunkiem równie twórczym i zarazem niszczycielskim jak ludzkość. Gdyby bohaterami zjadliwej przypowieści Kapitana były — zamiast homarów — choćby ośmiornice, nie byłaby ona może tak całkiem absurdalna. Dawno temu, jak też i teraz zresztą, te galaretowate stworzenia miały wysoko rozwinięte mózgi, których podstawowym zadaniem była koordynacja wszechstronnie sprawnych ramion. Można sądzić, że rola tych mózgów nie tak całkiem różniła się od roli, jaką spełniał mózg człowieka sterujący rękami. Przypuszczalnie ośmiornice mogły wykorzystywać mózg i ramiona również do innych rzeczy, nie tylko do łapania ryb.

Póki co jednak nie spotkałem jeszcze takiej ośmiornicy ani też innego zwierzęcia, jeśli o to chodzi, które nie będąc całkowicie zadowolone ze swej roli poszukiwacza jedzenia, puściłoby się na eksperymenty w obszarach nieograniczonej żądzy i ambicji, tak typowych dla rodzaju ludzkiego.

Co się zaś tyczy ludzkich istot i ich ewentualnego powrotu do używania narzędzi, budowania domów, grania na instrumentach i tak dalej, raz jeszcze stwierdzę, że dzisiaj mogłyby to wszystko robić najwyżej przy pomocy nosów. Ich ramiona stały się tymczasem płetwami, w których niemal zupełnie zostały uwięzione i unieruchomione kości dłoni. Każda płetwa zaopatrzona jest w pięć najwyraźniej dekoracyjnych

wyrostków, mających w okresie godowym wabić przedstawicieli drugiej płci. W istocie są to koniuszki zanikłych już czterech palców i kciuka. Co więcej, te części mózgu, które nadzorowały pracę rąk, po prostu już nie istnieją, dzięki czemu ludzkie czaszki są teraz dużo bardziej opływowe. Bardziej opływowa czaszka — bardziej efektywne łowienie ryb.

Skoro dzisiejsi ludzie potrafią pływać tak szybko i na tak duże odległości jak foki, cóż powstrzymuje ich przed powrotem na kontynent, z którego przybyli ich przodkowie? Odpowiedź brzmi: nic.

Wielu zresztą próbowało i pewnie spróbuje w okresie zmniejszenia się ilości ryb lub przeludnienia. Jednakże bakterie, które zjadają ludzkie jajeczka, są zawsze gotowe na ich powitanie.

To za dużo, jak na geograficzne odkrycia.

A poza tym, dlaczego ktoś chciałby żyć na kontynencie, skoro tu jest tak spokojnie? Każda wyspa, z kołyszącymi się palmami kokosowymi, szerokimi plażami i kryształowymi lagunami, stała się idealnym miejscem do wychowywania dzieci.

A ludzie są dzisiaj tacy niewinni i łagodni, i wszystko to dzięki ewolucji, która pozbawiła ich rąk.

Rzeczce Mandarax:

*W doskonaleniu dzieł rąk  
Obym na zawsze trwał;  
Wszak gnuśne ręce czynią zło,  
O co sam Szatan dba.*

Isaac Watts (1674-1748)

### 34

Milion lat temu pewien młody peruwiański pilot, podpułkownik, przeskakiwał myśliwcem bombardującym z kłębka na kłębek idealnie rozrzedzonej materii, na samej krawędzi ziemskiej atmosfery. Nazywał się Guillermo Reyes i mógł przetrwać na takiej wysokości dzięki temu, że kombinezon i hełm zapewniały mu odpowiednie ciśnienie i ilość tlenu. Ludzie potrafili być zdumiewający, jeśli chodzi o realizację nierealnych

marzeń.

Swego czasu pułkownik Reyes odbył z kolegą z jednostki nie rozstrzygniętą ostatecznie dyskusję na temat, czy jest coś przyjemniejszego niż stosunek płciowy. W tej chwili Reyes był w radiowym kontakcie z tym samym kolegą, znajdującym się w bazie na ziemi, i tenże kolega miał poinformować go, kiedy Peru znajdzie się oficjalnie w stanie wojny z Ekwadorem.

Pułkownik Reyes już wcześniej uaktywnił mózg straszliwej, samosterującej rakiety podwieszanej pod jego samolotem. Był to jej pierwszy haust życia, chociaż już wcześniej szaleńczo zakochała się w czaszy radaru, znajdującego się na szczycie wieży kontrolnej Międzynarodowego Portu Lotniczego w Guayaquil. Odkąd Ekwador umieścił tam dziesięć swoich samolotów wojskowych, lotnisko w Guayaquil stało się prawnie usankcjonowanym celem militarnym. Ta zdumiewająca kochanka radaru, wisząca pod samolotem pułkownika, była w pewnym sensie podobna do wielkich lądowych żółwi: Wszystko, co potrzebne do życia, miała zamknięte w skorupie.

Wreszcie nadszedł meldunek, że wszystko w porządku i Reyes może uwolnić „tę rzecz”.

Więc Reyes ją uwolnił.

Jego przyjaciel z bazy zapytał, jakie to uczucie, kiedy uwalnia się „taką rzecz”. Reyes odparł, iż w końcu doznał czegoś, co jest dużo przyjemniejsze od stosunku płciowego.

Odczucia młodego pułkownika musiały być wówczas transcendentalne, musiały być skończonym produktem jego wielkiego mózgu, ponieważ samolot ani się nie wzdrygnął, ani nie zбочzył z kursu, ani nie wzniósł się nieoczekiwanie do góry, ani nie opadł w dół, w chwili kiedy rakietę pomknęła w dół, by skosztować swą miłość. Lot odbywał się dokładnie tak samo, jak przedtem, dzięki automatycznemu pilotowi, wyrównującemu natychmiast nagle zmiany w ciężarze i aerodynamice samolotu.

Co do efektów odpalenia rakiety, widocznych dla Reyesa: Było zbyt wysoko na to, by rakietę ciągnęła za sobą smugę pary, w związku z czym wylot jej dyszy był wyraźnie widoczny. Niemniej jednak — dla Reyesa — rakietę wyglądała jak pręcik, który błyskawicznie stał się punktem, potem punkcikiem, a potem zniknął w ogóle. Stało

się to tak szybko, iż trudno było uwierzyć, że w ogóle istniał.

No i tyle.

Jedyny efekt tego wydarzenia w stratosferze miał miejsce w mózgu Reyesa, nigdzie indziej. Reyes był szczęśliwy. Był czuły. Był pełen grozy. Był wyczerpany.

Reyes bynajmniej nie był szalony, widząc analogię pomiędzy tym, co zrobił, a zachowaniem się samca w czasie stosunku płciowego. To komputer, nad którym nie miał żadnej władzy, jeśli nie liczyć tego, że go włączył, ustalał właściwy moment na odpalenie rakiety i dostarczał szczegółowych instrukcji mechanizmowi wyzwalamu. Reyes nie był mu do niczego potrzebny, tym bardziej, że nawet nie orientował się tak dobrze w zasadach działania tego mechanizmu. To była wiedza dla specjalistów. Na wojnie, tak jak w miłości, Reyes był nieustraszonym, szczęśliwym poszukiwaczem przygód.

Spuszczenie rakiety było w gruncie rzeczy identyczne z rolą, jaką spełniają samce w czasie reprodukcji.

A oto, czego można było spodziewać się po pułkowniku — w potrzebie zawsze dobrze się spisze.

Tak — a ów pręcik, który zmienił się w punkt, potem w punkcik, a potem zniknął zupełnie, był już teraz czymś tam zmartwieniem. Od tej chwili cała akcja miała rozgrywać się na drugim końcu.

Reyes zrobił już swoje. Ogarniała go słodka senność — a także uczucie odprężenia i dumy.

Zaczynam się obawiać wypaczania mojej opowieści, ponieważ niektóre postaci w niej występujące są autentycznie szalone i może to sprawiać wrażenie, jakoby milion lat temu każdy był szalony. Wcale tak nie było. Powtarzam: wcale tak nie było.

Dawno temu niemal wszyscy byli przy zdrowych zmysłach i z chęcią zaliczę Reyesa do tej ogólnej kategorii. Jeszcze raz powtórzę: Wielkim problemem w owych czasach nie było wariactwo, lecz to, że ludzkie mózgi były zbyt wielkie i zbyt kłamlive, by mogły być użyteczne.

Żadna pojedyncza istota ludzka nie mogła przypisywać sobie zasługi stworzenia takiej, idealnie wykonującej swoje zadanie, rakiety. Było to kolektywne osiągnięcie tego



typu ludzi, którzy zawsze łączyli swe umysły w pracy nad problemem, w jaki sposób opanować i skupić rozproszoną moc występującą w naturze, umieścić ją we względnie małych pojemnikach i cisnąć nimi w swoich wrogów.

Ja sam mam bardzo osobiste doświadczenia z tego typu spełnionymi marzeniami, wyniesione z Wietnamu, to znaczy doświadczenia z moździerzami, granatami i artylerią.

Gdyby nie pomoc człowieka, natura nigdy nie wpadłaby na to, że może być tak niszczycielska na tak małej przestrzeni.

Wspomniałem wcześniej o pewnej starej kobiecie, którą zastrzeliłem po tym, jak rzuciła granatem. Mógłbym opowiedzieć jeszcze masę historii o granatach, ale nie widziałem i nie słyszałem w Wietnamie takiej eksplozji, którą dałoby się porównać z tym, co się stało wtedy, gdy peruwiańska rakietka zetknęła się nosem — najbardziej obfitym w odsłonięte końce nerwów częścią swego ciała — z czaszą ekwadorskiego radaru.

Nikt dzisiaj nie interesuje się rzeźbiarstwem. Któż utrzymałby dziś dłuto lub palnik spawalniczy w płetwach lub w ustach?

Gdyby jednak gdzieś na wyspach miał stać monument uwieczniający kluczowe wydarzenie z przeszłości, to by się nadawało na temat: końcowy moment załotów rakiety do radarowej czaszy, tuż przed eksplozją.

Na cokole z lawy można by wyryć te oto słowa, wyrażające uczucia tych wszystkich, którzy przyłożyli rękę do zaprojektowania, wybudowania, sprzedaży, kupna i odpalenia rakiety, a także tych, dla których kruszące materiały wybuchowe były gałęzią przemysłu rozrywkowego.

*... taki koniec*

*Byłby czymś upragnionym*<sup>8</sup>

William Szekspir (1564-1616)

### 35

Dwadzieścia minut przedtem, nim rakietka dała francuskiego całusa radarowej czaszy, Kapitan Adolf von Kleist doszedł do wniosku, że zrobiło się już na tyle bezpiecznie, by mógł zejść z bocianiego gniazda „Bahii de Darwin”. Statek został okradziony do czysta i posiadał mniej powabów i przyrządów nawigacyjnych niż Okręt Jej Królewskiej Mości „Beagle”, a przecież ów dzielny drewniany żaglowiec wyruszył w

---

<sup>8</sup> Przekład S. Barańczaka

podróż dookoła świata 27 grudnia 1831 roku. Ostatecznie „Beagle” posiadał kompas, sekstant i nawigatorów, którzy, dzięki swojej wiedzy na temat gwiazd, potrafili ustalić ze znaczną dokładnością pozycję statku w mechanizmie wszechświata. Co więcej, na „Beagle” były lampy naftowe i świece, hamaki dla żeglarzy, materace i poduszki dla oficerów. Ktoś zdecydowany spędzić noc na „Bahii de Darwin” zmuszony byłby złożyć swą znużoną głowę na nagiej stali albo zrobić to, co zrobiła Hisako Hiroguchi, kiedy już nie była w stanie zapanować nad sennością. Hisako usiadła po prostu na klapie klozetowej muszli, oparła ręce na umywalce i położyła na nich głowę.

Porównałem tłum szturmujący hotel do pływowej fali, która przewaliła się wokół autobusu i już nie powróciła. O tłumie na nabrzeżu mógłbym powiedzieć, że podobny był raczej do tornada. Teraz ta okrutna trąba powietrzna powróciła na ląd wzmacniając się po drodze, jako że jej członkowie — taszczący homary, wino, sprzęt elektroniczny, zasłony, wieszaki, papierosy, fotele, zrolowane wykładziny, ręczniki, narzutki i tak dalej i dalej — sami stali się w tym czasie potencjalnym obiektem rabunku.

W końcu jednak Kapitan zszedł z bocianiego gniazda, kalecząc na szczeblach swoje bosc, delikatne stopy. Jak okiem sięgnąć, na całym nabrzeżu i na statku nie było nikogo. Kapitan udał się najpierw do swojej kabiny, jako że miał na sobie jedynie szorty. Żył nadzieję, iż szabrownicy zostawili co nieco z garderoby. Wszelako, kiedy przekręcił w kabinie kontakt, nic się nie stało, ponieważ wszystkie żarówki zginęły.

Poza tym energii nie brakowało, a to dzięki temu, że statek wciąż jeszcze posiadał spory jej zapas, zmagazynowany w bateriach akumulatorowych znajdujących się w maszynowni. To było tak: Złodzieje żarówek pograżyli maszynownię w ciemnościach, zanim rozkradziono akumulatory, generatory i rozruszniki. A zatem, w pewnym sensie, złodzieje żarówek nieświadomie wyświadczyli ludzkości wielką przysługę. Dzięki nim statek wciąż był zdolny do żeglugi. Chociaż pozbawiona przyrządów nawigacyjnych „Bahia de Darwin” była równie ślepa jak Selena MacIntosh, wciąż jednak była najszybszym statkiem w tej części świata i mogła, w razie potrzeby, pruć fale z największą szybkością przez dwadzieścia dni bez tankowania — pod warunkiem, że nie stanie się nic złego w totalnie zaciemnionej maszynowni.

Jak się jednak okazało, i to już po pięciu dniach pobytu na morzu, w pograżonej

w mroku maszynowni stało się coś bardzo, bardzo złego.

Kapitan, szukający po omacku jakichś ciuchów, bynajmniej nie planował żadnej morskiej podróży. W kabinie nie została nawet jedna chusteczka do nosa, nawet myjka. Poraz pierwszy w życiu Kapitan odczuł, co to znaczy deficyt tekstyliów, który wydał mu się w tym momencie jedynie drobną niedogodnością, a który miał ostro dać mu się we znaki w ciągu tych trzydziestu lat życia, jakie mu jeszcze zostały. Ubranie, które chroniłoby jego skórę przed palącym słońcem w dzień i przed chłodem w nocy, po prostu już nigdy nie miało być osiągalne. Jakże bardzo on i cała reszta pierwszych kolonistów zazdrościli Akiko, córce Hisako, jej futerka!

Wszyscy oprócz Akiko — póki nie urodziła ona swoich własnych, futerkowych dzieci — musieli nosić w ciągu dnia nietrwale czepki i kapelusze zmajstrowane z piór zszytych nićmi z rybich jelit.

Rzecz Mandarax:

*Człowiek to zwierzę dwunogie, bezióre.*

Platon (4277-347 p.n.e.)

Kapitan starał się w trakcie przeszukiwania kabiny nie robić zbytniego hałasu. Czuł się tak, jakby w jego głowie padał deszcz, i usiłował z całych sił zapanować nad tym uczuciem. Swoją drogą, tylko tyle był w stanie zrobić. Taki już po prostu był. Jak już wcześniej mówiłem, jego system trawienny wciąż jeszcze miał co robić. Jeszcze bardziej istotna dla spokoju jego ducha była świadomość, że nikt w niczym na nim nie polega. Przeciwnie ci, którzy okradli statek niemal ze wszystkiego, oni mieli licznych krewnych będących w potrzebie; krewnych, którzy zaczynali przewracać oczami, klepać się po brzuchach i wskazywać na swoje gardła tak jak kanka-bońskie dziewczynki.

Kapitan ciągle jeszcze zachowywał swoje słynne poczucie humoru i z większą niż kiedykolwiek swobodą dawał mu upust. W imię czego miałby obecnie udawać, że życie to poważna sprawa? Na statku nie pozostał nawet jeden szczur. Szczerze mówiąc, na „Bahii de Darwin” nigdy nie było szczurów, i tu mamy jeszcze jeden szczęśliwy dla ludzkości traf. Gdyby na brzeg Santa Rosalii zeszły także szczury, w ciągu około sześciu miesięcy nie zostałyby dla ludzi nic do jedzenia.

A potem szczury — już po zjedzeniu tego, co zostałyby z ludzi oraz z ich

współbraci — musiałyby zdechnąć same.

Rzeczce Mandarax:

*Szczury!*

*Walczące z psami, mordercy kotów,  
Śmierć niosą dzieciom śpiącym w kołyskach.  
Ser wyżreć z beczki każdy z nich gotów.  
Cóż, dla nich w kuchni panoszyć się w miskach  
Lub rozbić baryłkę z rybami — to fraszka,  
Tak samo jak w czapkach założyć gniazdka;  
A nawet, gdy gada z sąsiadką sąsiadka,  
Potrafią zagłuszyć je z zacnym wynikiem  
Kwikiem i krzykiem,  
Z bemołem, z krzyżykiem, w stu różnych tonacjach.*

Robert Browning (1812-1889)

Sprytnie palce Kapitana, wyręczające jego bezużyteczne w ciemnościach oczy, natrafiły na coś, co zdawało się butelką koniaku stojącą na spłuczce w jego toalecie. Była to w ogóle ostatnia butelka, jaka pozostała na statku, a jej zawartość była ostatnią substancją, od dziobu do rufy i od bocianiego gniazda do stępki, jaką ludzka istota była w stanie przetrwać. Rozumie się, rzecz jasna, że nie biorę pod uwagę kanibalizmu. Pomijam więc fakt, że sam Kapitan był zupełnie jadalny-

Dokładnie w chwili, w której palce Kapitana chwyciły zdecydowanie za szyjkę butelki, coś wielkiego i mocnego poczęstowało „Bahię de Darwin” bezwzględny ciosem. Co więcej, z pokładu łodziowego, znajdującego się poziom niżej, dobiegły jakieś męskie głosy. To było tak: Załoga holownika, który dostarczył paliwo i żywność kolumbijskiemu frachtowcowi „San Mateo”, sposobila się właśnie do uprowadzenia dwóch łodzi ratunkowych ze statku Kapitana. Marynarze odrzucili właśnie cumy dziobowe „Bahii de Darwin”, a holownik skierował jej dziób w stronę ujścia rzeki, tak by szalupę znajdującą się na sterburcie mogli spuścić na wodę.

Dzięki temu właśnie „Bahia de Darwin” przywiązana była do południowoamerykańskiego kontynentu już tylko przy pomocy jednej, rufowej cumy. Mówiąc poetycko, ta biała nylonowa cuma była pępownią całej dzisiejszej ludzkości.

Kapitan mógł, równie dobrze jak ja, robić za ducha „Bahii de Darwin”. Ludzie, którzy zabrali nasze łodzie ratunkowe, ani nie podejrzewali, że na statku jest jakakolwiek żywa dusza.

Całkowicie osamotniony, jeśli nie liczyć mnie, Kapitan postanowił się upić. Holownik, wraz z posłusznie podążającymi za nim szalupami, zniknął już w górze rzeki. „San Mateo”, oświetlony jak bożonarodzeniowa choinka, odpłynął już w przeciwnym kierunku, a więc Kapitan nie czuł się skrępowany i mógł wykrzyknąć z mostku wszystko, co tylko mu przyszło do głowy, nie zwracając na siebie niczyjej nieprzychylniej uwagi. Stał więc z rękoma na kole sterowym i wołał wśród wieczornych gwiazd:

— Człowiek za burtą!

Kapitan mówił o sobie.

Nie spodziewając się żadnego efektu, Kapitan nacisnął guzik uruchamiający lewy silnik. Z wnętrza statku dobiegło stłumione, głębokie dudnienie wielkiego diesla, będącego w idealnym stanie. Kapitan wcisnął więc drugi starter, ożywiający bliźniaczy prawy silnik. Ci niezawodni, pracujący bez słowa skargi niewolnicy przyszli na świat w Columbus, w stanie Indiana — niedaleko od uniwersytetu, w którym Mary Hepburn zdobyła stopień magistra biologii. Jaki ten świat jest mały.

To, że silniki nadal mogły pracować, było dla Kapitana po prostu jeszcze jednym dowodem na to, że należy się upić. Wyłączył więc silniki i było to z jego strony bardzo rozsądne. Gdyby pozwolił im pracować na tyle długo, aby naprawdę się rozgrzały, ta termiczna anomalia zwróciłaby na siebie elektroniczną uwagę peruwiańskiego myśliwca bombardującego, który krążył gdzieś w stratosferze. W Wietnamie posiadaliśmy tak czułe na różnice temperatury urządzenia, że potrafiły one wykryć w nocy obecność ludzi, a właściwie dużych ssaków, tylko dlatego, że ich ciała były odrobinę cieplejsze od otoczenia.

Pewnego razu zleciłem ogień zaporowy z powodu bawołu. Zazwyczaj jednak byli to ludzie, usiłujący podkraść się i — w miarę możliwości — zabić nas. Ale życie! Wolałbym już rzucić broń w krzaki i zostać rybakiem.

W tym też mniej więcej stylu rozmyślał na mostku Kapitan, to znaczy: „ale życie!” i tak dalej. Wszystko było dość zabawne, tylko nie bardzo chciało mu się śmiać. Uważał, że życie go zweryfikowało, że uznało go za nic niewartego i w związku z tym postanowiło z nim skończyć. Cóż, mało wiedział!

Kapitan, klapiąc bosymi stopami po gołej stali, wyszedł na pokład plażowy, znajdujący się za mostkiem i kabinami oficerów. Ponieważ pokład został ograbiony z wykładzin, zaczopowane otwory przeznaczone do umieszczenia w nich uzbrojenia były widoczne nawet w świetle gwiazd. Osobiście spawałem cztery spośród nich, chociaż większość mojej pracy, mojej najlepszej pracy, odbywała się głęboko pod pokładem.

Kapitan popatrzył na gwiazdy, a jego wielki mózg powiedział mu, że w skali kosmosu Ziemia jest nieistotnym pyłkiem kurzu i że nie ma większego znaczenia to, co się z nim stanie. Do tego właśnie wykorzystywały swoją nadmierną pojemność takie wielkie mózgi — do gładzenia w tym stylu. Dzisiaj już nie uświadczysz podobnie myślących ludzi.

Tak więc Kapitan dojrzał spadającą gwiazdę — meteoryt spalający się na krawędzi atmosfery, tam gdzie podpułkownik Reyes otrzymał właśnie komunikat, że Peru oficjalnie jest w stanie wojny z Ekwadorem. Spadająca gwiazda dała mózgowi Kapitana pretekst do ponownego zastanowienia się nad tym, jak bardzo ludzie są nieprzygotowani na ewentualność gradu meteorytów.

W chwilę potem od strony lotniska rozległ się huk potwornej eksplozji. Były to zaślubiny rakiety i radarowej czaszy.

Hotelowy autobus, cały wymalowany w głuptaki błękitnonogie, morskie iguany, pingwiny, bezlotne kormorany i tak dalej, stał w tym czasie przed szpitalem. \*Siegfried, brat Kapitana, miał właśnie udać się do środka, by zapewnić jakąś pomoc \*Waitowi, gdyż ten stracił przytomność. Atak serca, który spowodował, że zboczyli z drogi na lotnisko, niewątpliwie uratował życie wszystkim pasażerom autobusu.

Wielki bąbel fali uderzeniowej, wywołany wybuchem rakiety, był gęsty jak cegła. Pasażerom autobusu wydawało się, że to sam szpital wyleciał w powietrze. Okna autobusu zostały wgniecione do środka, lecz okazało się, że szyby naprawdę były bezodpryskowe. Żadna nie zmieniła się w szrapnel. Zamiast tego Mary, Hisako, Selena,

\*Kazak, biedny \*Wait, kanka-bońskie dziewczynki i brat Kapitana zostali zasypani czymś, co wyglądało jak białe ziarenka kukurydzy.

To samo zdarzyło się również na „Bahii de Darwin”. Okna zostały wepchnięte do wewnątrz i wszędzie chrzęściły pod nogami białe ziarenka.

Szpital, przed chwilą pełen światła, był teraz — tak jak całe miasto — zupełnie zaciemniony, a z wnętrza dobiegały wołania o pomoc. Dzięki Bogu, silnik autobusu wciąż był na chodzie, a jego reflektory oświetlały wąską drogę wiodącą pomiędzy gruzami. \*Siegfried, coraz bardziej sparaliżowany, wciąż jednak zdolny był do prowadzenia autobusu. Jakąż pomocą on lub ktokolwiek z autobusu mógłby służyć tym, którzy ocalili po wybuchu w szpitalu, o ile w ogóle ktoś ocalał?

Logika labiryntu gruzów spowodowała, że pełznący powoli autobus zaczął oddalać się od centrum eksplozji, to znaczy od lotniska, i skierował się w stronę nabrzeża. Droga, wiodąca przez moczary rozciągające się od skraju miasta do oceanu, była niemal zupełnie pozbawiona przeszkód w postaci gruzów, jako że fala uderzeniowa wszystko z niej zmiotła.

\*Siegfried von Kleist kierował się w stronę nabrzeża, ponieważ tak było najłatwiej. Tylko on wiedział, dokąd jada. Reszta pasażerów nadal okupowała podłogę autobusu. Mary Hepburn odciągnęła nieprzytomnego \*Waita od dziewczynek, tak że teraz leżał on na plecach, z jej kolanami pod głową. Wielkie mózgi Kanka-bonek zacięły się kompletnie, a to z braku najmniejszego nawet śladu jakiegokolwiek teorii na temat, co jest właściwie grane. Hisako Hiroguchi, Selena MacIntosh i \*Kazak były podobnie apatyczne.

Poza tym wszyscy byli głusi, ponieważ fala uderzeniowa wyrządziła wielką krzywdę najdrobniejszym kosteczkom, jakie posiadały ich ciała, kosteczkom ucha wewnętrznego. Nikt spośród nich już nigdy nie odzyskał normalnego słuchu. Z wyjątkiem Kapitana, pierwsi koloniści na Santa Rosalii byli nieco przygłusi, w związku z czym spora część ich konwersacji składała się ze zwrotów typu „hę?”, „głośniej!” i tak dalej, wypowiedzianych w tym lub innym języku.

Ów defekt nie był, na szczęście, dziedziczny.

Podobnie jak Andrew MacIntosh i Zenji Hiroguchi, pozostali nigdy nie dowiedzieli się, co też w nich trafiło — nie biorę pod uwagę wyjaśnień, jakie otrzymać można na drugim końcu błękitnego tunelu wiodącego w Zaświaty. Zaakceptowano teorię Kapitana, zgodnie z którą ta i następna eksplozja, jaka wkrótce będzie miała miejsce, zostały spowodowane uderzeniami rozpalonych do białości otoczków z kosmosu — aczkolwiek nie zaakceptowano jej bezkrytycznie, ponieważ Kapitan popełnił już tyle komicznych omyłek w tak wielu sprawach.

Młodszy, częściowo sparaliżowany brat Kapitana, któremu dzwoniło w uszach i któremu częściowo powracał słuch, zatrzymał autobus tuż przy „Bahii de Darwin”. \*Siegfried nie spodziewał się, że zastanie statek przy nabrzeżu. Nie zdziwił go natomiast fakt, że „Bahia de Darwin” tonęła w mroku, że najwidoczniej nie było na niej żywej duszy, że okna są wybite, szalupy gdzieś zniknęły i że statek trzyma się nabrzeża przy pomocy jednej zaledwie cumy rufowej. Oswobodzony dziób „Bahii de Darwin” znajdował się w pewnej odległości od nabrzeża, tak że jej trap zwisał nad wodą.

Statek został niewątpliwie splądrowany. Całe nabrzeże usiane było opakowaniami, kartonami i innymi śmieciami bezwartościowymi dla śmieciarzy.

\*Siegfried nie sądził, że ujrzy swego brata. Słyszał, że Kapitan opuścił Nowy Jork, ale nie wiedział nic o jego przybyciu do Guayaquil. O ile Kapitan znajdował się gdzieś w Guayaquil, przypuszczał \*Siegfried, prawdopodobnie już nie żył albo był ranny, a przynajmniej znajdował : w takiej sytuacji, w której nie mógł być dla nikogo pomocny. W tym punkcie historii nikt w Guayaquil nie był nadto w stanie pomóc komukolwiek.

Rzecz Mandarax:

*Pomóż sam sobie, a niebo pomoże.<sup>9</sup>*

Jean de La Fontane (1621-1695)

Przede wszystkim \*Siegfried pragnął znaleźć jakieś spokojne i bezpieczne miejsce w tym chaosie, i to mu się udało. Nie wyglądało na to, aby był tutaj ktoś jeszcze.

Wyszedł więc z autobusu, by zorientować się, czy nie dałoby się jakoś zapanować nad mimowolnymi konwulsyjnymi ruchami powodowanymi przez płasawicę Huntingtona. Spróbował zatem wykonywać rozmaite ćwiczenia — skoki, skłony,

---

<sup>9</sup> Przekład L. Staffa.



przysiady i tak dalej.

Wszedł księżyc.

A potem \*Siegfried ujrzał na plażowym pokładzie Bahii de Darwin” sylwetkę jakiegoś człowieka, usiłującego podnieść się na nogi.

Był to jego brat, ale \*Siegfried nie rozpoznał go, gdyż twarz tamtego ginęła w mroku.

Ponieważ słyszał wiele pogłosek, że statek jest nawiedzony, uwierzył więc, że zobaczył ducha. Myślał o mnie. myślał, że zobaczył Leona Trouta.

### 36

Kapitan, bądź co bądź, rozpoznał brata i krzyknął, a więc zrobił coś, co gdybym ja chciał zrobić, musiałbym się najpierw zmaterializować. Oto, co krzyknął Kapitan: — Witamy na „Przyrodniczej Wyprawie Stulecia”!

— Podoba mi się, jak naśladujesz ojca — powiedział. Cała rozmowa odbywała się w języku niemieckim, języku ich dzieciństwa, pierwszym, jaki poznali.

— Adi! — oburzył się \*Siegfried — to wcale nie jest zabawne!

— Wszystko jest zabawne — odparł Kapitan.

— Czy masz jakieś lekarstwa? Jakies jedzenie? Czy masz jeszcze łóżka? — pytał \*Siegfried.

Kapitan odpowiedział cytatem, dobrze znanym Mandaraxowi:

*Miałem wiele; nie mam nic. Resztę rozdałem biednym.*

François Rabelais (1494-1553)

— Jesteś pijany! — krzyknął \*Siegfried.

— No to co? — Kapitan odparł pytaniem na pytanie. — Jestem tylko błaznem.

Przypadkowy wstrząs, jaki koniak zafundował jego mózgowi, uczynił go cholernym egocentrykiem. W ogóle nie zastanawiał się nad tym, co dzieje się z cierpiącymi ludźmi w ciemnym i zniszczonym mieście niedaleko stąd.

— Wiesz, Ziggi, co powiedział jeden z moich marynarzy, kiedy usiłowałem powstrzymać go przed kradzieżą kompasu?

— Nie — odparł \*Siegfried i znowu zaczął płasnąć.

— Z drogi, ty błaznie! — krzyknął Kapitan i wybuchnął śmiechem. — Ośmielił

się powiedzieć tak do admirała, Ziggi. Powiesiłbym go na rei, hep! — gdyby ktoś nie podpieprzył, hep!, rei. O świcie, hep! — gdyby ktoś nie podpieprzył świtu.

Nawiasem mówiąc, ludzie wciąż jeszcze miewają czkawkę. I ciągle jeszcze nie potrafią nad nią zapanować, czy chcą tego, czy nie. Często słyszę ich czkawkę, gdy — leżąc na szerokich białych plażach lub taplając się w błękitnych lagunach — nagle urywają w pół słowa i spazmatycznie wciągają powietrze. O ile to w ogóle możliwe, wydaje mi się, że ludzie czkają dziś częściej niż milion lat temu. Sądzę, że nie tyle ma to związek z ewolucją, co z faktem, że tak wielu z nich łyka surowe ryby nie przeżuwszy ich przedtem należycie.

### (LUDZIE)

I ciągle jeszcze ludzie śmieją się równie często jak niegdyś, i to pomimo zredukowanych mózgow. Jeśli leżą w grupce na plaży i któryś z nich pierdnie, wszyscy śmieją się i śmieją, dokładnie tak, jak to robili ludzie milion lat temu.

### 31

— Hep! — kontynuował Kapitan. — Okazuje się teraz, że miałem rację, hep!, \*Siegfried. Od dawna mówiłem, że powinniśmy spodziewać się spadających od czasu do czasu wielkich meteorytów. No i, hep! właśnie się to, hep! stało.

— To szpital wyleciał w powietrze — sprostował \*Siegfried. Tak mu się po prostu wydawało.

— Żaden szpital nie wylatuje w ten sposób w powietrze — kategorycznie stwierdził Kapitan i — ku konsternacji \*Siegfrieda — wspiął się na nadburcie i szykował się do skoku na ląd. Odległość nie była zbyt wielka, około dwóch metrów, ale Kapitan był zalany w pestkę.

Krótki lot zakończył się jednak sukcesem i Kapitan wylądował na kolanach obok brata. Wyleczyło go to z czkawki.

— Czy ktoś jeszcze jest na statku? — zapytał \*Siegfried.

— Oprócz nas, jeleni, nie ma tu nikogo — odparł Kapitan. Nie miał zielonego pojęcia, że on i \*Siegfried są odpowiedzialni za kogokolwiek poza sobą. W autobusie wszyscy nadal tkwili na podłodze. Nawiasem mówiąc, \*Siegfried powierzył Mary Hepburn Mandaraxa, na wypadek gdyby potrzebowała skomunikować się z Hisako

Hiroguchi. W przypadku Kanka-bonek Mandarax, jak już mówiłem, był zupełnie nieprzydatny.

Kapitan, któremu udało się położyć rękę na trzęsących się ramionach \*Siegfrieda, powiedział:

— Nie bój się, braciszku. Pochodzimy z długiej linii twardzieli. Cóż to dla von Kleistów jakiś deszczyk meteorytów?

— Adi — powiedział \*Siegfried — czy można w jakiś sposób przyciągnąć statek bliżej nabrzeża?

Uważał, że ludzie z autobusu czuliby się na pokładzie nieco bezpieczniej i nie byłoby im tak ciasno.

— Pierdol statek. Nic na nim nie zostało — odparł Kapitan. — Podejrzewam, że podpieprzono nawet starego Leona.

I znowu: To mnie miał na myśli Kapitan.

— Adi — powiedział \*Siegfried — w autobusie jest dziesięć osób, z czego jedna cierpi na atak serca.

Kapitan zerknął w stronę autobusu.

— W jaki sposób stali się niewidzialni? — zapytał. Powróciła mu czkawka.

— Siedzą przykucnięci na podłodze i umierają ze strachu — wyjaśnił \*Siegfried. — Powinieneś otrzeźwieć, Adi. Ja nie mogę się nimi zająć. A ty zrobisz, co uznasz za stosowne. Ja już na zawsze straciłem kontrolę nad swoimi ruchami. W końcu to się stało — mam chorobę ojca.

Dla Kapitana czas się jak gdyby zatrzymał. To złudzenie nie było mu obce. Doświadczał go kilka razy w roku — za każdym razem, kiedy otrzymywał wieści, z których nie potrafił się śmiać. Wiedział, że aby uruchomić czas, musi wyprzeć złe wiadomości.

— To nieprawda — powiedział. — Nie może tak być.

— Sądzisz, że tańczę z radości? — zapytał \*Siegfried i znowu puścił się w niekontrolowane płąsy, oddalając się od brata.

Po chwili znowu znalazł się blisko niego, równie mimowolnie, i powiedział:

— Ze mną już koniec. Z chorobą prawdopodobnie też. Ostatecznie nigdy się nie rozmnożyłem, dzięki czemu żadna nieszczęsna kobieta nie wydała na świat jeszcze

jednej potworności

— Czuję się taki bezradny — powiedział Kapitan i dodał żałośnie — i tak kurewsko pijany. Jezu — byłem przekonany, że nie będę już więcej musiał za cokolwiek odpowiadać. Jestem pijany. Nie potrafię myśleć. Powiedz mi, co robić, Ziggi?

Kapitan był zbyt pijany, by móc zrobić cokolwiek, stał więc z boku z opadniętą szczęką i wytrzeszczonymi oczami, podczas gdy Mary Hepburn, Hisako i \*Siegfried — ilekroć tylko biedak był w stanie opanować niechciane płasy — przyciągnęli rufę statku tak, że wystawała nad nabrzeże, i zaparkowali pod nią autobus, który mógł posłużyć dzięki temu jako drabina prowadząca na najniższy pokład „Bah<sup>^</sup>i de Darwin”, nieosiągalny w inny sposób.

Ach, no tak, moglibyście powiedzieć teraz na przykład: „Czyż to nie było pomysłowe?” i „Nigdy by tego nie zrobili, gdyby nie ich wielkie, wspaniałe mózgi”, a także: „Zakład, że nikt dzisiaj nie wykoncypowałby niczego w tym stylu” i tak dalej. Powiem zatem raz jeszcze, że ci ludzie nie musieliby wykazywać się taką zaradnością, gdyby nie okazało się, że planeta praktycznie nie nadaje się do życia z powodu tworów i działań wielgachnych mózgów innych ludzi.

Rzecz Mandarax:

To, co stracimy na karuzeli, odbijemy sobie na huśtawce.

Patrick Reginald Chalmers (1872-1942)

Największych problemów spodziewano się z powodu nieprzytomnego \*Jamesa Waita. Jednak najbardziej kłopotliwą osobą okazał się Kapitan, który był zbyt pijany, by mogli mu zaufać na tyle, by włączyć go do żywego łańcucha; był zdolny jedynie do uwalenia się na tylne siedzenie autobusu, gdzie mógł przeklinać swoje pijaństwo.

Czkawka znowu dała o sobie znać.

A oto w jaki sposób przetransportowano Jamesa Waita na statek: Na nabrzeżu było dość cumy, by Mary mogła upleść dla niego coś w rodzaju uprzęży. To był jej własny pomysł, od a do z. Bądź co bądź, Mary była doświadczoną alpinistką. Ubranego w tę uprzęż \*Waita położono przy autobusie. Następnie Mary, Hisako i \*Siegfried wciągnęli go na dach tak delikatnie, jak tylko się dało. Potem przenieśli go we troje ponad nadburciem na główny pokład. Jeszcze później \*Wait został przetransportowany na pokład plażowy, gdzie miał odzyskać przytomność na krótko, choć nie na tak krótko,

aby on i Mary Hepburn nie zdążyli zostać mężem i żoną.

Po wszystkim \*Siegfried powrócił do Kapitana, by oznajmić mu, że nadeszła jego kolej na zaokrętowanie. Kapitan, wiedząc, że w trakcie wspinaczki na dach może zrobić z siebie durnia, wyraźnie grał na zwłokę. Skakanie po pijanemu było łatwe. Wdrapywanie się na coś, co było minimalnie nawet skomplikowane, stanowiło jednak zupełnie co innego. Dlaczego milion lat temu tak wielu z nas umyślnie nokoutowało swe mózgi alkoholem, pozostaje do dziś intrygującą zagadką. Być może usiłowaliśmy w ten sposób skierować ewolucję na właściwe tory — w kierunku zmniejszenia ludzkich mózgów.

Tak więc Kapitan, grając na czas i starając się przemawiać rozsądnie i w sposób zjednujący szacunek — aczkolwiek ledwo mógł powstać z siedzenia — powiedział do brata:

— Nie jestem wcale pewien, czy ten człowiek jest na tyle zdrowy, aby go przenosić.

\*Siegfried zupełnie już stracił do niego cierpliwość.

— To ci dopiero cholerny pech — powiedział — właśnie przenieśliśmy tego biednego sukinsyna. A może powinniśmy byli wezwać helikopter i odstawić go prosto na wesele do hotelu „Waldorf-Astoria”?

I to były ostatnie słowa, jakie zamienili bracia von Kleist, nie licząc „hooop!”, „...iii raz!” i „dawaj!” i tym podobnych, kiedy Kapitan raz po razie włąził i spadał z dachu autobusu.

W końcu udało mu się ta sztuka, aczkolwiek czuł się kompletnie upokorzony. Był w końcu przecież zdolny do przejścia z dachu na pokład bez dodatkowej pomocy I wtedy \*Siegfried polecił Mary, by wraz z resztą ludzi weszła na statek i zajęła się \*Waitem, o którym wszyscy myśleli, że nazywa się Willard Fleming. Mary postąpiła zgodnie z instrukcją, myśląc przy tym, że wejście na dach bez żadnej pomocy było dla Kapitana kwestią męskiego honoru.

Na brzegu został już tylko \*Siegfried, patrzący na nich z dołu. Wszyscy spodziewali się, że i on wejdzie na statek lecz tak się nie stało. Zamiast tego \*Siegfried ponownie zasiadł za kierownicą autobusu. Pomimo iż jego kończyny podrywały się raz w ten, a raz w inny sposób, udało mu się uruchomić silnik. Jego plan był taki: skierować się w stronę miasta z możliwie największą szybkością i zabić się zderzając z czymkolwiek odpowiednim.

Zanim zdążył wrzucić bieg, został oszołomiony falą uderzeniową kolejnej niesamowitej eksplozji. Tym razem nie łupnęło ani w mieście, ani w jego najbliższej okolicy. To było gdzieś w dole rzeki, na właściwie nie zamieszkanym moczarach.

### 38

Druga eksplozja była podobna do pierwszej. Rakieta poślubiła radarową czaszę. W tym przypadku była to czasza radaru umieszczonego na małym kolumbijskim frachtowcu „San Mateo”. Ricardo Cortez, peruwiański pilot, który ożywił rakieta, wyobrażał sobie, iż dzięki temu zakochała się ona w „Bahii de Darwin”, która jednak, bez radaru i tym podobnych rzeczy, była — przynajmniej z punktu widzenia tych osobliwych rakiet — zupełnie pozbawiona sexappealu.

Major Cortez popełnił coś, co nazywano milion lat temu „uczciwą pomyłką”.

Należy w tym miejscu wyjaśnić, że Peru nigdy nie zaatakowałyby „Bahii de Darwin”, gdyby „Przyrodnicza Wyprawa Stulecia” odbywała się zgodnie z planem i statek był pełen znakomitości. Peru nie byłoby aż tak niewrażliwe na opinię światową. Ale odwołanie wyprawy przeobraziło „Bahię de Darwin”, ni stąd, ni zowąd, w potencjalny transportowiec wojskowy, wylądowany — każdy rozsądny człowiek się z tym zgodzi — ludźmi nadającymi się do skutecznego wysadzenia w powietrze, potraktowania napalmem lub ostrzelania z broni maszynowej, krótko mówiąc — wylądowany tzw. „personalem bojowym Marynarki”.

Tak więc Kolumbijczycy płynęli sobie gdzieś wśród moczarów, kierując się w stronę otwartego oceanu i domu, spożywając pierwszy od tygodni przyzwoity posiłek, w błogim przeświadczeniu, że radar czuwa nad ich bezpieczeństwem niczym obrotowa Matka Boska, która nigdy nie pozwoli, aby stała im się jakakolwiek krzywdą. Cóż, mało wiedzieli.

Nawiasem mówiąc, to, co jedli, było pewną starą krową, która nie była już w stanie dawać wymaganej ilości mleka. A oto powód, dla którego dostarczono ją na „San Mateo” okrytą brezentem — ponieważ wciąż jeszcze żyła. Wciągnięto ją na pokład od strony niewidocznej z nabrzeża, aby nie dostrzegli jej ludzie znajdujący się na brzegu. Niektórzy z nich byli na tyle zdesperowani, iż mogliby z jej powodu popełnić

morderstwo.

Ta krowa była cholernie dużym magazynem protein.

Sposób, w jaki wciągnięto ją na pokład, był wielce interesujący. Nie użyto ani stropu, ani siatki ładunkowej. Zamiast tego marynarze zrobili krowie koronę ze sznura okręconego wokół rogów. W tej poplątanej koronie umieścili następnie stalowy hak, przymocowany do liny pokładowego dźwigu. A potem operator dźwigu zaczął zwijać linę, w związku z czym krowa zadyndała w powietrzu — po raz pierwszy w życiu w pozycji pionowej. Z opuszczonymi zadnimi nogami, sterczącymi wymionami i przednimi nogami w pozycji horyzontalnej prezentowała układ typowy dla kangura.

W procesie ewolucji, który doprowadził do powstania tak wielkich ssaków, nie wzięto pod uwagę, by krowa mogła znaleźć się w tak nietypowej pozycji, w której ciężar całego ciała obciąży jej szyję. Kiedy krowa znalazła się w powietrzu, jej szyja zaczęła upodabniać się do szyi głuptaka błękitnonogiego, łabędzia lub bezłotnego kormorana.

Dla pewnego rodzaju wielkich mózgow z tamtej epoki krowie doświadczenia z lataniem mogły stanowić dobry powód do śmiechu. Można było o niej powiedzieć wszystko, z wyjątkiem tego, że jest pełna gracji.

A kiedy w końcu opuszczono ją na pokład „San Mateo”, była ukrzywdzona do tego stopnia, że nie mogła się podnieść. Lecz tego właśnie się spodziewano i jej stan zyskał pełną akceptację. Na podstawie sporego doświadczenia marynarze wiedzieli, że potraktowane w ten sposób bydło jest w stanie przeżyć jeszcze tydzień lub więcej, co zabezpiecza mięso przed zepsuciem do chwili, kiedy przyjdzie czas, by je zjeść. To, co zrobiono krowie, było skróconą wersją tego, co niegdyś, w czasach żaglowców, robiono wielkim lądowym żółwiom.

I w tym, i w tamtym przypadku można się było obejść bez lodówki.

Szczęśliwi Kolumbijczycy przeżuwali i przetykali właśnie krowie mięso, kiedy zostali rozerwani na strzępy przez najbardziej zaawansowany twór w ewolucji kruszących materiałów wybuchowych, zwany „dagonitem”. Dagonit był, że tak powiem, synem znacznie słabszego materiału produkowanego przez tę samą firmę i nazwanego „glacco”. Glacco spłodził dagonita, a obydwa były potomkami greckich ogni, prochu,

dynamitu, kordytu i trotylu.

Można zatem powiedzieć, że Kolumbijczycy, którzy tak obrzydliwie obeszlą się z krową, zostali ukarani szybko i okrutnie — głównie dzięki wielkomózgim wynalazcom dagonitu.

Biorąc pod uwagę to, jak źle Kolumbijczycy potraktowali krowę, major Ricardo Cortez, lecący szybciej niż dźwięk, mógł uchodzić za kogoś w rodzaju prawego rycerza z zamierzchłej epoki. Szczerze mówiąc, major Cortez tak właśnie się czuł, chociaż nie miał pojęcia ani o krowie, ani o tym, w co trafiła jego rakietą. Zameldował przez radio swoim przełożonym, że „Bahia de Darwin” została zniszczona. Poprosił, aby przekazano jego najlepszemu przyjacielowi, podpułkownikowi Reyesowi — który tymczasem już wylądował, a po południu zniszczył był lotnisko w Guayaquil — następującą wiadomość: „Tak, to prawda.”

Chciał w ten sposób dać Reyesowi do zrozumienia, że zgadza się z jego opinią, iż odpalenie rakiety jest równie podniecające jak stosunek płciowy. Nigdy jednak nie dowiedział się, że nie trafił „Bahii de Darwin”, a krewni i przyjaciele obróconych w hamburgery Kolumbijczyków nigdy nie poznali prawdy na temat tego, co się z nimi stało.

Zgodnie z kategoriami teorii Darwina rakietą, która trafiła w lotnisko, była o wiele bardziej efektywna od tej, która trafiła w „San Mateo”. Rakietą Reyesa zabiła tysiące ludzi, ptaków, psów, kotów, szczurów, myszy i tym podobnych, które — gdyby nie ona — mogłyby się w dalszym ciągu rozmnażać.

Eksplozja na moczarach zabiła zaledwie czternastu marynarzy i około pięciuset okrętowych szczurów, a także kilkaset ptaków, trochę krabów, ryb i tym podobnych.

Atak okazał się jednak bezskuteczny głównie na najniższym szczeblu łańcucha pokarmowego, okupowanym przez miliardy miliardów mikroorganizmów, które — razem ze swoimi ekskrementami i zwłokami swoich przodków — składały się na ohydę moczarów. Eksplozja nie sprawiła im większego kłopotu, ponieważ w ogóle nie były wrażliwe na coś takiego, jak nagły ruch i równie nagle hamowanie. Nigdy nie udałoby im się popełnić samobójstwa tak, jak zaplanował to sobie siedzący za kierownicą autobusu



\*Siegfried von Kleist — przez rozpedzenie się i nagle zatrzymanie.

Mikroorganizmy po prostu przeniosły się nagle z jednego środowiska do drugiego. Wzbiły się w powietrze, zabierając zresztą przy okazji mnóstwo swojego starego środowiska, a potem opadły z powrotem na dół. W wyniku eksplozji wiele z nich przeżyło okres niebywalej prosperity, konsumując to, co pozostało z krowy, szczurów, załogi i innych wyższych form życia.

Rzecz Mandarax:

*Wspaniale jest widzieć, jak niewiele potrzeba naturze do szczęścia.*

Michel Eyquem de Montaigne (1533-1592)

Detonacja dagonitu, syna glacco, bezpośredniego potomka szlachetnego dynamitu, spowodowała w ujściu rzeki sześciometrową falę pływową, a ta zmyła z nabrzeża i utopiła Siegfrieda von Kleista, który i tak pragnął umrzeć.

O wiele ważniejsze jest to, że fala zerwała białą nylonową pępowinę, wiążącą przyszłość ludzkości z kontynentem.

Fala uniosła „Bahię de Darwin” na odległość mniej więcej kilometra w górę rzeki, gdzie delikatnie osadziła ją na mieliźnie przy błotnistym brzegu. Oświetlał ją nie tylko księżyc, ale i blade, trzaskające płomienie widoczne nad całym Guayaquil.

Kapitan dotarł na mostek. Uruchomił bliźniacze diesle drzemiące w ciemnościach pod pokładem. Puścił w ruch obydwie śruby i „Bahia de Darwin” ześliznęła się z błota. Była wolna.

Kapitan skierował statek w dół rzeki, w stronę otwartego oceanu.

Rzecz Mandarax:

*Okręt, oderwana cząsteczka ziemi, podązał samotny i szybki jak mola planeta.*

Joseph Conrad (1857-1924)

A „Bahia de Darwin” nie była już żadnym okrętem. Z punktu widzenia ludzkości, stała się nową arką Noego.

## KSIĘGA DRUGA

**I stało się tak**

## 1

I stało się tak, że pewnej nocy biały motorowiec — pozbawiony map, kompasu i świateł pozycyjnych — rozcinał zimne fale otwartego oceanu z pełną szybkością. W opinii ludzkości ten statek już nie istniał. W opinii ludzkości to „Bahia de Darwin”, a nie „San Mateo”, została rozerwana na strzępy.

Był to okręt-widmo, błakający się z dala od lądu, unoszący na zachód ku nieznaney przygodzie geny swojego kapitana i siedmiu spośród dziesięciu pasażerów; ku przygodzie, której efekty widoczne są po upływie miliona lat.

Byłem widmem na statku-widmie. Byłem synem wielkomózgiego pisarza science fiction, który nazywał się Kilgore Trout.

Byłem dezserterem z piechoty morskiej USA.

Otrzymałem azyl polityczny, a potem obywatelstwo Szwecji, gdzie mieszkałem i gdzie podjąłem pracę jako spawacz w stoczni, w Malmö. Pewnego dnia, podczas pracy we wnętrzu kadłuba „Bahii de Darwin” zostałem bezboleśnie zdekapitowany przez spadający arkusz stalowej blachy i wtedy właśnie odmówiłem wejścia do błękitnego tunelu wiodącego w Zaświaty.

Zawsze byłem w stanie się zmaterializować, lecz zrobiłem to tylko jeden jedyny raz, na samym początku tej zabawy — przez parę mokrych i burzliwych chwil na północnym Atlantyku, w czasie sztormu, na jaki trafił mój statek podczas podróży z Malmö do Guayaquil. Pojawiłem się na bocianim gnieździe, gdzie dostrzegł mnie pewien pijany szwedzki marynarz. Moje zdekapitowane ciało zwrócone było w stronę rufy. W podniesionych wysoko rękach trzymałem moją odciętą głowę, tak jakby to była piłka do koszykówki.

A kiedy stałem obok Kapitana von Kleista na mostku „Bahii de Darwin”, gdzie wspólnie oczekiwaliśmy świtu po pierwszej nocy naszej szalonej podróży z Guayaquil, byłem całkowicie niewidzialny. Kapitan czuwał przez całą noc i był już zupełnie trzeźwy, chociaż cierpiał na gigantycznego kaca, którego opisał Mary Hepburn jako „złotą śrubę pomiędzy oczami”.

Kapitan posiadał również i inne pamiątki z poprzedniego wieczoru ponizającej hulanki — stłuczenia i otarcia, jakich nabawił się w trakcie prób wdrapania się na dach

autobusu. Wyjaśnił Mary, że nigdy by się tak nie schlał, gdyby wiedział, że zostanie obarczony jakąkolwiek odpowiedzialnością. Mary również nie spała, pielęgnując przez całą noc \*Jamesa Waita, leżącego na pokładzie plażowym za oficerskimi kabinami.

\*Wait, ze zrolowaną bluzą Mary w charakterze poduszki, leżał na pokładzie, ponieważ w kabinach było zbyt ciemno. Na zewnątrz przynajmniej świeciły gwiazdy. Po wschodzie słońca planowano przenieść go do kabiny, by nie usmażył się na stalowych płytach pokładu.

Wszyscy inni znajdowali się na pokładzie łodziowym. Selena MacIntosh spała w głównym salonie, używszy swego psa zamiast poduszki. Były tam również kanka-bońskie dziewczynki. W charakterze poduszek wykorzystały siebie nawzajem. Hisako spała w toalecie, wklonowana pomiędzy klozet a umywalkę.

Mandarax, którego Mary powierzyła Kapitanowi, spoczywał w szufladzie na mostku. Była to jedyna szuflada na całym statku, która coś zawierała. Ponieważ była lekko wysunięta, Mandarax usłyszał i przetłumaczył wiele z tego, co mówiono tej nocy. Dzięki przypadkowemu ustawieniu przełożył wszystko na kirgiski, łącznie z planem działania, wygłoszonym przez Kapitana. Ów plan był następujący: Powinni skierować się prosto na jedną z wysp Galapagos, na Baltrę, gdzie znajdują się odpowiednie doki, lotnisko i mały szpital. Poza tym Baltra posiada silną radiostację, dzięki której będzie można się dowiedzieć, co naprawdę spowodowało owe dwie eksplozje i co się dzieje z resztą świata, o ile grad meteorytów miał globalny zasięg lub — jak podejrzewała Mary — o ile wybuchła trzecia wojna światowa.

Tak, i ten plan mógł równie dobrze zostać przełożony na kirgiski lub jakiś inny, praktycznie niezrozumiały dla nikogo język, ponieważ statek znajdował się na kursie, który prowadził wszędzie, tylko nie na wyspy Galapagos.

Do tak wielkiego zboczenia z kursu wystarczyłaby sama ignorancja Kapitana. Lecz on pogmatwał wszystko już w czasie pierwszej nocy — kiedy był jeszcze pijany — nieustannie zmieniając kurs, by ominąć te miejsca na oceanie, w które mogły trafić meteoryty. Pamiętajmy, iż jego wielki mózg kazał mu wierzyć, że ziemia jest właśnie bombardowana przez grad meteorytów. Za każdym razem, gdy dostrzegł spadającą gwiazdę, spodziewał się, że trafi ona w ocean i spowoduje falę pływową.

Sterował więc w ten sposób, by przyjąć falę na ostry dziób statku. Kiedy weszło

słońce, statek — dzięki wielkiemu mózgowi Kapitana — mógł znajdować się dosłownie wszędzie i płynąć dosłownie dokądkolwiek.

Siedząca obok \*Jamesa Waita Mary Hepburn, zawieszona pomiędzy snem a jawą, robiła coś, czego już nie robią ludzie nie mający dostatecznie dużych mózgów. Na nowo przeżywała przeszłość. Znowu była dziewicą. Leżała w śpiworze. O pierwszym brzasku dnia obudził ją krzyk lelka kozodoja. Znajdowała się w pewnym parku stanowym w Indianie — żywym muzeum, szczątku tego, co istniało tu, zanim jeszcze Europejczycy zdecydowali, że żadne zwierzę ani roślina nie będą tolerowane, o ile nie dadzą się obłaskawić i zjeść. Kiedy młoda Mary wytknęła głowę ze swojego kokonu, ze śpiwora, ujrzała gnijące pnie i jakiś nie ogroblony strumień. Leżała na aromatycznej mierzwie eonów śmierci i rozpadu. Znajdowało się tam mnóstwo jedzenia, o ile byłeś mikroorganizmem lub potrafiłeś strawić liście, lecz nie było żadnego uczciwego posiłku dla ludzkiej istoty sprzed miliona trzydziestu lat.

Był początek czerwca. Było cudownie.

Krzyk ptaka dochodził z gęstwy sumaku i wrzośca oddalonej o jakieś pięćdziesiąt kroków. Mary ucieszyła się z tego budzika, ponieważ kładąc się spać zamierzała obudzić się właśnie o tej porze. Myślała przed zaśnięciem o swoim śpiworze jak o kokonie i postanowiła, że o świcie wynurzy się z niego wijąc się lubieżnie jako dorosły osobnik.

Co za radość!

Jaka satysfakcja!

Było idealnie, mimo że przyjaciółka, którą Mary wzięła z sobą, jeszcze spała.

Mary zakradła się cicho po sprężystej leśnej ściółce do zarośli, by zobaczyć ptaka. Zamiast niego ujrzała wysokiego, chudego młodzieńca w mundurze marynarza. To właśnie on naśladował przenikliwy krzyk lelka kozodoja. Był to Roy, jej przyszły mąż.

Mary poczuła się zaniepokojona i zbита z tropu. Marynarski mundur w głębi kraju wydał jej się wyjątkowo dziwacznym szczegółem. Czowała się intruzem i czuła że, być może, powinna się bać. Lecz gdyby ów dziwny osobnik zamierzał się do niej zbliżyć, musiałby wpieryć się przez kępę wrzośca. Mary spała w ubraniu, więc była kompletnie odziana, nie licząc bosych stóp.

Młody człowiek usłyszał zbliżającą się Mary. Miał zdumiewająco ostry słuch. Podobnie jak jego ojciec. To było u nich rodzinne. Pierwszy się też odezwał.

— Cześć — powiedział.

— Cześć — odparła Mary. Mawiała później, że uważała się za jedyną istotę w rajskim ogrodzie, aż tu nagle natknęła się na to stworzenie w marynarskim uniformie, które zachowywało się tak, jakby było właścicielem dosłownie wszystkiego.

— Co pan tu robi? — zapytała.

— Sądzę, że ludzie nie mogą spać w tej części parku — odparł. Miał rację i Mary o tym wiedziała. Ona i jej przyjaciółka pogwałciły obowiązujące w żywym muzeum przepisy. Przebywały na obszarze, gdzie nocą mogły znajdować się jedynie niższe gatunki zwierząt.

— Jest pan marynarzem? — zapytała Mary. Młodzieniec odparł, że owszem, jest — a właściwie

dopiero co przestał nim być. Niedawno został zdemobilizowany z marynarki i przed powrotem do domu wędruje po kraju. Przekonał się, że ludzie o wiele bardziej skłonni są do brania go na łebka, kiedy jest w mundurze.

Dzisiaj nie ma żadnego sensu pytanie, które Mary zadała Royowi, czyli: „Co pan tutaj robi?” Powody, dla których jest się tu czy gdzie indziej, są nieodmiennie te same i zupełnie oczywiste. Nikt dzisiaj nie opowiadałby tak pogmatwanej historii jak Roy: że został zwolniony ze służby w San Francisco, że spieniężył swój bilet i kupił sobie śpiwór; że szwendał się po Wielkim Kanionie, po Parku Narodowym Yellowstone i innych miejscach, które zawsze chciał zobaczyć. Że zwłaszcza interesują go ptaki i że potrafi naśladować ich głosy.

Roy powiedział jeszcze, że słyszał w radio, jakoby w tym właśnie niewielkim parku stanowym w Indianie zaobserwowano *Campephilus principalis*, to znaczy parkę dzięciołów uważanych już za wymarłe. Udał się więc prosto tutaj. Pogłoska okazała się nieprawdziwa. Te wielkie ptaki, mieszkańcy pierwotnych lasów, naprawdę wyginęły, ponieważ ludzkie istoty zniszczyły ich środowisko naturalne. Nie było już dla nich wystarczająco dużo gnijących drzew, ciszy i spokoju.

— Te dzięcioły potrzebowały naprawdę mnóstwo spokoju i ciszy — powiedział

Roy — tak samo jak ja, a także i pani, jak sędzę, a zatem bardzo przepraszam, że zakłóciłem pani spokój. Nie powinienem był robić tego, czego nie zrobiłby ptak.

W mózgu Mary kliknęło jakieś automatyczne urządzenie; poczuła chłodny skurcz w brzuchu i odniosła wrażenie, że miękną jej kolana. Zakochała się w tym człowieku.

Żadne z nich nie przeżyło już później czegoś takiego.

2

\* James Wait przerwał zadumę Mary następującymi słowami:

— Tak bardzo panią kocham. Proszę, niech pani za mnie wyjdzie. Jestem taki samotny. Bardzo się boję.

— Powinien pan oszczędzać siły, panie Flemming — odparła Mary. \* Wait proponował jej małżeństwo regularnie przez całą noc.

— Proszę mi dać rękę — poprosił.

— Ilekroć to robię, pan nie chce jej puścić — odparła Mary.

— Obiecuję, że teraz będzie inaczej — powiedział. Więc Mary podała mu rękę, a on uściśnął ją słabo. Nie myślał ani o przyszłości, ani o przeszłości. Był niczym więcej niż chorym sercem, dokładnie w ten sposób, w jaki wciśnięta pomiędzy drgający klozet a umywalkę Hisako Hiroguchi była macicą i płodem.

Hisako uważała, że gdyby nie jej nie narodzone dziecko, nie miałyby po co żyć.

Ludzie dzisiaj wciąż czkają tak jak zawsze i jak zawsze uważają, że to zabawne, kiedy ktoś pierdnie. Jak zawsze też starają się pocieszyć chorych zwracając się do nich łagodnym głosem. Ton głosu, jakim przemawiała Mary do \* Waita, jest dzisiaj równie często spotykany. Bez względu na słowa, sam ton komunikował chorej osobie coś, co ta osoba pragnęła usłyszeć; coś, czego pragnął milion lat temu \* James Wait.

Mary mówiła do niego o tym różnymi słowami, ale sam ton jej głosu dostarczał jednobrzmiących posłań: „Kochamy cię. Nie jesteś sam. Wszystko będzie dobrze” i tak dalej.

Żaden z dzisiejszych pocieszycieli nie ma za sobą, rzecz jasna, tak skomplikowanego życia miłosnego, jak Mary Hepburn, a żaden cierpiący nie przeżył

takich komplikacji uczuciowych jak \* James Wait. Love story każdego z dzisiejszych ludzi sprowadza się do najprostszego z możliwych pytania, a mianowicie, czy dana osoba brała udział w rui, czy nie. Współcześni mężczyźni i współczesne kobiety interesują się sobą, guziczkami na swoich płetwach i tak dalej, jedynie dwa razy do roku, a jeśli łowiska są ubogie — tylko raz. Tak wiele zależy od ryb.

Mary Hepburn i \* James Wait mogli zniszczyć swój zdrowy rozsądek miłością niemal w każdej chwili, o ile okoliczności byłyby sprzyjające.

Tu, na pokładzie plażowym, tuż przed wschodem słońca, \* Wait był autentycznie zakochany w Mary, a Mary była szczerze zakochana w \*Waicie — a raczej w swoim wyobrażeniu o nim. Przez całą noc zwracała się do niego per „panie Flemming”, a on nie poprosił, by mówiła mu po imieniu. Dlaczego? Ponieważ nie mógł sobie przypomnieć, jak właściwie brzmi jego imię.

— Uczynię panią bardzo bogatą osobą — powiedział.

— Tsss... — odparła Mary — ciiii...

— Same tylko oszczędności... — kontynuował.

— Powinien pan oszczędzać siły, panie Flemming — upomniała go Mary.

— Proszę wyjść za mnie — poprosił jeszcze raz.

— Porozmawiamy o tym na Baltrze — ucięła Mary. Mówiła mu o Baltrze jak o czymś, dla czego warto żyć.

Przez całą noc gaworzyła i mruczała do niego o wszystkich dobrych rzeczach, które oczekują ich na Baltrze, jak gdyby ta wyspa była jakimś rajem pełnym aniołów i świętych czekających na nabrzeżu, aby powitać ich i obdarować wszelkim możliwym jedzeniem i lekarstwami. \* Wait wiedział, że umiera.

— Zostanie pani bardzo bogatą wdową — powiedział.

— Proszę o tym więcej nie mówić — zgorszyła się Mary. Co do bogactwa, jakie Mary miałyby formalnie

odziedziczyć, gdyby zdecydowała się wyjść za niego i została potem wdową: Obdarzeni nawet największymi na świecie mózгами detektywi nie wpadliby na ślad jego większej części. Wszędzie, gdzie tylko się znalazł, \* Wait stwarzał postać roztropnego obywatela, który nigdy nie istniał, a którego majątek miarowo wzrastał, nawet wtedy, gdy cała planeta biedniała. Za bezpieczeństwo tego majątku ręczyły rządy Stanów



Zjednoczonych lub Kanady. Konto w pesetach, jakie założył w Guadalajarze, w Meksyku, zostało już zlikwidowane.

Gdyby ten majątek rósł do dzisiaj w tym samym tempie, jak wówczas, \* Wait mógłby być teraz właścicielem całego wszechświata — galaktyk, czarnych dziur, komet, obłoków asteroidów i meteorów, meteorytów Kapitana i międzygwiazdnej materii każdego rodzaju — dosłownie wszystkiego.

Tak, a gdyby populacja ludzi wzrastała w tym samym tempie, jak wtedy, ważyłaby dzisiaj więcej niż cała własność \* Waita, czyli owo wszystko.

Cóż za nieprawdopodobne sny o potędze żywili ludzie zaledwie wczoraj, zaledwie milion lat temu!

### 3

Nawiasem mówiąc, \* Wait dorobił się potomstwa. Nie tylko wysłał przed laty handlarza antykami w podróż błękitnym tunelem wiodącym w Zaświaty, ale również przyczynił się do narodzin swojego spadkobiercy. Rzec można, zgodnie z kategoriami teorii Darwina, że zarówno z roli mordercy, jak z roli rozplodnika, wywiązał się wcale nieźle.

\* Wait rozmnożył się, kiedy miał zaledwie szesnaście lat, a więc w wieku, w którym milion lat temu samiec człowieka osiągał dojrzałość płciową:

Było to jeszcze w Midland City, Ohio, w pewne upalne lipcowe popołudnie. \* Wait strzygł trawnik należący do bajecznie bogatego sprzedawcy samochodów i właściciela lokalnych barów szybkiej obsługi, niejakiego Dwayne'a Hoovera. Hoover był żonaty, lecz nie posiadał dzieci. Pojechał właśnie w interesach do Cincinnati, a pani Hoover, której \* Wait nigdy nie widział, chociaż często strzygł ich trawnik, została w domu. Prowadziła pustelniczny tryb życia, ponieważ — jak słyszał — miała problemy z alkoholem i pigułkami, które przepisał jej lekarz, i jej mózg był po prostu zbyt kapryśny, by mogła się publicznie pokazywać.

\* Wait był wówczas całkiem przystojny. Jego rodzice również byli przystojni. Pochodził z rodziny przystojnych ludzi. Pomimo panującego upału nie zdejmował koszulki, ponieważ wstydził się blizn po karach, jakie zadawali mu różni wychowawcy. Później, kiedy został męską prostytutką na Manhattanie, owe blizny — powstałe wskutek

przypalania papierosami, uderzeń wieszakiem na ubranie lub klamrą pasa i tak dalej — wydawały się jego klientom bardzo podniecające.

\* Wait nie szukał seksualnych przygód. Dopiero co zdecydował się na wyjazd do Nowego Jorku i nie chciał zrobić niczego, co dałoby policji pretekst do aresztowania. Był dobrze znany na policji i często wypytywano go w związku z tym lub innym włamaniem czy czymkolwiek takim, chociaż on nie popełnił żadnego z tych przestępstw. Tak czy siak, policja zawsze miała na niego oko. \* Wait często wysłuchiwał rzeczy tego rodzaju, jak: „Prędzej czy później, synku, popełnisz fatalny błąd”.

W pewnym momencie w drzwiach pojawiła się pani Hoover odziana w skąpy kostium kąpielowy. Na tyłach domu znajdował się basen. Pani Hoover miała zmiętą, grubo pokrytą makijażem twarz i zepsute zęby, ale wciąż zachowywała świetną figurę. Zapytała \* Waita, czy może chce wejść do domu, który posiada klimatyzację, i ochłodzić się szklanką mrożonej herbaty lub lemoniady.

Zanim się zorientował, już był w robocie seks, a ona mówiła mu, że są tacy sami, oboje zagubieni, całowała jego blizny i tak dalej.

Pani Hoover zaszła w ciążę i dziewięć miesięcy później urodziła syna, a pan Hoover nigdy się nie dowiedział, że to nie on jest ojcem. Chłopak był bardzo ładny, muzyczny i wyrósł na niezłego tancerza, zupełnie jak \* Wait.

Usłyszał o dziecku już po wyjeździe do Nowego Jorku, ale nigdy nie myślał o nim jak o krewnym. Nie myślał o tym przez całe lata. Aż tu nagle jego wielki mózg oznajmił mu bez żadnego powodu, że gdzieś po świecie pęta się chłopak, którego by nie było, gdyby nie on — \* Wait. Na samą myśl o tym ścierpła mu skóra. To było o wiele za dużo, jak na rezultat tak mało istotnego zdarzenia.

Dlaczego miałby w ogóle pragnąć wtedy jakiegoś syna? Był jak najdalszy od takich myśli.

Nawiasem mówiąc, dojrzałość płciową osiągają dzisiaj mężczyźni w wieku sześciu lat lub coś koło tego. Kiedy w czasie rui taki sześciolatek napotka kobietę, nic go nie powstrzyma przed stosunkiem płciowym.

Współczuję mu, ponieważ wciąż jeszcze pamiętam, co czułem mając szesnaście

lat. To piekielna tortura być tak podnieconym. Ani wtedy, ani teraz orgazm nie przynosi ukojenia. Orgazm, potem mija dziesięć minut, no i co? Nie pozostaje nic innego, tylko zafundować sobie następny. A tu jeszcze trzeba odrobić lekcje!

4 Ludzie na „Bahii de Darwin” byli już nieziemsko głodni. Ich jelita, włączając w to jelita \* Kazak, wyciskały ostatnie nadające się do strawienia cząsteczki pożywienia, wchłoniętego poprzedniego dnia po południu. Nikt nie spróbował jeszcze sposobu galapagoskich żółwi, to jest zjadania swojego własnego ciała. Rzecz jasna, Kanka-bonki już wcześniej wiedziały, co znaczy głód, ale dla reszty było to odkrycie.

Jedynymi osobami, które zachowały jeszcze siły, a na dodatek w ogóle nie spały, była Mary Hepburn i Kapitan. Kanka-bonki nie miały najmniejszego pojęcia o statkach czy oceanie i nie potrafiły doszukać się żadnego sensu w tym, co mówiono do nich w języku innym niż kanka-boński. Hisako zachowywała się jak katatonik, Selena była ślepa, a \* Wait umierał. Zostawały tylko dwie osoby do sterowania statkiem i pielęgnacji chorego.

Podczas pierwszej nocy tych dwoje ustaliło, że Mary będzie sterować statkiem w ciągu dnia, kiedy to słońce niedwuznacznie pokaże jej, gdzie jest wschód, czyli kierunek, z którego płyną, i gdzie jest zachód, czyli spodziewany pokój i obfitość Baltry. Kapitan zaś miał żeglować nocą, orientując się po gwiazdach.

Ten, kto aktualnie nie sterował, powinien dotrzymać towarzystwa \* Jamesowi Waitowi, a wtedy prawdopodobnie uda się trochę pospać. Były to z pewnością wyczerpujące wachty. Z drugiej zaś strony ta ciężka próba miała trwać bardzo krótko, ponieważ, wedle obliczeń Kapitana, Baltra leżała jedynie o cztery godziny podróży od Guayaquil.

Gdyby udało im się dotrzeć na Balmę, zastaliby ją wyludnioną i zniszczoną przez jeszcze jedną lotniczą przesyłkę zawierającą ładunek dagonitu.

Ludzkie istoty w tamtych czasach były tak płodne, że konwencjonalne eksplozje tego typu nie miały, na dłuższą metę, żadnych biologicznych skutków, a jeżeli już — to znikome. Nawet pod koniec długotrwałych wojen wciąż jeszcze wyglądało na to, że jest mnóstwo ludzi. Dzieci rodziły się w takiej obfitości, że usilne próby zredukowania

populacji przy użyciu przemocy były skazane na porażkę. Nie powodowały one okaleczeń trwalszych — z wyjątkiem nuklearnych ataków na Hiroshimę i Nagasaki — niż te, które wyrządzała „Bahia de Darwin” tnąc i bełtając bezdroża oceanu.

Ta właśnie zdolność ludzkości do szybkiej regeneracji przy pomocy dzieci sprawiała, że wielu ludzi traktowało eksplozję jak rodzaj show biznesu, jako wyższe teatralne formy autoekspresji i czegoś tam jeszcze.

A jednak ludzkość — z wyjątkiem skromnej kolonii na Santa Rosalii — właśnie miała stracić coś, czego bezdrożny ocean nigdy nie utraci, dopóki będzie składał się z wody; zdolność do samoregeneracji.

Z punktu widzenia ludzkości wszystkie straty miały być od teraz nieodwracalne. A produkcja kruszących materiałów wybuchowych przestała być gałęzią przemysłu rozrywkowego.

Tak, a gdyby ludzkość musiała w dalszym ciągu zadawane samej sobie rany leczyć przy pomocy takiego medykamentu, jak kopulacja, to moja opowieść o Santa Rosalii byłaby tragikomedią z zarozumiałym i nieudolnym kapitanem Adolfem von Kleistem w roli głównej. Jej akcja dotyczyłaby miesięcy, a nie miliona lat, ponieważ koloniści nigdy nie zostaliby kolonistami. Byliby rozbitkami, odnalezionymi i uratowanymi w mgnieniu oka.

Pomiędzy nimi znajdowałby się zawstydzony Kapitan, jedyny sprawca ich cierpień.

Wszelako po pierwszej nocy na morzu Kapitan wciąż gotów był wierzyć, że wszystko idzie zgodnie z planem. Mary Hepburn miała wkrótce zastąpić go przy sterze, on zaś przygotował na tę okazję następującą instrukcję: „Proszę płynąć tak, aby przez całe przedpołudnie słońce znajdowało się nad rufą, a po południu nad dziobem?”. Kapitan przewidywał, że jego rozkazy, wydawane z całą powagą i naciskiem, zyskają mu szacunek pasażerów. Na razie postrzegali go z jak najgorszej strony, ale żywił nadzieję, że po przybyciu na Balmę zapomną o jego pijaństwie i zaczną na lewo i prawo rozpowiadać, że to właśnie on uratował im życie.

To jeszcze jedna rzecz, do jakiej zdolni byli niegdyś ludzie, rzecz już dziś nieznana; radość na samą myśl o zdarzeniach, które jeszcze nie miały miejsca i które w

ogóle mogły się nie zdarzyć. Moja matka była w tym niezła. Pewnego dnia mój ojciec miał porzucić science fiction i zamiast tego napisać coś, co chcieli czytać bez wyjątku wszyscy. A my mieliśmy kupić wtedy nowy dom w jakimś pięknym mieście, eleganckie ciuchy i tak dalej. Matka sprawiała, iż zastanawiałem się, po co Bóg tak się męczył stwarzając realny świat. .

Rzecz Mandarax:

*Wyobraźnia jest równie dobra, jak podróże — a o ile tańsza!*

George Wilham Curtis (1824-1892)

Na tej właśnie zasadzie stojący na mostku półnagi Kapitan przebywał myślami na Manhattanie, gdzie znajdowała się większość jego pieniędzy i gdzie miał tak wielu przyjaciół. Planował już sobie, że z Baltry dostanie się jakoś na Manhattan, kupi sobie wygodny apartament na Park Avenue, a Ekwador niech trafi szlag.

Rzeczywistość brutalnie zakłóciła rozważania von Kleista. Wzeszło właśnie jak najbardziej prawdziwe słońce. Przez całą noc Kapitan był przekonany, że płynie wprost na zachód, a zatem słońce powinno było wejść idealnie za rufą. Tymczasem to osobliwe słońce wzeszło, co prawda, za rufą, lecz przy okazji za bardzo od strony sterburty. W związku z tym Kapitan skręcił w lewo, tak by słońce znalazło się tam, gdzie powinno być od początku. Jego wielki mózg, odpowiedzialny za błąd, który właśnie naprawiał, zapewniał jego duszę, że pomyłka jest niewielka i nastąpiła zupełnie niedawno, kiedy świt przyćmił gwiazdy. Wielki mózg Kapitana pragnął szacunku jego duszy w tym samym stopniu, w jakim sam Kapitan pragnął szacunku pasażerów. Ów mózg działał na własną rękę i w pewnym momencie von Kleist spróbował w ogóle go wyłączyć, by uniknąć w ten sposób kolejnej omyłki.

Miało to jednak nastąpić dopiero za pięć dni.

Kapitan, który ciągle jeszcze ufał swojemu mózgowi, udał się w kierunku rufy, by zobaczyć, jak się miewa „Willard Flemming”, i zgodnie z umową pomóc Mary w przeniesieniu go na ocieniony pomost pomiędzy oficerskimi kabinami. Nie postawiłem gwiazdki przed nazwiskiem Willard Flemming, ponieważ takie indywiduum nigdy realnie nie istniało, a zatem nie mogło umrzeć.

Mary Hepburn do tego stopnia nie interesowała Kapitana, że nie wiedział nawet,

jak się ona nazywa. Sądził, że ma do czynienia z panią Kaplan, ponieważ to właśnie nazwisko naszyte było na bluzie polowego munduru, której \* Wait używał obecnie jako poduszki.

Również \* Wait — bez względu na to, ile razy Mary go poprawiała — wierzył, że jej nazwisko brzmi Kaplan. W nocy zwrócił się do niej mówiąc:

— Wy, Żydzi, przetrwacie każdą katastrofę.

— Pan też przetrwa, Willard — odparła na to Mary.

— Cóż — powiedział \* Wait — kiedyś tak myślałem, pani Kaplan. Teraz nie jestem taki pewny. Wydaje mi się, że póki ktoś żyje, może uważać się za ocalonego.

— Ciiii... — uspokajała go Mary — porozmawiajmy lepiej o czymś przyjemniejszym, na przykład o Baltrze.

Ale krew zaopatrująca jego mózg musiała w tym czasie spisywać się bez zarzutu, ponieważ \* Wait całkiem rozsądnie kontynuował swoją myśl. Zdobył się nawet na kostyczny chichot.

— Ci wszyscy ludzie — ciągnął — chępią się, jacy to niby z nich twardziele i jak łatwo im przetrwać. Ale tego nie mogą powiedzieć o sobie jedynie zwłoki.

— Ciii, ciiii... — powiedziała Mary.

Kiedy po wschodzie słońca na pokładzie plażowym pojawił się Kapitan, Mary właśnie zgodziła się poślubić \* Waita. W końcu pokonał jej opór. To było tak, jak gdyby błagał ją przez całą noc o wodę i jakby ona postanowiła ostatecznie, że da mu łyk wody. Skoro tak strasznie pragnął zaręczyn, a zaręczyny były wszystkim, co mogła mu dać, zgodziła się zatem ustąpić.

Jednak Mary nie sądziła, że wywiąże się z tego honorowego zobowiązania niemal natychmiast. Sądziła raczej, że nigdy to nie nastąpi. Podobało jej się, oczywiście, to wszystko, co \* Wait opowiadał o sobie. W nocy zorientował się, że Mary jest miłośniczką przełajowych biegów narciarskich, zareagował więc gorącymi zapewnieniami, iż nigdy nie był tak szczęśliwy, jak wtedy, gdy jeździł na nartach wśród połaci czystego śniegu, w ciszy zamarzniętych jezior i lasów. Nigdy w życiu nie był na nartach, ale w swoim czasie poślubił i zrujnował wdowę po właścicielu schroniska dla narciarzy w White Mountains, w stanie New Hampshire. Poderwał ją na wiosnę i

porzucił bez grosza przy duszy, zanim poźółkły i zbrązowiały liście drzew.

Z kimś takim właśnie zaręczyła się Mary. Z parodią narzeczonego.

Zaręczyny nie miały jednak dla Mary większego znaczenia, ponieważ jej wielki mózg stwierdził, że i tak do ślubu może dojść dopiero wtedy, gdy statek dotrze na Balmę, a \* Wait, jeśli będzie jeszcze żył, i tak zostanie niezwłocznie odstawiony na oddział intensywnej terapii. Sądziła zatem, że jest jeszcze mnóstwo czasu, by można się z tego wycofać.

Nie widziała więc specjalnego powodu do niepokoju, kiedy \*Wait powiedział do Kapitana:

— Mam panu do zakomunikowania najcudowniejszą nowinę. Pani Kaplan zdecydowała się właśnie, że wyjdzie za mnie za mąż. Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

Los wyplatał Mary figła niemal tak szybko i logicznie, jak w przypadku mojej dekapitacji w stoczni w Malmö.

— Faktycznie ma pan szczęście — zgodził się Kapitan. — Jako kapitan tego statku, przebywającego na wodach międzynarodowych, jestem prawnie upoważniony do udzielenia państwu ślubu. Drodzy oblubieńcy, zebraliśmy się tu w obliczu Boga... — zaczął Kapitan i po dwóch minutach „Mary Kaplan” i „Willard Flemming” zostali mężem i żoną.

## 5

Rzecz Mandarax:

*Przysięgi to słowa jeno, a słowa to jeno wiatr.*

Samuel Butler (1612-1680)

Na Santa Rosalii Mary nauczyła się od Mandaraxa tego cytatu na pamięć, jak zresztą i setek innych. Lecz w miarę upływu lat traktowała swoje małżeństwo coraz bardziej i bardziej serio, chociaż jej drugi mąż zmarł z uśmiechem na twarzy w dwie minuty potem, jak Kapitan ogłosił ich mężem i żoną. Kiedy była już bardzo starą, przygiętą do ziemi i bezzębną kobietą, zwykła mawiać do Akiko:

— Dziękuję Bogu, że zesłał mi dwóch dobrych mężczyzn.

Miała na myśli Roya i „Willarda Flemminga”. Dawała również w ten sposób do

rozumienia, że niewiele dba o Kapitana, który przez te lata również bardzo, bardzo się postarzał, a był ojcem lub dziadkiem całej wyspiarskiej młodzieży, z wyjątkiem Akiko.

Akiko jako jedyna młoda osoba w kolonii uwielbiała słuchać opowieści z życia na kontynencie, a zwłaszcza miłosnych opowieści. W związku z tym Mary usprawiedliwiała się, że ma w zanadru tak niewiele historii miłosnych, które można opowiadać w pierwszej osobie. Jej rodzice musieli być w sobie bardzo zakochani, mówiła, a Akiko zachwycała się słuchając o tym, jak ciągle się całowali i obejmowali, i to aż do samego końca.

Mary rozśmieszała Akiko opowiadając jej o zabawnym romansie, jeżeli w ogóle można to tak nazwać, jaki miała z pewnym wdowcem o nazwisku Robert Wojciechowitz — szefem anglistyki w gimnazjum w Ilium, dopóki szkoła nie została zamknięta. Był to jedyny mężczyzna poza Royem i „Willardem Flemmingiem”, który kiedykolwiek zaproponował jej małżeństwo.

To było tak:

Robert Wojciechowitz zaczął wydzwaniać do niej i prosić o randkę zaledwie dwa tygodnie po pogrzebie Roya. Mary odrzucała jego propozycję i dała do zrozumienia, że musi upłynąć jeszcze sporo czasu, nim znowu będzie w stanie chodzić na randki.

Mary robiła, co mogła, aby go zniechęcić, ale on i tak zjawiał się u niej każdego popołudnia, nawet wtedy, gdy z naciskiem mówiła, iż zyczy sobie być sama. Kiedyś podjechał pod jej dom, kiedy strzygła trawnik. Wyłączył jej kosiarkę i zaproponował małżeństwo.

Mary opisując jego samochód rozśmieszyła Akiko do łez, chociaż Akiko nigdy nie widziała żadnego samochodu. Robert Wojciechowitz jeździł jaguarem, który kiedyś musiał być przepięknym samochodem, a który teraz — od strony kierowcy — był całkiem porysowany i powyginany. Ten samochód Robert dostał w prezencie od umierającej żony. Żona miała na imię \* Doris i takie właśnie imię nadała Akiko jednej ze swoich futerkowych córek, najwidoczniej pod wpływem opowiadania Mary.

\* Doris Wojciechowitz odziedziczyła nieco pieniędzy i kupiła Robertowi jaguara, niejako w podzięce za to, że był takim dobrym mężem. Państwo Wojciechowitz mieli dorosłego syna Josepha, który był prostakiem i rozbił doszczętnie pięknego jaguara



jeszcze za życia matki. Joseph poszedł na rok do kicia za „prowadzenie pojazdu mechanicznego pod wpływem alkoholu”.

I znowu nasz stary kumpel alkohol — pomniejszacz mózgów.

Oświadczyzny Roberta odbywały się na jedynym świeżo skoszonym trawniku w całej okolicy. Trawniki wokół zdążyły już dziko zarosnąć, ponieważ wszyscy inni mieszkańcy dawno się wynieśli. Podczas gdy Robert się oświadczał, on i Mary byli obszczekiwani przez starającego się wzbudzić strach wielkiego, złocistego myśliwskiego psa. Był to Donald, który tak bardzo dodawał otuchy Royowi w ostatnich miesiącach jego życia. W tamtej epoce nawet psy miały imiona. Donald był psem. Robert był człowiekiem. Donald nie był groźnym psem. W życiu nikogo nie ugryzł. Pragnął jedynie, aby rzucano mu kij, który mógłby przynieść z powrotem po to, aby znów można było go rzucić po to, aby znów mógł go przynieść z powrotem i tak dalej, i tak dalej. Delikatnie mówiąc, Donald nie był zbyt rozgarnięty. Z pewnością nie skomponowałby IX Symfonii Beethovena. Donald często skomlał przez sen, a jego łapy drżały. Śniła mu się gonitwa za patykami.

Robert bał się psów, ponieważ on i jego matka zostali zaatakowani przez dobermanów pinczery, kiedy miał zaledwie pięć lat. Wszystko było w porządku, dopóki w pobliżu przebywał ktoś, kto wiedział, jak je poskromić. Lecz kiedy tylko Robert znajdował się w sytuacji sam na sam, to bez względu na rozmiary psa zaczynał się pocić i trząść, a włosy stawały mu dęba. Z przesadną ostrożnością unikał więc podobnych sytuacji.

Propozycja Roberta do tego stopnia zaskoczyła Mary, że wybuchnęła płaczem, a więc zrobiła coś, czego dzisiaj nikt już nie robi. Czuła się tak zmieszana i skrupowana, że przeprosiła go łamiącym się głosem i uciekła do domu. Nie chciała wychodzić za nikogo z wyjątkiem Roya. Mimo że Roy już nie żył, nie chciała wychodzić za nikogo z wyjątkiem Roya.

A więc Robert został na trawniku sam na sam z Donaldem.

Gdyby jego wielki mózg funkcjonował prawidłowo, Robert poszedłby niespiesznie w stronę samochodu, rozkazując pogardliwie Donaldowi, by się zamknął, zjeżdżał do domu i tak dalej. Tymczasem facet rzucił się do ucieczki. Jego wielki mózg był do tego stopnia wadliwy, że zmusił go — a tuż, tuż sadził susami Donald — by

przebiegł obok samochodu, przeciął ulicę i wspiał się na jabłoń, rosnącą przed frontem domu należącego do rodziny, która przeniosła się na Alaskę.

Donald usiadł pod drzewem i dalej na niego czekał.

Robert spędził na drzewie około godziny, dopóki Mary, zaniepokojona tak długotrwałym, monotonnym szczekaniem Donalda, nie wyszła z domu i nie uwolniła go.

Kiedy Robert znalazł się na ziemi, dostał mdłości ze strachu i czuł do siebie obrzydzenie. Zaczął wymiotować. Obryzgał przy tym własne buty i mankiety spodni. Kiedy skończył, odezwał się burkliwie do Mary:

— Nie jestem mężczyzną. Po prostu nie jestem mężczyzną. Oczywiście nie będę się więcej pani naprzykrzał. Nie będę zwracał głowy już żadnej kobiecie.

Powtarzam opowiadanie Mary dlatego, że Kapitan Adolf von Kleist po pięciu dobach bełtania oceanu, na którym nie było jakoś żadnej wyspy, żywił podobnie nędzną opinię na temat swojej własnej wartości.

Był zbyt daleko na północy — o wiele za daleko. To znaczy, byliśmy zbyt daleko na północy — o wiele za daleko. Nie czułem oczywiście głodu, podobnie jak James Wait, zamrożony na kamień w kuchennej zamrażarce. Kuchnia okrętowa, aczkolwiek pozbawiona świetlików i okradziona z żarówek, bynajmniej nie była zaciemniona, a to dzięki elementom grzejnym pieców i kuchenek.

Tak, działała również instalacja wodociągowa. W każdym kranie było mnóstwo wody, zarówno zimnej, jak i gorącej.

Nikt zatem nie cierpiał pragnienia, choć wszyscy umierali z głodu. Kazak, suka Seleny, gdzieś się zawieruszyła, a ja nie stawiam gwiazdki przed jej imieniem, ponieważ już nie żyła. Podczas gdy Selena spała, Kazak ukradły kanka-bońskie dziewczynki, które następnie udusiły ją gołymi rękami, obdarły ze skóry i wypatroszyły, nie używając przy tym żadnych narzędzi poza własnymi zębami i paznokciami. Potem Kazak została upieczona w kuchennym piecu. Nikt nic o tym nie wiedział.

Swoją drogą, Kazak ostatnio trawiła samą siebie. Kiedy została zabita, składała się głównie ze skóry i kości.

Gdyby nawet suka dotarła do Santa Rosalii w swej normalnej postaci, i tak nie miałyby przed sobą świetlanej przyszłości — no, chyba że byłby tam jakiś pies, co jest nieprawdopodobne. Zresztą i tak była bezpłodna. Wszystkim, co mogła w życiu osiągnąć

i co mogłoby przetrwać dłużej niż ona sama, byłoby zapewnienie futerkowej Akiko — która wkrótce miała się urodzić — dziecięcych wspomnień o psie. Przy najbardziej nawet sprzyjających okolicznościach Kazak nie żyłaby na tyle długo, aby inne urodzone na wyspie dzieci mogły się z nią bawić, zobaczyć, jak merda ogonem i tak dalej. Nie zapamiętałyby zaś na pewno jej szczekania, ponieważ Kazak nigdy nie szczekała.

## 6

Żeby nie wzruszyć kogoś do łez, powiem teraz jeszcze jedną rzecz na temat przedwczesnej śmierci Kazak: no cóż, tak czy tak, nie skomponowałaby IX Symfonii Beethovena.

To samo można powiedzieć o nieboszczyku Jamesie Waicie; No cóż, tak czy tak, nie skomponowałby IX Symfonii Beethovena.

To nie ja wymyśliłem ów szyderczy komentarz mówiący o tym, jak skromne są osiągnięcia większości z nas, bez względu na długość naszego życia. Po raz pierwszy usłyszałem te słowa po szwedzku, na pewnym pogrzebie. Było to jeszcze za mojego życia. Zwłoki, które grały główną rolę w tym osobliwym rytuale przemiany, należały do tępego i nie lubianego w stoczni brygadzysty, Pera Olafa Rosenquista. Rosenquist zmarł młodo, to znaczy młodo w ówczesnych kategoriach, ponieważ — podobnie jak James Wait — miał wrodzoną wadę serca. Poszedłem na pogrzeb z kolegą, również spawaczem, Hjalmarem Arvidem Boströmem, choć to nie ma żadnego znaczenia, jak się kto nazywał milion lat temu. Kiedy wyszliśmy z kościoła, Boström zwrócił się do mnie mówiąc:

— No cóż, tak czy tak, nie skomponowałby przecież IX Symfonii Beethovena.

Zapytałem go, czy to on jest autorem tego makabrycznego dowcipu, a Hjalmar powiedział, że nie, że słyszał go od swojego niemieckiego dziadka, który w czasie I wojny światowej służył na zachodnim froncie jako oficer odpowiedzialny za grzebanie zwłok.

Filozofowanie nad tym lub innym trupem, zakopywanym właśnie w ziemi przez nie przyzwyczajonego do takiej (roboty żołnierza, spekulowanie na temat tego, co też taki delikwent mógłby w życiu osiągnąć, gdyby nie zginął tak młodo, było w tej służbie

czymś zupełnie normalnym. Istniało wiele cynicznych sentencji, którymi weteran w tym fachu mógł uraczyć zadumanego rekruta, a jedną z nich była właśnie ta; „Nie ma co się tak nim przejmować. Tak czy owak nie skomponowałby IX Symfonii Beethovena”.

Kiedy ja sam zostałem pogrzebany na cmentarzu w Malmö, sześć metrów od Pera Olafa Rosenąquista, wychodzący z cmentarza Hjalmar Arvid Boström powiedział o mnie:

— No cóż, tak czy tak, Leon nie skomponowałby IX Symfonii Beethovena.

Tak, przypomniałem sobie to powiedzenie, kiedy Kapitan von Kleist strofował Mary opłakującą człowieka, o którym wszyscy myśleli, że nazywał się Willard Flemming. Statek był wtedy na morzu dopiero dwanaście godzin i Kapitan jeszcze bez oporów odgrywał rolę przełożonego Mary, a także, skoro już o tym mowa, dowódcę wszystkich osób znajdujących się na pokładzie.

Wyjaśniając Mary, w jaki sposób utrzymywać statek na zachodnim kursie, powiedział w pewnym momencie:

— Opłakiwanie zupełnie obcego faceta to czysta strata czasu. Z tego, co pani mówi, wynika, że nie miał on żadnych krewnych i nie zajmował się już żadną pożyteczną pracą, a więc po co ten płacz?

To mógłby być odpowiedni dla mnie moment, aby przemówić bezcielesnym głosem:

— Poza tym i tak nie skomponowałby IX Symfonii Beethovena.

Wtedy właśnie Kapitan wyskoczył z dowcipem, który jednak wcale nie brzmiał jak dowcip:

— Jako kapitan tego okrętu — powiedział — rozkazuje, aby płakała pani tylko wtedy, kiedy będzie jakiś konkretny powód do płaczu. W chwili obecnej nie widzę takiego powodu.

— Ten człowiek był moim mężem — broniła się Mary. — Sądziłam, że ślub, którego nam pan udzielił, był na serio. Może się pan śmiać, jeżeli pan chce.

Wait, będący przedmiotem sporu, wciąż jeszcze leżał na pokładzie. W zamrażarce umieszczono go dopiero potem.

— Ten człowiek zrobił dla świata wiele dobrego — kontynuowała Mary — i zrobiliby jeszcze więcej, gdybyśmy zdołali go uratować.

— A czegoż to wielkiego dokonał? — zapytał Kapitan.

— Wiedział o wiatrakach więcej niż ktokolwiek z żyjących ludzi — odparła. — Mówił, że moglibyśmy zamknąć kopalnie węgla i uranu — same wiatraki mogłyby ogrzać najzimniejsze części globu tak, że byłoby tam równie gorąco, jak w Miami na Florydzie. Poza tym był kompozytorem.

— Naprawdę? — zdziwił się Kapitan.

— Tak — potwierdziła Mary — napisał dwie symfonie.

Uważam, że to pikantne — zwłaszcza w świetle tego, o czym mówiłem przed chwilą — ale Wait podczas swojej ostatniej nocy spędzonej na ziemi przypisywał sobie autorstwo dwóch symfonii. Mary mówiła dalej, że po powrocie do domu zamierza pojechać do Moose Jaw, by odnaleźć te symfonie, które nigdy nie zostały wykonane, i że spróbuje namówić jakąś orkiestrę na premierę dzieł Waita.

— Willard był taki skromny — powiedziała Mary.

— Na to wygląda — podsumował Kapitan.

Sto osiem godzin później Kapitan, chcąc nie chcąc, przystąpił do formalnego współzawodnictwa z owym wzorem skromności.

— Gdyby Willard żył — powiedziała Mary — wiedziałby na pewno, co należy zrobić.

Kapitan całkowicie już stracił szacunek do samego siebie i chociaż żył jeszcze przez trzydzieści lat, nigdy go nie odzyskał. Na ile to była prawdziwa tragedia? Wystawiony na kpiny Mary, zachowywał się nędznie.

— Jestem otwarty na wszelkie rady — stwierdził. — Proszę mi tylko powiedzieć, co zrobiłby genialny Willard, a wykonam to z największą przyjemnością.

Kapitan już wcześniej wyłączył swój mózg i sterował kierując się wyłącznie porywami duszy, płynąc raz w tę stronę, a raz w tamtą. Dowolna wysepka wielkości chustki do nosa wzbudziłaby w nim łyzy wdzięczności. Tymczasem słońce — raz idealnie przed dziobem, raz z lewej burty, raz za rufą, raz po prawej stronie — powoli zachodziło.

Na pokładzie poniżej Selena MacIntosh wołała swojego psa:

— Kaaaaaaaaa-zak! Kaaaaaaaaa-zak! Czy ktoś widział mojego psa?

— Na górze go nie ma! — krzyknęła w odpowiedzi Mary. A potem, usiłując

wyobrazić sobie, co zrobiłby Willard, wystąpiła z propozycją sprawdzenia, czy Mandarax — będący zegarem, tłumaczem i tak dalej — nie mógłby posłużyć jako radio. Poleciała więc Kapitanowi, by spróbował wezwać za jego pośrednictwem pomocy.

Kapitan nie miał pojęcia, że to jest Mandarax. Był przekonany, że ma do czynienia z Gokubim, którego jeden egzemplarz posiadał w swoim domu w Quito, gdzie trzymał go w szufladzie pomiędzy chustkami do nosa, zegarkami, spinkami do mankietów i kołnierzyków. Otrzymał go na Gwiazdkę od brata, ale nie sądził, aby to był użyteczny wynalazek. Była to, według niego, jeszcze jedna zabawka i wiedział o niej tyle, że na pewno nie jest radiem.

A teraz zważył w dłoni to, co uważał za Gokubiego, i powiedział do Mary:

— Dam sobie uciąć rękę, jeśli ten rupieć jest radiem. Daję pani słowo, że nawet świątobliwy Willard Flemming nie potrafiłby ani wysłać, ani odebrać żadnego komunikatu przy pomocy Gokubiego.

— Być może nadszedł już czas, aby przestał pan być tak absolutnie pewny wszystkiego! — odparowała Mary.

— Mnie też przyszła do głowy podobna myśl — powiedział Kapitan.

— No to niech pan nada SOS — cóż to panu szkodzi?

— Wcale, rzecz jasna — zgodził się Kapitan. — Ma pani absolutną rację, pani Flemming. No pewnie, że to nic nie szkodzi.

Przemówił zatem do małego mikrofonu Mandaraxa, używając międzynarodowego słowa, jakim posługiwały się milion lat temu statki będące w niebezpieczeństwie:

— Mayday, Mayday, Mayday — zaintonował. Następnie obrócił Mandaraxa w ten sposób, aby i Mary

mogła przeczytać ewentualną odpowiedź, gdyby takowa pojawiła się na ekranie komputerka. Tak się złożyło, że uaktywnili tę część pamięci instrumentu, której nie posiadał Gokubi, a która znała tak wiele cytatów na wszystkie możliwe tematy, wliczając w to miesiąc maj. Na ekraniku pojawiły się te oto absolutnie tajemnicze słowa:

W zdeprawowanym maju — dereń, kasztan, buczyna —

*Aby jedli i dzielili, aby pili*

7

Kapitan i Mary skłonni byli przez chwilę uwierzyć, że nawiązali kontakt z zewnętrznym światem, chociaż żaden odzew na sygnał SOS nie mógłby nastąpić tak szybko i być aż tak literacki.

Kapitan spróbował jeszcze raz:

— Mayday! Mayday! Wzywa „Bahia de Darwin”, pozycja nieznana. Słyszycie mnie?

Na co Mandarax odparł:

*Lepszy lub gorszy, za rok też będzie maj:  
A my będziemy w wieku dwudziestu czterech lat.*

A E Housman (1859-1936)

Stało się jasne, że słowo „maj” wywołuje z pamięci urządzenia przeróżne cytaty. Kapitan poczuł się zbity z tropu. Wciąż uważał, że ma do czynienia z Gokubim, ale ten egzemplarz był najwyraźniej nieco unowocześniony w stosunku do tamtego, który miał w domu. Cóż, mało wiedział! Zrozumiał jednak, że instrument zareagował na słowo „maj”. Spróbował zatem z „czerwcem”.

Mandarax nie zwlekał z odpowiedzią:

*Wszędzie dokola wybuchał czenwiec.*

Oscar Hammerstem II (1895-1960)

— Październik! Październik! — krzyknął Kapitan.

Na co Mandarax:

*Niebiosa nade mną szare jak popiół;  
Więdzące liście kruche jak kra —  
Opadłe liście chrzęszczące jak kra;  
Była noc, był samotny październik roku,  
Który, myślałem, już wieki trwa.*

Edgar Allan Poe (1809-1849)

---

<sup>10</sup>Przekład Czesława Miłosza.

Taki już był Mandarax, o którym Kapitan sądził, że jest Gokubim. A Mary zaproponowała, że wejdzie na bocianie gniazdo i sprawdzi, czy czegoś nie widać.

Jednakże, zanim tam weszła, musiała wsadzić Kapitanowi jeszcze jedną szpilę. Zapytała go o nazwę wyspy, której widoku można się wkrótce spodziewać. To było coś, co Kapitan robił na okrągło przez cały trzeci dzień spędzony na morzu — nazywał wyspy znajdujące się rzekomo tuż za horyzontem, idealnie na kursie.

— Niech pani zdrowo filuje, żeby nie przegapić San Cristóbal albo Genovesy, to zależy od tego, jak daleko jesteśmy na południu — mówił Kapitan. A po jakimś czasie dodawał — O! Już wiem, gdzie jesteśmy. W każdej chwili możemy zobaczyć wyspę Hood — jedyne na świecie miejsce lęgu albatrosów, największych ptaków archipelagu.

I tak dalej.

Nawiasem mówiąc, owe albatrosy istnieją do dziś i wciąż lęgną się na wyspie Hood. Mają skrzydła o rozpiętości do dwóch metrów i jak zawsze angażują się w rozwój awiacji. Wciąż uważają, że to ma przyszłość.

Jednakże piątego dnia tego nieustającego zbliżania się do wysp Kapitan pominął milczeniem pytanie Mary, jak nazywa się wyspa, która — jego zdaniem — powinna być gdzieś niedaleko.

Mary zmuszona była powtórzyć pytanie, a on odparł:

— Góra Ararat.

Kiedy Mary weszła na bocianie gniazdo, byłem mimo wszystko zaskoczony, że nie zaczęła krzyczeć ze zdumieniem na widok tego, co wziąłem omyłkowo za bardzo dziwny fenomen atmosferyczny, jaki pojawił się nad rufą statku i dalej — ponad kilwatem. Choć bezgłośnie, wyglądało to jak zjawisko o podłożu elektrycznym, jak bliski krewniak pioruna kulistego lub, być może, ogni św. Elma.

Była nauczycielka patrzyła wprost na to, lecz nie zdradzała żadnych oznak świadczących, że zauważyła coś niecodziennego. I wtedy zrozumiałem, że tylko ja mogłem to widzieć, i pojąłem wreszcie, co to takiego; To był błękitny tunel prowadzący w Zaświaty. Znowu przyszedł za mną.

Przedtem widziałem go trzy razy — w momencie mojej dekapitacji i potem na



cmentarzu w Malmö, kiedy szwedzka glina bębniła mokro o wieko mojej trumny, a Hjalmar Arvid Boström, który nie skomponował IX Symfonii Beethovena, powiedział o mnie:

— No cóż, Leon i tak nie skomponowałby IX Symfonii Beethovena.

Po raz trzeci widziałem tunel, kiedy stałem na bocianim gnieździe — podczas sztormu na północnym Atlantyku, wśród wodnego pyłu i deszczu ze śniegiem, z własną głową uniesioną wysoko w górze, jakby to była piłka do koszykówki.

Pojawienie się tunelu oznaczało jedyne pytanie, na jakie potrafiłem odpowiedzieć: Czy wyczerpałem wreszcie swoją ciekawość dotyczącą, ogólnie rzecz biorąc, życia? Jeżeli tak, to wystarczy, abym wkroczył do wnętrza czegoś, co porównałem do odkurzacza. Jeśli w tunelu, wypełnionym światłem podobnym do tego, jakie wytwarzały elektryczne piece i kuchenki „Bahii de Darwin”, była faktycznie jakaś ssawa, to najwidoczniej nie stanowiła ona żadnej przeszkody dla mojego świętej pamięci ojca, pisarza science fiction Kilgora Trouta, który potrafił stać u samego wlotu dyszy i gadać ze mną.

Pierwsze słowa, jakie usłyszałem od stojącego ponad rufą ojca, były takie:

— Masz już dosyć tego statku głupców, mój synu? Powinieneś pójść teraz ze mną. Jeśli tego nie zrobisz, nie zobaczysz mnie przez najbliższy milion lat.

Milion lat! Mój Boże — milion lat! Stary nie żartował. Bez względu na to, jak kiepskim był ojcem, zawsze dotrzymywał obietnic i nigdy świadomie mnie nie okłamał.

Zrobiłem zatem jeden krok w jego kierunku, ale tylko jeden. Zachowywałem się jak samica głuptaka błękitnonogiego rozpoczynająca taniec godowy. I tak jak w tańcu godowym, ten pierwszy niepewny krok stawał się początkiem czegoś niepojętego, był pierwszym tyknięciem zegara. Poprzednio zawsze się wycofywałem, chociaż do wlotu dyszy było jeszcze daleko. Warkot silników „Bahii de Darwin” ucichł, a stalowy pokład stał się przezroczysty na tyle, że mogłem zajrzeć do głównego salonu, gdzie kanka-bońskie dziewczynki ogryzały kości swej niewinnej siostry Kazak.

Pierwszy krok w stronę ojca sprawił, że pomyślałem o tych Indiankach, o Mary na bocianim gnieździe, o Hisako Hiroguchi i jej dziecku, o zdemoralizowanym Kapitanie, o niewidomej Selenie i o zwłokach w zamrażarce: Dlaczego miałbym

przejmować się tymi obcymi ludźmi, tymi niewolnikami strachu i głodu? A cóż ja mam z nimi wspólnego?

Ponieważ nie mogłem zdobyć się na drugi krok, ojciec powiedział:

— Śmiało, Leonie. To nie pora na wahanie.

— Ale ja jeszcze nie skończyłem moich badań — zaprotestowałem. Postanowiłem zostać duchem, ponieważ zajęcie to zapewniało — niejako na zasadzie przywilejów pracowniczych — możliwość czytania w ludzkich myślach, poznania prawdy na temat przeszłości różnych ludzi, widzenia poprzez ściany, przebywania w wielu miejscach jednocześnie, rozpoznania danej sytuacji aż do najgłębszych przyczyn, jakie ją ukształtowały; dawało w końcu dostęp do całej wiedzy, którą zgromadziła ludzkość.

— Ojczy — poprosiłem — daj mi jeszcze pięć lat.

— Pięć lat! — zawołał ojciec. Zaczął pokpiwać, przytaczając moje słowa z trzech poprzednich targów, jakich z nim dobiłem: „Jeszcze tylko jeden dzień, tatusiu”, „Jeden jedyny miesiąc, tatusiu”, „Zaledwie pół roku, papo”.

— Ale ja naprawdę się uczę, dowiaduję się, czym naprawdę jest życie, co jest do czego i co tak naprawdę jest grane!

— Nie kłam — skarcił mnie ojciec. — Czy ja cię kiedykolwiek okłamałem?

— Nie, proszę ojca — odpowiedziałem.

— No to nie próbuj ołgać mnie.

— Czy jesteś teraz jakimś bogiem? — zapytałem.

— Nie — odparł. — Wciąż jestem tylko twoim ojcem, Leon, ale nie próbuj mnie bujać. To całe twoje podsłuchiwanie dostarczyło ci wyłącznie masy informacji. Równie dobrze mógłbyś być zbieraczem kapsli lub zdjęć graczy w baseball. Ze względu na pożytek, jaki możesz odnieść ze zgromadzonych informacji, mógłbyś równie dobrze być Mandaraxem.

— Jeszcze tylko pięć lat, tato, tatusiu, tatuniu, tatuńciu — błagałem.

— Nigdy nie będzie dość czasu na to, abyś nauczył się tego, czego masz nadzieję się nauczyć — powiedział. — I dlatego, chłopcze, daję ci słowo honoru: Jeśli mnie teraz spławisz, nie pojawię się przez następny milion lat.

— Leonie, Leonie! — przemówił błagalnie ojciec — im bardziej będziesz

poznawał ludzi, tym bardziej się będziesz oburzał. Myślałem, że jeśli rzekomo najmądrzejsi ludzie twojego kraju wysłali cię na niemal nieskończoną, niewdzięczną, przerażającą i w końcu bezsensowną wojnę, to dostałeś dość materiału do rozważań na temat ludzkiej natury — i to na całą wieczność.

Czy muszę ci przypominać, że te same cudowne zwierzęta, o których chcesz najwidoczniej wiedzieć coraz więcej i więcej, chodzą właśnie w tej chwili dumnie jak pawie, bo posiadają broń zawsze gotową do natychmiastowego użycia i gwarantującą zabicie dosłownie wszystkiego?

Czy muszę ci przypominać, że ta, w swoim czasie piękna i żyzna planeta, widziana dzisiaj z powietrza, przypomina chore organy biednego Roya Hepburna ujawnione przy sekcji zwłok, a ogniska toczącego ją raka, rozrastające się dla samego wzrostu, pożerające wszystko i wszystko zatruwające — są właśnie miastami twoich ukochanych ludzkich istot?

Czy muszę ci przypominać, że te twoje zwierzęta partaczą wszystko do tego stopnia, że nie potrafią już nawet wyobrazić sobie przyzwoitego życia dla swoich wnuków i uważają, że to będzie cud, jeżeli do roku dwutysięcznego — a więc za czternaście lat — zostanie cokolwiek do jedzenia i jakikolwiek powód do radości?

Tak jak ci ludzie na tym przeklętym statku, tak cała ludzkość, mój synu, dowodzona jest przez kapitanów nie posiadających ani map, ani kompasów, podejmujących decyzje z minuty na minutę i nie mających istotniejszych problemów nad to, jak chronić miłość własną.

Tak jak za życia, tak i teraz ojciec był nie ogolony. Tak jak za życia, tak i teraz był błądy i wymizerowany. I tak jak za życia, tak i teraz palił papierosa. Jedynym powodem, dla którego tak ciężko mi było zdobyć się na drugi krok w jego stronę, było rzecz jasna to, że go nie lubiłem.

Mając szesnaście lat uciekłem z domu tylko dlatego, że się go wstydziłem.

Gdyby zamiast mojego ojca u wlotu do błękitnego tunelu stał jakiś anioł, zapewne wręcz wskoczyłbym do środka.

James Wait uciekł z domu, ponieważ bez przerwy znęcano się nad nim fizycznie. To było tak, jak gdyby uciekł z sali porodowej wprost do hiszpańskiej inkwizycji, tak

wyszukane były niektóre z tortur, jakie wymyślały dla niego wielkie mózgi jego wychowawców. Ja uciekłem od prawdziwych rodziców, którzy nigdy w gniewie nie podnieśli na mnie ręki.

Kiedy byłem jeszcze zbyt młody, by zdawać sobie sprawę z tego, co się dzieje, ojciec uczynił mnie swoim współnikiem w dziele pozbycia się matki raz na zawsze. Zmuszał mnie, abym wraz z nim szydził z takich jej pragnień jak podróż dokądś tam, jak jacyś przyjaciele, których można by zaprosić na obiad, jak wyjście do kina lub restauracji. Zgadzałem się z ojcem. Wierzyłem wówczas, że jest największym pisarzem na świecie, ponieważ był to jedyny powód do dumy, jaki potrafiłem znaleźć. Nie mieliśmy przyjaciół, a nasz dom był najbardziej obskurnym domem w całej okolicy. Nie posiadaliśmy nawet telewizora ani samochodu. A zatem dlaczego nie miałbym bronić go przed matką? Zasługiwał na to choćby dlatego, że nigdy nie sugerował, iż jest jakąś znakomitością. Kiedy byłem jeszcze żółtodziobem nie potrafiącym wyciągać prawidłowych wniosków, dostrzegałem jego wielkość w tym, że nie robił niczego innego poza pisaniem i paleniem, mówię serio — niczego.

Och, tak, była jeszcze jedna rzecz, z której mogłem być dumny i która miała jakieś znaczenie w Cohoes: Mój ojciec był kiedyś w piechocie morskiej.

Kiedy jednak osiągnąłem szesnaście lat, doszedłem do wniosku, do którego moja matka i sąsiedzi doszli już o wiele wcześniej — że mój ojciec jest odrażającym nieudacznikiem, publikującym swe prace w najbardziej podłych wydawnictwach, które w dodatku niemal nic mu nie płacą. Uznałem, że ojciec obraża samo życie nie robiąc niczego innego poza pisaniem i paleniem, mówię serio — niczego.

Oblałem wówczas w szkole ze wszystkich przedmiotów z wyjątkiem plastyki. W ogólniaku w Cohoes nikt nie oblewał plastyki. Było to po prostu niemożliwe. No i uciekłem. Ruszyłem na poszukiwanie matki, co mi się nigdy nie udało.

Ojciec opublikował ponad sto powieści i około tysiąca opowiadań, lecz w ciągu wszystkich moich podróży spotkałem zaledwie jednego jedyne go człowieka, który w ogóle o nim słyszał. Spotkanie kogoś takiego po tak długich poszukiwaniach do tego stopnia wytrąciło mnie z psychicznej równowagi, iż sądziłem przez chwilę, że zwariowałem.

Nigdy nie telefonowałem do ojca ani nie posyłałem mu nic poza pocztówkami. Kiedy zginąłem, nie wiedziałem nawet, czy on jeszcze żyje, i zobaczyłem go dopiero u wlotu do błękitnego tunelu wiodącego w Zaświaty. A przecież ucziłem go jedną rzeczą, z której, jak sądziłem, wciąż musiał być dumny: Ja również byłem w piechocie morskiej. To już rodzinna tradycja.

A na dodatek zostałem pisarzem, gryzmołącym zupełnie jak on — co nie znaczy, że może istnieć w ogóle jakiś czytelnik tych wypocin. Nie ma nikogo takiego. Nie może być.

A teraz obydwaj zachowywaliśmy się jak tokujące głuptaki błękitnonogie, robiące to, co muszą robić, niezależnie, czy ktoś się temu przygląda, czy też — co bardziej prawdopodobne — nie.

— Jesteś dokładnie taki sam, jak matka — powiedział ojciec.

— W jakim sensie? — spytałem.

— A znasz jej ulubiony cytat? — odparł pytaniem na pytanie.

Oczywiście, że znam, podobnie jak Mandarax. To właśnie motto tej książki.

— Wierzysz, że ludzkie istoty są w gruncie rzeczy dobrymi zwierzętami, które w końcu rozwiążą swoje problemy i na powrót zbudują na ziemi rajski ogród.

— Pozwól mi ją zobaczyć, proszę — przerwałem mu. Wiedziałem, że matka jest gdzieś po drugiej stronie tunelu, że już nie żyje. Pierwszym pytaniem, jakie zadałem ojcu po mojej śmierci, było pytanie, czy nie wie, co się stało z matką. Zanim wstąpiłem do marines, szukałem jej dosłownie wszędzie.

— Czy to matka stoi za tobą? — spytałem. Błękitny tunel znajdował się w stadium niespokojnego kurczenia się i rozkurczania. Jego skręty pozwalały mi często na przelotne zerknięcia do wewnątrz. Dostrzegłem tam kobietę i pomyślałem, że być może jest to moja matka — ale się przeliczyłem.

— To ja, Naomi Tharp, Leonie — odezwała się do mnie kobieta. Była to nasza sąsiadka, która przez jakiś czas po ucieczce matki starała się jak mogła, aby mi ją zastąpić.

— To ja, pani Tharp! — wołała. — Pamiętasz mnie, Leon? Pamiętasz, jak wchodziłeś do mnie kuchennymi drzwiami? Zrób teraz to samo. Bądź dobrym chłopcem. Nie chcesz chyba siedzieć tam przez milion lat?

Zrobiłem następny krok w stronę tunelu. „Bahia de Darwin” wyglądała jak fantazyjna pajęczyna, za to błękitny tunel stawał się tak konkretny i realny jak tramwaj w Malmö, którym dojeżdżałem codziennie do stoczni.

I wtedy właśnie dobiegł mnie z pajęczynowego bocianiego gniazda „Bahii de Darwin” nikły głos monotonicznie coś wykrzykującej Mary Hepburn. Pomyślałem, że Mary przeżywa jakąś śmiertelną udrękę. Nie rozumiałem słów, ponieważ jej głos brzmiał tak, jak gdyby została postrzelona w brzuch.

Musiałem dowiedzieć się, o co chodzi, i zrobiłem dwa kroki do tyłu, a potem odwróciłem się i popatrzyłem na Mary. Na przemian zanosila się płaczem i śmiechem. Przewieszona głową w dół przez stalową barierkę bocianiego gniazda, wołała do Kapitana stojącego na mostku:

— Ziemia na horyzoncie! Ziemia na horyzoncie! O Boże, Boże! Ziemia! Ziemia na horyzoncie!

## 8

Lądem, który zobaczyła Mary, była Santa Rosalia. Kapitan, rzecz jasna, natychmiast skierował statek w jej stronę, spodziewając się, że jest zamieszkała przez ludzi, a także — co było nie mniej ważne — przez zwierzęta, które można by ugotować i zjeść.

Pozostawało jeszcze odpowiedzieć na pytanie, czy powinienem, czy też nie powinienem obserwować, co stanie się dalej. Cena, jaką musiałbym zapłacić za zaspokojenie ciekawości, co też przydarzy się ludziom ze statku, była ustalona bez niedomówień — milion lat błąkania się po ziemi bez żadnej szansy na amnestię.

Decyzję podjęła za mnie Mary Hepburn, „pani Flemming”, której radość przykuła moją uwagę na tak długo, że kiedy odwróciłem się w stronę tunelu, nie było już po nim nawet śladu.

Powinienem teraz dokonać podsumowania całego miliona lat. Powinienem teraz do końca spłacić dług wobec społeczeństwa, czy jak to tam zwać. W każdej chwili mogę

spodziewać się, że ponownie ujrzę błękitny tunel. Z największą przyjemnością zanurzę się w jego wnętrzu. Tutaj nie zdarzy się nic, czego bym dotąd nie widział lub o czym nie słyszałbym już setki razy. Nikt tutaj, oczywiście, nie jest już zdolny do skomponowania IX Symfonii Beethovena — ani też do kłamstwa czy wywołania III wojny światowej.

Matka miała rację — nawet w najgorszych dla ludzkości czasach zawsze istniała realna nadzieja.

W poniedziałkowe popołudnie, 1 grudnia 1986 roku, Kapitan Adolf von Kleist, którego statek pozbawiony był kotwicy — świadomie osadził „Bahię de Darwin” na znajdującej się blisko brzegu mieliźnie. Wierzył, że kiedy przyjdzie znowu ruszać w drogę, uda mu się ściągnąć ją tak, jak to miało miejsce w Guayaquil.

Kiedy Kapitan zamierzał powrócić na morze? Jak tylko okrętowe spiżarnie zostaną napełnione jajami, głuptakami, iguanami, pingwinami, kormoranami, krabami i w ogóle wszystkim, co jest jadalne i co da się złapać. Kiedy zapasy żywności dorównają zapasom paliwa i wody, Kapitan będzie mógł zawrócić niespiesznie w stronę kontynentu i poszukać jakiegoś spokojnego portu. Postanowił na nowo odkryć Amerykę.

Kapitan wyłączył swoje wierne silniki. W tym też momencie skończyła się ich wierność. Z powodów, których nigdy nie odgadł, nie dało się ich już uruchomić.

Oznaczało to, że również piece, kuchenki i lodówki wypadną wkrótce z interesu — jak tylko wyczerpią się baterie.

Na rufie znajdowało się jeszcze dziesięć metrów cumy, białej nylonowej pępowiny owijającej kołek na głównym pokładzie. Kapitan zawiązał na niej supły i razem z Mary opuścili się na mieliżnę. Następnie oboje dobrnęli do brzegu, gdzie zaczęli szukać jaj i zabijać mniejsze zwierzęta, które w ogóle się ich nie bały. Zamiast toreb na zakupy wzięli z sobą bluzę Mary i nową koszulkę Jamesa Waita, przy której nadal wisiała metka z ceną.

Kapitan i Mary ukręcali głuptakom łby, łapali lądowe iguany za ogon i tłukli je na śmierć waląc nimi o czarne głazy. To właśnie podczas tej rzezi Mary się zadrasnęła, a nieustraszony łuszczak-wampir napił się po raz pierwszy ludzkiej krwi.

Zabójcy pozostawili w spokoju morskie iguany, uważając je za niejadalne.

Minęły dwa lata, zanim odkryli, że częściowo strawione wodorosty, znajdujące się w brzuchach tych stworzeń, są nie tylko smacznym gorącym daniem, w dodatku już ugotowanym, ale uzupełniają też brak witamin i składników mineralnych, z czym były dotychczas kłopoty. Odkrycie to pozwoliło na skompletowanie diety. Niektórzy, co więcej, trawili owo puree lepiej niż inni, dzięki czemu byli zdrowsi, mieli lepszą prezencję i stali się tym samym bardziej pożądanymi partnerami seksualnymi. A zatem Prawo Doboru Naturalnego przystąpiło do dzieła, w wyniku którego — milion lat później — ludzkie istoty potrafiły już same trawić wodorosty — bez pośrednictwa morskiej iguany, którą pozostawiono w spokoju.

Dla obu stron był to o wiele sympatyczniejszy układ.

Ludzie nadal polują na ryby, chociaż w okresach, kiedy ławice są zbyt skromne — wciąż jeszcze żywią się głuptakami, które wciąż jeszcze wcale się ich nie boją.

Mógłbym zostać tu przez następny milion lat i jestem pewien, że dla głuptaków ten czas nie byłby wystarczający, by uświadomiły sobie, iż ludzkie istoty są niebezpieczne. Tak, jak już wcześniej mówiłem, w porze godowej głuptaki wciąż tańczą, tańczą i tańczą.

Tego wieczoru ludzie na „Bahii de Darwin” spożyli prawdziwą ucztę. Odbyła się ona na pokładzie plażowym. Sam pokład służył za zastawę, zaś Kapitan był szefem kuchni. W menu znajdowały się smażone lądowe iguany nadziewane mięsem krabów i siekanymi łuszczakami, pieczone głuptaki w przybraniu ze swoich własnych jaj i polaną topionym tłuszczem pingwina. Wybornie to smakowało. Wszyscy byli znowu szczęśliwi.

Nazajutrz o świcie Kapitan i Mary ponownie zeszli na ląd, zabierając z sobą Kanka-bonki. Dziewczyny zaczęły w końcu rozumieć co nieco z sytuacji, w jakiej się znalazły. Wszyscy razem zabijali i zabijali, a potem znosili i znosili trupy, aż okrętowa chłodnia wypełniła się, poza Jamesem Waitem, taką ilością ptaków, iguan i jaj, że starczyłoby tego na dobry miesiąc, gdyby zaszła taka potrzeba. Obecnie na statku było nie tylko mnóstwo paliwa i wody, ale i jedzenia.

Następnie Kapitan postanowił uruchomić silniki. Zamierzał ruszyć prosto na wschód z maksymalną prędkością. Nie było sposobu, by ominęli którąś z Ameryk, chyba że — jak powiedział do Mary, gdy mu wróciło poczucie humoru: „będziemy mieli dość



pecha, aby prześlizgnąć się przez Kanał Panamski. Lecz jeśli tak się stanie, to mogę pani zagwarantować pod przysięgą, że wkrótce wylądujemy w Europie lub w Afryce”.

I Kapitan wybuchnął śmiechem. Śmiała się też Mary. Wyglądało na to, że w końcu wszystko dobrze się ułoży. I wtedy właśnie silniki odmówiły posłuszeństwa.

## 9

Aż do momentu, w którym „Bahia de Darwin” spoczęła na cichym dnie oceanu, co nastąpiło we wrześniu 1996 roku, wszyscy z wyjątkiem Kapitana nazywali ją pseudonimem nadanym przez Mary, a brzmiącym „Okno zabite dechami”.

Ten obraźliwy epitet wziął się z piosenki, której Mary nauczyła się od Mandaraxa, a która leciała tak:

*Raz w rejs oceaniczny wyruszył statek śliczny.*

*Zwał się Okno zabite dechami.*

*Żadne burze i trwogi nie martwiły załogi,*

*A kapitan był twardy jak granit.*

*I facet za sterem też nie był frajerem,*

*Miał za nic najdziksza burzę.*

*Aż się okazało, gdy niebo zjaśniało,*

*Że spał pod pokładem jak suseł.*

Charles Carryl (1842-1920)

I Hisako Hiroguchi, i jej futerkowa córka Akiko, i Selena MacIntosh nazywały „Bahię de Darwin” „Okno zabite dechami”. Mówiły tak również Kanka-bonki, które nie rozumiały, co prawda, znaczenia tych słów, ale podobało im się ich brzmienie. A kiedy urodziły swe własne dzieci, opowiadały im, że przybyły z kontynentu na magicznym statku o nazwie „Okno zabite dechami”.

Akiko, która była równie biegła w kanka-bońskim, jak w japońskim i angielskim, i która była jedyną nie-Kanka-bonką, jaka potrafiła się z nimi dogadać, nigdy nie znalazła zadowalającego sposobu na przetłumaczenie na kanka-boński zwrotu „okno zabite dechami”.

Kanka-bonki nigdy nie zrozumiały tych słów ani ich komicznej wymowy w

większym stopniu, niż mogliby pojąć je współcześni ludzie, gdybym szepnął im — wygrzewającym się na białej, piaszczystej plaży nad błękitną laguną — wprost do ucha: „Okno zabite dechami”.

Wkrótce potem, jak „Okno zabite dechami” poszło na dno, Mary przystąpiła do realizacji swojego programu sztucznego zapładniania. Miała wtedy sześćdziesiąt jeden lat. Była jedyną partnerką seksualną Kapitana, który osiągnął już sześćdziesiąty szósty rok życia i którego popęd seksualny nie był już zbyt silny. Kapitan wciąż jeszcze trwał w postanowieniu, że się nie rozmnoży, ponieważ sądził, iż są jeszcze duże szanse na to, że zaatakuje go płasawica Huntingtona. Poza tym był rasistą i nie odczuwał żadnej sympatii ani do Hisako i jej futerkowej córki, ani do żadnej z indiańskich kobiet, które miały później urodzić jego dzieci.

Pamiętajcie o tym, że ci ludzie spodziewali się w każdej chwili ratunku i w żadnym wypadku nie mogli wiedzieć, że są ostatnią nadzieją ludzkiej rasy. Jeżeli więc angażowali się w seks, to robili to po prostu dlatego, aby przyjemniej spędzić trochę czasu, by zaspokoić żądzę, by łatwiej usnąć lub z jakiegoś innego powodu. Z ich punktu widzenia, płodzenie dzieci było czynnością nieodpowiedzialną, jako że Santa Rosalia nie nadawała się na miejsce ich wychowywania, a poza tym dzieci mogłyby nadwerężyć system aprowizacyjny.

Mary, zanim jeszcze „Okno zabite dechami” połączyło się z ekwadorską flotyllą okrętów podwodnych, odczuwała tak silnie, jak nikt inny, że to byłaby tragedia, gdyby na wyspie miały urodzić się dzieci.

Dusza Mary uważała tak w dalszym ciągu, ale jej wielki mózg zaczął kombinować, ostrożnie — tak by jej nie spłoszyć — że gdyby udało się jakoś przenieść spermę, którą Kapitan mniej więcej dwa razy w miesiącu wstrzykiwał w Mary, i umieścić w którejś z płodnych kobiet, to wtedy — trzask-prask — skończyłoby się to ciążą. Akiko, która miała wtedy zaledwie dziesięć lat, nie wchodziła w rachubę. Za to Kanka-bonki, mające od piętnastu do dziewiętnastu lat, nadawały się do tego wybornie.

Wielki mózg Mary powiedział jej to, co ona sama tak często powtarzała swoim uczniom: że nie ma nic złego, a wręcz jest wiele dobrego w tym, że ludzie wcielają w

życie pomysły zrodzone w ich głowach, bez względu na to, jak bardzo wydają się one nierealne, niepraktyczne czy wręcz zwariowane. Uspokajała się w taki sam sposób, w jaki rozwiewała wątpliwości nastolatków z Ilium, twierdząc, że próby wcielenia w życie najbardziej nawet szalonych pomysłów wyrosłych z naukowej intuicji doprowadziły do tego. co Mary nazywała milion lat temu „epoką nowożytną”.

Mary zasięgnęła opinii Mandaraxa na temat ciekawości.

Mandarax stwierdził, że:

*Ciekawość jest jedną z trwałych i niezawodnych właściwości energicznego umysłu.*

Samuel Johnson (1709-1784)

Tym, czego nie powiedział jej Mandarax i czego, rzecz jasna, nawet nie zamierzał powiedzieć Mary jej wielki mózg, było to, że jeśli przejmie się nowatorską ideą i jeśli ta idea będzie miała szansę na realizację, jej wielki mózg zmieni jej życie w piekło, dopóki naprawdę nie zrealizuje swojego pomysłu.

Był to, moim zdaniem, najbardziej diaboliczny aspekt owych pradawnych wielkich mózgów. W rzeczy samej, mawiały one do swoich właścicieli:

— Prawdopodobnie to, co robimy, jest czystym kretynstwem, ale przecież nie możemy tego nie robić. To właściwie jest śmieszne, jak się o tym pomyśli.

No i potem, jak gdyby w transie, ludzie naprawdę to robili — zmuszali niewolników do walki na śmierć i życie na cyrkowej arenie, żywcem palili na publicznych placach ludzi, których poglądy były lokalnie niepopularne; budowali fabryki, których jedynym przeznaczeniem było zabijanie na skalę przemysłową, wysadzali w powietrze całe miasta i tak dalej i tak dalej.

Gdzieś w Mandaraksie powinno być, a nie było, ostrzeżenie tej treści: „W epoce wielkich mózgów wszystko, co tylko da się zrobić, będzie zrobione — więc lepiej siedź na dupie”.

Najbliższy temu cytat, jaki znał Mandarax, pochodził od Thomasa Carlyle'a (1795-1881):

*Wątpliwość, jakiegokolwiek rodzaju, może się skończyć na Czynie samym.*

Wątpliwości Mary związane z tym, czy na bezludnej wyspie jedna kobieta może

zapłodnić drugą bez żadnych środków technicznych, doprowadziły ją do czynu. W stanie zbliżonym do transu, Mary, w towarzystwie Akiko w charakterze tłumaczki, znalazła się w obozowisku Kanka-bonek po drugiej stronie krateru.

Złapałem się teraz na tym, że wspominam swojego ojca z czasów, kiedy jeszcze żył, kiedy był wiecznie poplamionym atramentem nieszczęśnikiem z Cohoes. Wciąż żywił nadzieję, że uda mu się sprzedać coś dla filmu, w związku z czym nie będzie musiał brać dorywczych zajęć i będzie nas stać na opłacenie sprzątaczk i kucharki.

Bez względu na to, jak bardzo ojciec wzdychał do producentów filmowych, kluczowe sceny w dosłownie każdej jego powieści i opowiadaniu dotyczyły zdarzeń, jakich żaden normalny człowiek nie wsadziłby do filmu, o ile tylko zależało mu na tym, aby film cieszył się popularnością.

A teraz sam opowiadam historię, której kluczowa scena nigdy nie mogłaby znaleźć się w popularnym filmie sprzed miliona lat. W scenie tej Mary Hepburn, jak zahipnotyzowana, wkłada palec wskazujący prawej ręki w swoją pochwę, a następnie w pochwę osiemnastoletniej Kanka-bonki, zapładniając ją w ten sposób.

Mary myślała później o dowcipie, jaki przyszedł jej do głowy w związku z tym brawurowym, niewytłumaczalnym, lekkomyślnym, jawnym wariactwem, na jakie pozwoliła sobie z ciałem nie jednej, a wszystkich kanka-bońskich nastolatek. Ponieważ jedynym kolonistą, który mógł zrozumieć ten dowcip, był Kapitan, z którym Mary nie rozmawiała, zachowała go więc dla siebie. Dowcip, gdyby został opowiedziany, leciałby mniej więcej tak:

„Gdybym wpadła na to będąc jeszcze nauczycielką w Ilium, siedziałabym teraz w nowojorskim kiciu dla kobiet, a nie na tej zakazanej wyspie”.

## 10

Kiedy statek poszedł na dno, zabrał z sobą kości Jamesa Waita, kompletnie pomieszane w zamrażarce z kośćmi różnych, istniejących do dzisiaj gatunków gadów i ptaków. Jedynie takie kości jak Waita nie są dziś obrośnięte ciałem.

Te kości należały widocznie do samca jakiegoś gatunku małpy, który poruszał się w pozycji wyprostowanej i posiadał nienormalnie wielki mózg, którego przeznaczeniem, jak można sądzić, było kontrolowanie ruchów rąk, pomysłowo wyposażonych w stawy.

Być może ta małpa umiała krzesać ogień. Być może używała jakichś narzędzi.

Niewykluczone, że posługiwała się też językiem, złożonym z tuzina lub więcej słów.

Kiedy statek poszedł na dno, Kapitan jako jedyny na wyspie posiadał brodę. Rok później miał narodzić się jego syn, Kamikaze. Trzydzieści lat później na wyspie były już dwie brody — druga należała do Kamikaze.

Rzecz Mandarax:

*Raz pewien starzec siwobrody  
Ze strachu omal nie wpadł do wody!  
Bo dwie sowy, kukulka,  
Szpak i pustulka  
Uwiły gniazda w splotach jego brody.*

Edward Lear (1812-1888)

Kiedy statek poszedł już na dno, a kolonia obchodziła dziesięciolecie istnienia, Kapitan stał się strasznym nudziarzem, nie miał ani o czym rozmyślać, ani co robić. Większość czasu spędzał w sąsiedztwie jedynej na wyspie zbiornika wody, jakim było źródło na dnie krateru. Gdy ludzie przychodzili po wodę, przyjmował ich tak, jakby był dobrotliwym i wielce uczonym władcą źródła, jego pomocnikiem i opiekunem. Informował nawet Kanka-bonki, które nigdy nie zrozumiały ani jednego słowa, o aktualnym stanie źródła, opisując jego bieg po kamieniach jako „bardzo dziś nerwowo” lub „wyjątkowo dzisiaj radosny” albo „niezwykle leniwy” czy też jeszcze inaczej.

Faktycznie zaś nurt źródła był całkowicie jednostajny, taki sam, jak przez tysiące lat przed przybyciem kolonistów, i pozostał taki sam do dzisiaj, chociaż ludzie zdążyli się tymczasem od niego uniezależnić. A oto na jakiej zasadzie to działało — i nie trzeba być absolwentem Akademii Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, aby pojąć tę tajemnicę: W kraterze jak w olbrzymiej misie zbierała się deszczówka ukryta przed słońcem pod grubą warstwą wulkanicznego rumowiska. Wielka micha była nieszczelna i stąd brało się źródło.

Nie było żadnego sposobu, aby Kapitan, mający nawet tak wiele wolnego czasu, ulepszył jakoś działanie źródła. Już wcześniej i bez niczyjej pomocy dawało sobie radę w sposób jak najbardziej zadowolający, wypływając przez szczelinę w lawie, i jak zawsze trafiało do naturalnej miski znajdującej się dziesięć centymetrów niżej. Ta naturalna miska miała rozmiary zbliżone do umywalki znajdującej się w łazience głównego salonu „Okna zabitego dechami”. Gdy ją opróżniono — tę naturalną miskę — to w ciągu dwudziestu trzech minut i jedenastu sekund, według obliczeń Mandaraxa, znów była pełna, i to bez względu na to, czy Kapitan pomagał jej w jakiś sposób, czy nie.

Jak mógłbym opisać schyłkowe lata Kapitana? Można powiedzieć, że czuł się zrezygnowany i zrozpaczony. Rzecz jasna, by czuć się w ten sposób, nie musiał koniecznie zostać rozbitkiem na Santa Rosalii.

Rzecz Mandarax:

*Większość ludzi prowadzi życie w cichej rozpacz.*

Henry David Thoreau (1817-1862)

Dlaczego jednak cicha rozpacz była niegdyś tak rozpowszechnioną chorobą, zwłaszcza wśród mężczyzn? Raz jeszcze wywołam na scenę jedyny naprawdę czarny charakter w tej historii — przerośnięty ludzki mózg.

Dzisiaj niczyje życie nie upływa ~w cichej rozpacz. Masa ludzi żyła w cichej rozpacz milion lat temu, ponieważ diabelskie komputery znajdujące się w ich czaszkach nie były zdolne do umiarkowania czy lenistwa; bez przerwy domagały się coraz więcej i więcej śmiałych wyzwań, których życie nie było w stanie dostarczyć.

Opisałem już niemal wszystkie najważniejsze, moim zdaniem, okoliczności i wydarzenia związane z cudownym ocaleniem ludzkości. Zapamiętałem je w postaci jak gdyby kluczy do szeregu drzwi; za ostatnim zamknięte było doskonałe szczęście.

Jeden z tych kluczy to, rzecz jasna, brak na Santa Rosalii jakichkolwiek narzędzi, nie licząc lichych kombinacji kości, gałązek, kamieni, rybich i ptasich jelit.

Gdyby Kapitan miał do dyspozycji jakieś przyzwoite narzędzia, łomy, kilofy, łopaty i tak dalej, na pewno znalazłby sposób, by — w imię nauki i postępu — zatamować strumień, co doprowadziłoby do tego, że krater pozbyłby się gwałtownie

całej swojej zawartości w ciągu tygodnia lub dwóch.

A co do równowagi, jaką koloniści utrzymywali w dziedzinie aprowizacji: Muszę stwierdzić, że polegała ona nie na inteligencji, a na szczęściu.

Natura postanowiła po prostu być na tyle wspaniałomyślna, by zawsze mieli co jeść. Ptaki z innych wysp przeżywały tłuste lata, a zatem z przeludnionych kolonii ruszały na Santa Rosalię fale uchodźców, zamierzających osiedlić się w gniazdach, jakie zostały po zjedzonych przez ludzi ptakach. Podobnej szansy na emigrację nie miały morskie iguany, które nie były długodystansowymi pływakami. Jednakże obrzydliwy wygląd tych skrofulicznych gadów w połączeniu z zawartością ich jelit spowodował, że ludzie decydowali się używać ich jako pożywienia jedynie w sytuacji, gdy nie było niczego innego.

Wszyscy zgadzali się, że najlepszym daniem jest jajko, gotowane godzinami na słońcu, na specjalnym płaskim kamieniu — na Santa Rosalii nie było ognia. Potem szły ryby, kradzione ptakom. Potem były same ptaki. A potem dopiero zielona papka z żołądka morskiej iguany.

Natura, w rzeczy samej, była tak szczodra, że zadbała o rezerwę żywnościową, o której koloniści dobrze wiedzieli, ale z której nigdy nie musieli korzystać. Rezerwą tą były foki i lwy morskie w każdym wieku, ani nie płochliwe, ani nie groźne — z wyjątkiem samców w okresie rui. Leżały dosłownie wszędzie, robiąc słodkie oczy do przechodzących ludzi. Były jadalne jak cholera.

To, że koloniści wymordowali niemal od razu wszystkie lądowe iguany, mogło się skończyć fatalnie — ale okazało się, że nie była to katastrofa. Takie działanie mogło mieć wielkie znaczenie. Tak się jednak stało, że nie miało większego znaczenia. Na Santa Rosalii nie było już wielkich lądowych żółwi, w przeciwnym bowiem razie koloniści prawdopodobnie również by je wymordowali. Tak czy tak, nie miałyby to znaczenia.

Tymczasem w innych częściach świata, a zwłaszcza w Afryce, ludzie umierali milionami, ponieważ mieli pecha. Przez całe lata nie spadła ani jedna kropla deszczu. Normalnie powinno zdrowo lać, a jednak wyglądało na to, że już nigdy nie będzie padać.

Przynajmniej Afrykańczycy musieli przestać się rozmnażać. Chociaż tyle było z tego pożytku. Był też w tym pewien ratunek. Mam na myśli, że nie było już specjalnych

powodów do rozmnażania się.

Kapitan zorientował się, że Kanka-bonki są w ciąży, dopiero na miesiąc przed narodzinami pierwszego dziecka. Tak się złożyło, że był to chłopiec — pierwszy rodowity wyspiarz — który stał się znany pod pseudonimem nadanym mu przez futrzastą Akiko, a wyrażającym jej zachwyt z powodu jego męskości. Ów pseudonim brzmiał „Kamikaze”, co w języku japońskim oznacza „boski wiatr”.

Pierwsi koloniści nigdy nie tworzyli jednej wielkiej rodziny. Jednakże po śmierci ostatniego z nich, taką rodziną miały stać się następne pokolenia. Jej członkowie posiadali wspólny język, wspólną religię, wspólne piosenki, kawały, tańce i tak dalej, niemal wszystko kanka-bońskiego pochodzenia. A Kamikaze, kiedy już się bardzo, bardzo postarzał, stał się kimś, kim Kapitan nigdy nie był, to jest ogólnie szanowanym patriarchą. A Akiko została ogólnie czczoną matroną.

To stało się bardzo szybko, to przekształcenie się tak przypadkowego materiału genetycznego w tak doskonale spójną ludzką rodzinę. Wspaniale było na nich patrzeć. Niemal pokochałem ludzi takimi, jakimi byli w tamtej epoce, a także wielkie mózgi i w ogóle.

## 11

Kapitan tak późno połapał się, że Kanka-bonki są w ciąży, ponieważ, rzecz jasna, nikt mu o tym nie mówił i ponieważ prawie ich nie widywał, jako że Indianki bardzo go nienawidziły, głównie z powodu rasizmu. Przychodziły po wodę na jego stronę krateru jedynie późno w nocy, kiedy to zazwyczaj spał kamiennym snem — właśnie dlatego, by się z nim nie spotkać.

Jednak na miesiąc przed narodzinami Kamikaze Kapitan nie mógł zasnąć. Jego wielki mózg sprawił, że wiercił się i kręcił układając plan, jak przekopać się od szczytu krateru do zbiornika wody i zlokalizować przeciek, dzięki czemu można byłoby uzyskać kontrolę nad czymś, na co wszyscy mieli powody się uskarżać — nad wydajnością źródła.

Nawiasem mówiąc, ten inżynierski projekt był niemal tak samo skromny, jak



wzniesienie Wielkiej Piramidy Cheopsa lub budowa Kanału Panamskiego.

Kapitan wylazł więc z legowiska i w środku nocy udał się na spacer. Była pełnia księżyca. Kiedy doszedł do źródła, zobaczył sześć Kanka-bonek, głaszczących i poklepujących powierzchnię wody, tak jak gdyby to było oswojone zwierzę, ochlapujących się nawzajem i tak dalej. Świetnie się bawiły i w ogóle były szczęśliwe, ponieważ wszystkie miały wkrótce urodzić dzieci.

Zabawa urwała się w chwili, w której dostrzegły Kapitana. Uważały go za złego człowieka. Kapitan jednak również był skonsternowany, ponieważ niczego na sobie nie miał. Nie przypuszczał, że może kogoś spotkać, więc nie zawracał sobie głowy wkładaniem spodni ze skóry iguany. I teraz, po dziesięciu latach spędzonych na Santa Rosalii, Kanka-bonki po raz pierwszy ujrzały jego genitalia. Parsknęły śmiechem i już nie mogły przestać się śmiać.

Kapitan wycofał się do swego mieszkania, w którym twardo spała Mary. Śmiech Kanka-bonek uznał za objaw naiwności. Pomyślał także, iż jedna z kobiet musi mieć raka, pasożyta albo jakąś infekcję brzucha, tak że, pomimo swojej wesołości, najpewniej wkrótce umrze.

Następnego dnia rano Kapitan wspomniał o tym Mary, która uśmiechnęła się zagadkowo.

— Czy to jest powód do śmiechu? — zapytał.

— A czy ja się śmieję? — odparła Mary. — Mój Boże — to jasne, że nie ma się z czego śmiać.

— Obrzęk taki jak ten — kontynuował Kapitan — nie jest czymś, co można lekceważyć.

— Trudno się z tobą nie zgodzić — przyznała Mary.

— Powinniśmy teraz uważnie patrzeć i czekać, co z tego będzie. Cóż więcej możemy zrobić?

— Ona była taka radosna — zdumiewał się Kapitan.

— W ogóle nie sprawiała wrażenia, że przejmuje się tym okropnym obrzękiem.

— Sam wielokrotnie mówiłeś — zwróciła mu uwagę Mary — że one nie są takie jak my. Że myślą prymitywnie. Że biorą wszystko za dobrą monetę. Że uważają, iż

prawie nic nie potrafią zrobić, w jakiegokolwiek dziedzinie i w jakikolwiek sposób, i że w związku z tym biorą życie takim, jakie ono jest.

Mary miała przy sobie Mandaraxa. Jedyne ona i zaledwie dziesięcioletnia Akiko wciąż jeszcze uważały, że jest to całkiem zabawne urządzenie. Gdyby nie one, Mandarax już dawno wylądowałby w oceanie, wrzucony doń przez Kapitana, Hisako lub Selenę, którzy czuli się okpieni jego bezużytecznymi poradami, bezmyślną mądrością i wysiłonym dowcipem.

Kapitan faktycznie czuł się osobiście obrażony od czasu, kiedy Mandarax wyskoczył z poematem o śmiesznym kapitanie „Okna zabitego dechami”.

Więc Mary wystąpiła teraz z komentarzem dotyczącym domniemanej ignorancji Kanka-bonki, która była szczęśliwa pomimo rozrostu brzucha, a mianowicie:

*Najszcześniejszy żywot opiera się na niewiedzy,  
Nim nauczysz się sprawiać ból i sprawiać radość.*

Sofokles (496-406 p.n e.)

Mary igrała z Kapitanem w sposób, który ja, były mężczyzna, zmuszony jestem ocenić jako kołtuński i podły. Gdybym za życia był kobietą, prawdopodobnie byłbym zachwycony dyskretnymi szyderstwami Mary na temat ograniczonej roli, jaką w owych czasach mężczyźni odgrywali w dziedzinie reprodukcji. Dzisiaj zresztą jest tak samo. Nic się nie zmieniło. Wciąż jeszcze są wielkimi cymbałami, od których oczekuje się, że w porę strzykną żywą spermą.

Dyskretnie szyderstwa Mary stały się wkrótce jawne i wstrętne. Kiedy urodził się Kamikaze, Kapitan — który dowiedział się, że jest jego ojcem — wyjąkał, iż należało wcześniej go o tym powiadomić.

Mary odpowiedziała mu w ten sposób:

— Nie musiałeś przecież nosić dziecka przez dziewięć miesięcy ani męczyć się torując mu drogę spomiędzy własnych nóg. Nie jesteś w stanie karmić go piersią, nawet gdybyś chciał, w co jednak wątpię. Poza tym nikt nie oczekuje od ciebie żadnej pomocy w jego wychowaniu. W rzeczy samej, cała nadzieja w tym, że nie będziesz się absolutnie do tego wtrącał.

— Nawet pomimo, że... — usiłował zaprotestować Kapitan.

— O Boże — przerwała Mary — gdybyśmy potrafiły zrobić dziecko z plwociny

morskiej iguany, nie sądzisz, że tak właśnie byśmy zrobiły i nawet nie zwracały głowy Waszej Wysokości?

12

Po tym, co Mary powiedziała Kapitanowi, nie było już żadnej szansy, aby ich stosunki układały się tak, jak poprzednio. Milion lat temu powstawała masa wielkomózgowych teorii na temat sposobów zapobiegania rozpadowi małżeństwa i gdyby Mary naprawdę chciała żyć z Kapitanem trochę dłużej, mogłaby skorzystać co najmniej z jednego z nich. Mogła mu po prostu powiedzieć, że Kanka-bonki uprawiały seks z fokami i morskimi lwami. Kapitan mógłby w to uwierzyć, i to nie tylko dlatego, że miał złą opinię na temat prowadzenia się kobiet, ale dlatego, że nigdy nie domyśliłby się, iż doszło do sztucznego zapłodnienia. Nie zdawał sobie sprawy, że jest to w tych warunkach możliwe, chociaż zabieg okazał się dziecinnie łatwy, prosty jak drut.

Rzeczce Mandarax:

*Jest coś, co nie znosi ścian.*

Robert Frost (1874-1963)

Do czego mogę dorzucić:

*Tak, lecz jest coś takiego, co uwielbia blony śluzowe.*

Leon Trotsky Trout (1946-1 001 986)

Tak więc Mary mogła uratować swój związek z Kapitanem dzięki kłamstwu, choć wciąż jeszcze byłaby pewna niejasność do wytłumaczenia, a mianowicie niebieskie oczy Kamikaze. Nawiasem mówiąc, obecnie jedna osoba na dwanaście posiada niebieskie oczy Kapitana i jego kędzierzawe, złote włosy. Czasami żartuję sobie z tych okazji, mówiąc: „Guten morgen, Herr von Kleist” albo: „, Wie geht's es Ihnen, Fraulein von Kleist?” To wszystko, co umiem po niemiecku. Dzisiaj to i tak więcej, niż potrzeba.

Czy Mary Hepburn powinna była ratować swój związek przy pomocy kłamstwa? Kwestia do dziś pozostaje nie rozstrzygnięta. Nie byli idealną parą. Zeszli się jakoś ze sobą po tym, jak Selena połączyła się z Hisako, by wspólnie wychowywać dziecko, a Kanka-bonki przeniosły się na najdalszy brzeg krateru, by zachować czystość kanka-bońskich wierzeń, przekonań i obyczajów.

Nawiasem mówiąc, jeden z kanka-bońskich zwyczajów polegał na trzymaniu w sekrecie swych imion przed każdym, kto nie był Kanka-bono. Niemniej jednak byłem wtajemniczony w ten sekret, tak jak w sekrety każdego innego człowieka, i nie sądzę, abym komukolwiek zaszkodził, jeżeli ujawnię teraz, że pierwsza z kobiet, jaka urodziła dziecko Kapitana, miała na imię Sinka, druga — Lor; trzecia — Lira; czwarta — Dirno; piąta — Nanno; a szósta — Keel.

Po tym, jak Mary wyprowadziła się od Kapitana i zbudowała sobie swój własny szałas i własne legowisko z pierza, mawiała do Akiko, że nie czuje się bardziej samotna niż wtedy, gdy mieszkała z Kapitanem. Mary zarzucała Kapitanowi kilka konkretnych wad, które mógł wyeliminować, gdyby w ogóle zależało mu na tym, aby uczynić ich związek zdolnym do przetrwania.

— Aby związek był trwały, musi nad tym pracować dwoje ludzi — pouczała Mary młodą Akiko. — Jeżeli przykłada się do tego tylko jedna osoba, możesz zapomnieć o czymś takim jak trwały związek. To nie jest dobre i każdy, kto sam jeden stara się, tak jak ja to robiłam, ma przez cały czas uczucie, że ktoś tu robi z niego balona. Widzisz, Akiko, byłam raz w życiu naprawdę szczęśliwa w małżeństwie — i mogłam być szczęśliwa po raz drugi, gdyby Willard nie umarł — więc chyba wiem, jak to naprawdę wygląda. Następnie Mary wyliczyła cztery najpoważniejsze wady Kapitana, którym mógł być zaradzić, gdyby zechciał:

1. Kiedy mówił o tym, co zamierza robić, gdy zostaną uratowani — nigdy nie uwzględniał jej w swoich planach.

2. Nabijał się z Willarda Flemminga, chociaż dobrze wiedział, że to ją rani. Powątpiewał w to, że Willard skomponował dwie symfonie, że wiedział wszystko na temat wiatraków, a nawet w to, że kiedykolwiek jeździł na nartach.

3. Nieustannie narzekał na bipnięcia Mandaraxa, kiedy Mary naciskała różne klawisze, aczkolwiek owe bipnięcia były ledwie słyszalne i chociaż doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak ważne było dla niej wzbogacanie umysłu, zapamiętywanie słynnych cytatów, uczenie się nowych języków i tak dalej.

4. Wolałby raczej udławić się na śmierć niż choć raz powiedzieć „kocham cię”.

— To właśnie cztery największe wady — powiedziała. Było w tym wszystkim

mnóstwo skrywanej urazy, którą Mary wyrzuciła z siebie, mówiąc Kapitanowi o plwocinie morskiej iguany.

W rozpadzie tego związku nie widzę nic tragicznego, jako że nie były w to wmieszane małe dzieci, a samotne życie nie było dla żadnej ze stron absolutnie nieznośne. Każde z nich regularnie odwiedzała Akiko, a kiedy Kamikaze dorobił się zarostu, Akiko przychodziła w odwiedziny ze swymi własnymi dziećmi.

Kanka-bonki nie przyznały Mary żadnej wyjątkowej pozycji, chociaż to dzięki niej mogły urodzić dzieci. One, a potem ich dzieci, bały się Mary tak samo jak Kapitana, wierząc, że jest ona równie zdolna do wyrządzania zła, jak i dobra.

Minęło dwadzieścia lat. Hisako i Selena osiem lat wcześniej popełniły samobójstwo topiąc się w oceanie. Akiko była stateczną, trzydziestodwuletnią matroną, matką siedmiorga dzieci — dwóch chłopców i pięciu dziewczynek. Ojcem dzieci był Kamikaze. Bez pomocy Mandaraxa Akiko władała biegle trzema językami — angielskim, japońskim i kanka-bońskim. Jej dzieci posługiwały się wyłącznie tym ostatnim, jeśli nie liczyć dwóch angielskich słów: „dziadek” i „babcia”. Tak właśnie Akiko kazała swoim dzieciom nazywać Kapitana i Mary Hepburn. Tak właśnie sama ich nazywała.

Pewnego ranka, o wpół do ósmej, 9 maja 2016 roku według wskazań \* Mandaraxa, Akiko obudziła \* Mary i powiedziała jej, że powinna pójść i pogodzić się z \* Kapitanem, który jest tak chory, że prawdopodobnie nie ma szans na przeżycie tego dnia. Akiko odwiedziła go poprzedniego dnia wieczorem i musiała odesłać swoje dzieci do domu, by móc zostać przy nim na noc, aczkolwiek niewiele była w stanie mu pomóc.

Więc \* Mary poszła, chociaż sama nie była wiosennym kurczątkiem. Miała osiemdziesiąt lat i była bezzębna. Jej kręgosłup wykrzywił się jak znak zapytania, wskutek — według diagnozy \* Mandaraxa — ubytków powstałych przez osteoporozę. \* Mary nie potrzebowała \* Mandaraxa, by się dowiedzieć, że ma osteoporozę. Kości jej matki i babki przed śmiercią stały się wiotkie jak trzcina, właśnie z powodu osteoporozy. Jest to jeszcze jeden dziedziczny defekt zupełnie dziś nieznan.

A co się tyczy dolegliwości \* Kapitana, to \* Mandarax zgadywał uczenie, że

cierpi on na chorobę Alzheimera. Stary pierdoła nie był już w stanie sam się o siebie zatroszczyć i z trudem pojmował, gdzie się znajduje. Umarłby z głodu, gdyby Akiko nie przynosiła mu codziennie pożywienia i w ten lub inny sposób nie dopilnowywała, aby przełknął choć odrobinę. \* Kapitan miał osiemdziesiąt sześć lat.

Rzecz \* Mandarax:

*A ostatnia scena.*

*Która tę dziwną historię zamyka,  
To niemowlęstwo nowe, sen, niepamięć,  
Ni zębów, oczu, ani smaku, nic.<sup>11</sup>*

William Szekspir (1564-1616)

I tak to \* Mary, przygięta do ziemi i szurająca nogami, weszła do szałas \* Kapitana, a równie dobrze mógł to być przecież jej własny szałas. Nie była tu przez dwadzieścia lat. Od czasu jej odejścia pierzaste pokrycie szałas musiałoby być wielokrotnie odnawiane, jak również, rzecz jasna, pale i słupki z mangrowca oraz samo łóżko. Architektura jednakże pozostała ta sama, a także okno wycięte w żywych mangrowcach, ukazujące widok na mieliznę, na którą tak dawno temu nadziało się „Okno zabite dechami”.

Swoją drogą, tym, co ostatecznie ściągnęło statek z mielizny, było nagromadzenie się w rufie deszczówki i morskiej wody, która wsączała się do środka poprzez wał jednej z potężnych śrub. Statek zatonął nocą. Nikt nie widział, jak wyruszał w ostatni etap „Przyrodniczej Wyprawy Stulecia”, trzy kilometry prosto w dół do skrzyni Davy Jonesa<sup>12</sup>.

### 13

Z pewnością mielizna koło domu \* Kapitana budziła ponure wspomnienia! Byłem zdumiony faktem, że chciał na nią patrzeć każdego dnia. W tym samym miejscu, po na wpół zatopionym wybrzuszeniu, brodziły ręka w rękę \* Hisako Hiroguchi i \* Selena MacIntosh, które razem szukały i razem znalazły błękitny tunel wiodący w Zaświaty. \* Selena miała wtedy czterdzieści osiem lat i wciąż była płodna. \* Hisako miała lat

---

11 Przekład Czesława Miłosza

12 Davy Jones — w slangu marynarzy — duch morza, diabeł żeglarzy; skrzynia Davy Jonesa — dno oceanu, zwłaszcza miejsce będące grobem statków i ludzi

pięćdziesiąt sześć i od pewnego czasu w ogóle już nie przechodziła owulacji.

Akiko wpadała w przygnębienie za każdym razem, kiedy widziała mieliznę. Nie mogła zdławić poczucia odpowiedzialności za śmierć dwóch kobiet, które ją wychowywały — nawet pomimo tego, że \* Mandarax stwierdził, iż to z pewnością trudna do wyleczenia, jednobiegunowa i najpewniej odziedziczona depresja \* Hisako pchnęła je do samobójstwa.

Była jednak pewna okoliczność — na nieszczęście Akiko — a mianowicie to, że \* Hisako i \* Selena zabiły się wkrótce potem, jak Akiko uniezależniła się od nich i założyła własny dom.

Miała wtedy dwadzieścia dwa lata. Kamikaze nie osiągnął jeszcze wtedy dojrzałości płciowej, nie miał więc z tym nic wspólnego. Akiko żyła po prostu zupełnie sama i była z tego całkiem zadowolona. Osiągnęła już wiek, w którym większość ludzi zakłada rodzinę, i z całego serca życzyłem jej, by też to zrobiła. Widziałem, jak wiele przykrości sprawiały jej \* Hisako i \* Selena, gaworzące do niej wciąż tak, jakby była małą dziewczynką, chociaż ona od dawna już była silną i dojrzałą kobietą. Akiko znosiła to cierpliwie przez solidny kawał czasu, ponieważ żywiła wdzięczność za wszystko, co zrobili dla niej, kiedy była naprawdę bezradna.

Do dnia, w którym odeszła, \* Hisako i \* Selena wciąż drobno siekały dla niej mięso głuptaka — dacie wiarę?

Przez cały następny miesiąc zostawiały dla niej miejsce przy stole, zastawione drobnutko posiekanym jedzeniem, gaworzyły do niej i przekomarzały się z nią łagodnie, tak jak gdyby wciąż z nimi była.

A potem, pewnego dnia, życie straciło jakikolwiek sens.

\* Mary Hepburn wciąż była jeszcze samowystarczalna, gdy wybierała się w odwiedzin do leżącego na łożu śmierci

\* Kapitana. Wciąż jeszcze sama zdobywała i przyrządzała sobie jedzenie, wciąż utrzymywała swój dom w stanie kwitnącej czystości. Była z tego dumna i miała z czego.

\* Kapitan był ciężarem dla społeczności, to znaczy był ciężarem dla Akiko, a \* Mary nie. Często powiadała, że gdyby poczuła, iż staje się ciężarem dla kogokolwiek, poszłaby w ślady Hisako i Seleny i połączyłaby się na dnie oceanu ze swoim drugim

mężem.

Kontrast pomiędzy stopami jej i \* Kapitana był uderzający. Ich stopy opowiadały z pewnością odmienne historie. Jego były białe i miękkie, jej zaś twarde i brązowe jak buty do wspinaczki, w których przybyła przed laty do Guayaquil.

Tak więc \* Mary przemówiła w końcu do człowieka, z którym nie rozmawiała od dwudziestu lat:

— Powiedziano mi, że jesteś bardzo chory.

\* Kapitan był jeszcze całkiem przystojny i zadbany. Wyglądał sympatycznie i czysto, ponieważ Akiko codziennie go kąpała, a także szorowała i czesała jego brodę i włosy. Mydło, którym się posługiwała, zrobiły Kanka-bonki ze zmielonych kości i tłuszczu pingwina.

Jedną z najbardziej denerwujących rzeczy w chorobie \* Kapitana było to, że jego ciało wciąż było zdolne do dbania o siebie. Jego choroba była dużo bardziej groźna niż choroba \* Mary. To popsuty mózg kazał mu spędzać w łóżku tyle czasu i pozwalał na to, by \* Kapitan się zanieczyszczał, unikał jedzenia i tak dalej.

Co więcej: Sytuacja, w jakiej znajdował się \* Kapitan, nie była czymś wyjątkowym. Na kontynencie żyły miliony starych ludzi, bezradnych jak małe dzieci, których musieli doglądać litościwi młodzi ludzie, tacy jak Akiko. Jednak dzięki rekinom i miecznikom problemy związane ze starością są dziś nie do wyobrażenia.

— Kim jest ta wiedźma? — zwrócił się \* Kapitan do Akiko. — Nienawidzę brzydkich kobiet, a tak wstrętnej baby jeszcze w życiu nie widziałem.

— To \* Mary Hepburn, to jest — pani Flemming, dziadku — powiedziała Akiko. Po jej futerkowym policzku potoczyła się łza. — To jest babcia — dodała.

— Nigdy jej wcześniej nie widziałem — odparł. — Proszę, zabierzcie ją stąd. Zamknę teraz oczy, a kiedy je otworzę, nie chcę jej tu widzieć. — Zamknął oczy i zaczął odliczać półgłosem.

Akiko podeszła do \* Mary i chwyciła ją za wątlą rękę.

— Och, babciu — powiedziała — nie miałam pojęcia, że on się tak zachowa.

— Nie zachowuje się gorzej niż zwykle — odparła głośno \* Mary.

\* Kapitan kontynuował odliczanie.



W bliskim sąsiedztwie źródła, jakieś pół kilometra stamtąd, rozległ się męski okrzyk triumfu i wybuch kobiecego śmiechu. Wszyscy mieszkańcy wyspy doskonale znali ten okrzyk. Zazwyczaj w ten sposób Kamikaze obwieszczał wszem i wobec, że udało mu się dorwać samicę dowolnego gatunku i że zaraz dojdzie do kopulacji. Kamikaze miał wówczas dziewiętnaście lat, dopiero co osiągnął dojrzałość płciową i — jako jedyny wtedy zdolny do tych rzeczy samiec na wyspie — mógł kopulować z kimkolwiek, z czymkolwiek i o dowolnej porze. Jawna niewierność Kamikaze była jeszcze jednym cierpieniem, jakie musiała znosić Akiko. To była naprawdę święta kobieta.

Kobietą, którą dopadł przy źródle Kamikaze, była jego własna ciotka Dirno, już za stara, aby mogła mieć dzieci. Nie sprawiało mu to większej różnicy. Tak czy tak, przystąpili do kopulacji. Kamikaze, gdy był młodszy, kopulował nawet z fokami i samicami lwów morskich, dopóki Akiko nie wyperswadowała mu, aby — ze względu na nią, jeśli już nie na samego siebie — przestał postępować w ten sposób.

Żadna lwica morska ani foka nie zostały zapłodnione przez Kamikaze i w pewnym sensie trochę szkoda, że tak się nie stało. Wówczas ewolucja ludzkości mogłaby trwać o wiele krócej niż milion lat.

A z drugiej strony: Po diabła się z tym spieszyć?

\* Kapitan otworzył oczy i powiedział do \* Mary:

— Dlaczego się stąd nie wyniosłaś?

— Och, nie przejmuj się mną — odparła. — Jestem jedynie kobietą, z którą przeżyłeś dziesięć lat.

W tym właśnie momencie Lira, jedna z Kanka-bonek, krzyknęła z zewnątrz do Akiko, że Orion, jej czteroletni syn, złamał sobie rączkę i że powinna w związku z tym natychmiast udać się do domu. Lira nie zbliżała się do domu \* Kapitana, ponieważ wierzyła, że może paść na nią zły urok.

Zatem Akiko poprosiła \* Mary, aby zastąpiła ją przy \* Kapitanie. Obiecała wrócić tak szybko, jak tylko to będzie możliwe.

— Bądź grzecznym chłopcem — powiedziała do \* Kapitana. — Zgoda?

Zgodni się zrzędliwie.

Na prośbę Akiko \* Mary zabrała ze sobą \* Mandaraxa, w nadziei, że być może uda się przy jego pomocy ustalić, co spowodowało, iż \* Kapitan w ciągu ostatniej doby zapadał kilkakrotnie w stan śpiączki, zbliżonej do śmierci.

Lecz kiedy pokazała mu instrument, \* Kapitan — zanim jeszcze zdążyła zadać pierwsze pytanie — uczynił zdumiewającą rzecz: Wyrwał jej \* Mandaraxa z rąk i zerwał się na równe nogi tak rażno, jakby nic mu nie dolegało.

— Nienawidzę tego małego sukinsyna tak, jak niczego innego na całym świecie — powiedział i trzęsąc się ruszył w stronę brzegu. Następnie, z trudem, zanurzył się po kolana w wodzie.

Biedna \* Mary usiłowała go dogonić, choć oczywiście nie była w stanie powstrzymać tak dużego i silnego mężczyzny. Obserwowała bezsilnie, jak wrzucił \* Mandaraxa do oceanu, w miejscu, w którym, jak się okazało, znajdował się uskok o głębokości około trzech metrów. Mielizna w tym miejscu opadała stromo jak grzbiet morskiej iguany.

\* Mary była w stanie dostrzec leżący na dnie instrument. Był tam — bezcenne dziedzictwo, które przyrzekła Akiko w spadku po swojej śmierci. A zatem dzielna staruszka postanowiła go odzyskać. Miała go już nawet w ręku, lecz wtedy właśnie wielki biały rekin pożarł i ją, i Mandaraxa.

\* Kapitan doznał właśnie zaniku pamięci, więc nie wiedział, co spowodowało, że woda spieniła się krwią. Nie wiedział nawet, w jakiej części świata się znajduje. Najbardziej przerażającym go zjawiskiem był atak, jaki przypuściły na niego ptaki. Były to, przywabione jego odleżynami, nieszkodliwe łuszczaki-wampiry, jedne z najpospolitszych ptaków na wyspie. Dla niego jednak były czymś nowym i przerażającym.

Opędzał się od nich jak mógł i wzywał pomocy. Nadlatywało coraz więcej i więcej ptaków, aż \* Kapitan, przekonany, że chcą go zabić, wskoczył głębiej w wodę i został pożarty przez rekina o głowie przypominającej młot. Oczy tego zwierzęcia znajdowały się na obu końcach trzonka — model udoskonalony przez Prawo Doboru Naturalnego wiele, wiele milionów lat wcześniej. Zwierzę to stanowiło idealny element

mechanizmu wszechświata. Nie było w nim niczego takiego, co należałoby jeszcze udoskonalić. A z pewnością nie był mu potrzebny większy mózg. Cóż miałby począć z większym mózgiem? Skomponować IX Symfonię Beethovena?

A może napisać takie słowa:

*Caly świat to teatr  
Wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety  
Są aktorami — wchodzą i znikają...  
I różne człowiek gra kolejno role (...)?*<sup>13</sup>

William Szekspir (1564-1616)

#### 14

Piszę te słowa w powietrzu — czubkiem wskazującego palca lewej ręki, która również jest powietrzem. Jestem leworęczny, tak samo jak moja matka. Teraz już nie ma leworęcznych ludzi. Wszyscy używają swych płetw z idealną symetrią. Moja matka była rudowłosa, podobnie jak Andrew MacIntosh, jednakże ich dzieci, to jest Selena i ja, nie odziedziczyły rdzawych czupryn. Nie ma ich dzisiaj nikt, nie może mieć. Rude włosy należą do przeszłości. Nigdy nie poznałem osobiście żadnego albinosa, a teraz nie ma już i albinosów. Trafiają się od czasu do czasu, ale tylko wśród fok. Ich futra byłyby w wielkiej cenie u kobiet sprzed miliona lat jako materiał na wdzianko, w którym można wybrać się do opery albo na bal charytatywny.

Czy z futer dzisiejszych ludzi dałoby się zrobić eleganckie okrycia dla ich przodków z dawnej epoki? A dlaczego by nie?

Czy bardzo dokucza mi świadomość tego, jak bardzo ulotna jest moja twórczość, zapisywana w powietrzu przy pomocy powietrza? No cóż, moje słowa będą równie trwałe jak to, co napisał mój ojciec albo Szekspir, albo Beethoven lub Darwin. Okazuje się, że wszyscy oni pisali powietrzem w powietrzu, a ja właśnie teraz wyskubuję z balsamicznej atmosfery tę oto myśl Darwina:

*Postęp jest daleko bardziej powszechny niż regresja.*

To prawda, prawda.

Na początku mojej opowieści wydawało się, że ziemską część mechanizmu wszechświata znajduje się w okrutnym niebezpieczeństwie, ponieważ pewne jej elementy, to znaczy ludzie, w niczym się już nie zgadzają i niszczą zarówno wszystko dokoła, jak i siebie. Skłonny byłem wówczas twierdzić, że owe zniszczenia są nieodwracalne.

Nic z tego!

Dzięki pewnym przeróbkom w konstrukcji ludzkiej istoty, nie widzę żadnego powodu, dla którego ziemską część mechanizmu wszechświata nie miałyby już zawsze tykać tak, jak teraz.

Jeżeli fakt, że ludzkość żyje dziś w harmonii z sobą samą i z resztą Natury, jest dziełem jakichś nadprzyrodzonych istot czy też ludzików z latających talerzy — pieszczochów mojego ojca — to ja nic o tym nie wiem. Jestem natomiast gotów zeznać pod przysięgą, że to Prawo Doboru Naturalnego wykonało ten kawał roboty bez jakiegokolwiek pomocy z zewnątrz.

W wodnym środowisku archipelagu Galapagos przetrwali przede wszystkim najlepsi rybacy. Ci, których ręce i stopy najbardziej przypominały płetwy, byli najlepszymi pływakami. Wysunięte szczęki bez porównania lepiej nadawały się do chwytania i przenoszenia ryb niż ręce. A spośród rybaków, spędzających coraz więcej i więcej czasu pod wodą, bardziej efektywni byli ci, którzy mieli bardziej opływowe, bardziej przypominające pocisk kształty — ci, którzy mieli mniejsze czaszki.

I to już właściwie koniec mojej historii, choć winien jestem kilka uzupełnień, dotyczących niezbyt istotnych szczegółów, jakie pomiąłem gdzie indziej. Podam je teraz w dość dowolnej kolejności, ponieważ muszę pisać w pośpiechu. Ojciec i błękitny tunel mogą zjawić się w każdej chwili.

Czy ludzie dzisiaj wciąż zdają sobie sprawę z tego, że umrą prędzej lub później? Nie. Tak się szczęśliwie złożyło, moim skromnym zdaniem, że zapomnieli już o tym.

Czy rozmnożyłem się, będąc jeszcze żywy? W Santa Fe, na krótko przedtem, nim wstąpiłem do piechoty morskiej, zapłodniłem przypadkiem pewną dziewczynę. Jej ojciec był dyrektorem szkoły średniej, do której uczęszczała, i ani ona mnie, ani ja jej specjalnie nie lubiłem. Straciliśmy po prostu głowę, jak to się zdarzało młodym ludziom. Ona poszła na skrobankę, za którą zapłacił jej ojciec. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, czy to był chłopiec, czy dziewczynka.

Z pewnością czegoś mnie to nauczyło. Od tego czasu zawsze zwracałem uwagę na to, abym ja lub moja partnerka używała jakiegoś środka antykoncepcyjnego. Nigdy się nie ożeniłem.

A teraz chce mi się śmiać, kiedy myślę, cóż to byłby za uszczerbek na godności i wdzięku, gdyby dzisiejsi ludzie instalowali sobie przed stosunkiem jakieś środki antykoncepcyjne, powszechnie stosowane milion lat temu. Co więcej, wyobraźcie sobie, jak robią to przy pomocy płetw!

Czy jakieś naturalne tratwy, z pasażerami lub bez, dotarły za moich czasów na wyspy? Nie. Czy jakkolwiek gatunek zwierząt z kontynentu trafił tutaj od czasu, kiedy „Bahia de Darwin” osiadła na mieliźnie? Nie.

Ale uwaga: Spędziłem tu jedynie milion lat, nie zaś całą wieczność, naprawdę.

W jaki sposób dostałem się z Wietnamu do Szwecji?

Po tym, jak zastrzeliłem staruszkę, która zabiła granatem mojego najlepszego przyjaciela i najgorszego wroga, i porzuciłem nasz pluton równający z ziemią jej wioskę, zostałem hospitalizowany z podejrzeniem „wyczerpania nerwowego”. Byłem otoczony czułą, troskliwą opieką. Odwiedzali mnie też oficerowie, którzy wmawiali mi, jak bardzo ważne jest, abym nikomu nie opowiadał o tym, co stało się w wiosce. Dopiero potem dowiedziałem się, że nasz pluton zabił pięćdziesięciu dziewięciu wieśniaków w różnym wieku. Ktoś ich później policzył.

Po wyjściu ze szpitala złapałem syfa od pewnej sajgońskiej prostytutki. Byłem wtedy pijany i nahajowany marihuaną. Ale pierwszy atak choroby, jeszcze jednej z nieznanych już dzisiaj chorób, nastąpił, gdy przybyłem do Bangkoku w Tajlandii, dokąd mnie i wielu innych żołnierzy wysłano na tak zwany „wypoczynek i rekreację”. Był to

zrozumiały dla każdego eufemizm, oznaczający dużo kurew, prochów i alkoholu. Prostytcja stanowiła wówczas w Tajlandii główne źródło dopływu dewiz; ryż zajmował dopiero drugą pozycję.

Potem był kauczuk.

Potem drewno tekowe.

Potem cyna.

Nie chciałem, aby w wojsku wiedziano, że złapałem syfa. Gdyby to wyszło na jaw, na czas leczenia obcięto by mi żołd. Co gorsza, ten czas mógłby zostać odliczony od roku służby, jaki powinienem odbyć w Wietnamie.

Szukałem zatem pomocy u prywatnego lekarza w Bangkoku. Kolega z tamtejszych oddziałów piechoty morskiej polecił mi pewnego młodego Szweda, który leczył takie przypadki, jak mój, i który prowadził badania na Wydziale Nauk Medycznych miejscowego uniwersytetu.

W czasie pierwszej wizyty ów lekarz pytał mnie o wojnę. Złapałem się na tym, że opowiadam mu, co nasz pluton zrobił z wioską i wieśniakami. Wówczas on zapragnął się dowiedzieć, co wtedy czułem, a ja odpowiedziałem mu, że najbardziej przerażającą rzeczą w tym doświadczeniu było to, że nie czułem w ogóle nic.

— Czy płakał pan potem albo miał kłopoty z zaśnięciem? — zapytał.

— Nie — odparłem. — W istocie trafiłem do szpitala dlatego, że nie chciałem robić niczego poza spaniem.

Nie przyszło mi nawet do głowy, aby płakać. Mogłem być wszystkim, ale na pewno nie byłem mazgajem ani lalusiem. Nie byłem skłonny do płaczu już wcześniej, zanim jeszcze w piechocie morskiej zrobili ze mnie mężczyznę. Nie płakałem nawet wtedy, kiedy moja rudowłosa, leworęczna matka porzuciła mnie i ojca.

Lecz potem ów Szwed powiedział coś takiego, co doprowadziło mnie do rozdzierającego, dzieciennego płaczu

— w końcu, nareszcie. Był równie zaskoczony, jak ja

— płaczący bez ustanku. A oto, co powiedział:

— Zauważyłem, że nazywa się pan Trout. Czy jest pan może spokrewniony ze

wspaniałym pisarzem science fiction o nazwisku Kilgore Trout?

Ten lekarz był jedynym człowiekiem, jakiego spotkałem kiedykolwiek poza Cohoes, stan Nowy Jork, który słyszał w ogóle o moim ojcu.

Musiałem przebyć całą tę drogę do Bangkoku, Tajlandia, aby dowiedzieć się, że przynajmniej w oczach jednej osoby mój rozpaczliwie bazgrzący ojciec nie przeżył swego życia daremnie.

Ten lekarz doprowadził mnie do takiego płaczu, że musiałem wziąć środki uspokajające. Kiedy w godzinę później obudziłem się na kanapce w jego biurze, uważnie mnie obserwował. Byliśmy całkiem sami.

— Lepiej? — zapytał.

— Nie — odparłem. — A może tak. Trudno mi to określić.

— Kiedy spałeś, rozmyślałem nad twoim przypadkiem — powiedział. Jest pewien bardzo mocny lek, który mógłbym ci przepisać, ale decyzję co do użycia pozostawiam tobie. Powinieneś w pełni zdawać sobie sprawę z jego ubocznych skutków.

Sądziłem, że mówi o tym, jak to — dzięki Prawu Doboru Naturalnego - zarazki syfa stały się odporne na antybiotyki. Mój wielki mózg znowu był w błędzie.

Lekarz powiedział, że ma przyjaciół, którzy mogliby zorganizować mi przerzut z Bangkoku do Szwecji, o ile chciałbym ubiegać się tam o azyl polityczny.

— Ale ja nie znam szwedzkiego — powiedziałem.

— Nauczysz się — odparł. — Nauczysz.